O KRYTYCE.

napisał F. K.

---

1. „Krytyka mnogie w sobie zawiera korzyści: czyni pisarza ostrożnym, przymusza go do poprawnego pisania, skoro wisi nad nim bojaźń ta, że każdy błąd, każde niedopilnowanie siebie, nietylko będzie dostrzeżone, ale odkryte i zaskarżone; strach bowiem jest najsurowszym poprawcą“ (1).

Każdy prawdopodobnie zgodzi się na powyższe zdanie o powołaniu krytyki, wyrzeczone na początku bieżącego wieku przez znakomitego obywatela i niepospolitego znawcę naszéj literatury, nad którą czyniąc uwagi i postrzeżenia przekazał nam wiele trafnych myśli w téj materyi. A nietylko on jeden, bo i przed nim jeszcze i po nim, dotychczas uznawano potrzebę i ważne powołanie krytyki.

Druga połowa XVIII wieku była u nas płodna w niepospolite talenta pisarskie i wtenczas to rozbudził się duch krytyczny. Historya, prawo polityczne, urządzenia publiczne, obyczaje i zwyczaje znalazły poważnych badaczy, którzy wśród ruin walącego się gmachu publicznego zaczęli trzeźwiéj patrzéć i na sprawy publiczne i na utwory umysłowe. Naruszewicz, Krasicki, Kołłątaj, Łojko i autor przytoczonego na początku zdania o przeznaczeniu krytyki, nie są to już ludzie, coby spokojnie mogli przełknąć takie błędy, jakie na pół wieku przed nimi w książkach drukowano. Powiał na

---

(1) *Myśli o pismach polskich*, przez księcia Ad. Czartoryskiego, 1801.

nich nowy duch czasu, przetarły się umysły i ręka w rękę z usiłowaniami reformy politycznéj, szła reforma umysłowa, rozpoczęta przez wielkiego Konarskiego.

Następne i bliższe nas pokolenie czuło także potrzebę krytyki jak tego dowodem pisma Lelewela i Śniadeckich, mnóstwo artykułów rozrzuconych w „Pamiętniku Warszawskim,“ „Dzienniku Wileńskim,“ w gazetach i pismach pod rozmaitemi tytułami wychodzących. Był nawet czas, że w Warszawie wychodziły „Roczniki krytyki literackiéj“ (1842). A któżby zdołał policzyć artykuły krytyczne, poświęcone ocenianiu dzieł i rozpraw, zjawiające się w kilkudziesięciu pismach peryodycznych? Pomimo tego słyszymy ciągle narzekania na brak krytyki, albo na jéj powierzchowność i stronniczość. Nie wchodząc tutaj w słuszność lub niesłuszność tego zarzutu, ani się kusząc o krytykę owych krytyk, chcemy roztrząsnąć następujące pytania: Co jest krytyka, jaki jéj przedmiot, jakie warunki, którym zadość czynić powinna, jakie ma być zachowanie się publiczności względem krytyki, słowem, chcemy mówić o saméj krytyce i jéj powołaniu.

2. A najprzód co jest krytyka? Niejeden może się zdziwi nad takiém pytaniem, albowiem każdy niemal sądzi, że wié, co ten wyraz znaczy. Ale posłuchawszy ludzi, rozprawiających o krytyce, przekonalibyśmy się, że dla jednych krytyka znaczy tyle co łajanie, dla drugich tyle co epigrammat, dla trzecich tyle co panegiryk. Krytyk, który nie wymyśla krytykowanemu, który mu nie nasuwa i nie podsuwa najzgubniejszych dążności, który nie chce być wyższym nad tego kogo sądzi: taki krytyk dla wielu jest niesmaczny. Chcą oni koniecznie skandalu, pieprznych wyrażeń i niedomówień, ażeby się mogli ubawić cudzym kosztem. U innych znów krytyka równa się parafrazie. Przekopiowali kilkanaście urywków z krytykowanéj książki, i rzecz skończona. Tamci znów chwalą a chwalą; w słowniku już brak przymiotników, by uwielbić autora i jego dzieło. Ztąd widać, że lubo znaczenie wyrazu „krytyka“ zdaje się być każdemu zrozumiałe, jednak w gruncie różnią się ludzie nadzwyczaj, gdy chodzi o dobre jego zastosowanie. Żeby uniknąć tego, co innym zarzucamy, uważmy, że krytyka nie jest to samo co *krytycyzm.* Pod wyrazem krytycyzmu rozumieją pewien kierunek w filozofii, któremu dał początek Emanuel Kant. Metafizyk ten pobudzony sceptycyzmem Hume'a zabrał się nietyle do krytykowania poprzednich systematów filozoficznych, ile raczéj do zbadania władz umysłowych, ażeby się przekonać jakie są granice naszego poznania. Za jego przykładem poszli inni, i temu kierunkowi w metafizyce dano nazwę krytycyzmu. Ocenienie jego nie należy do krytyki

ogólnéj, lecz do historyi filozofii, zatém dłużéj mówić o nim nie potrzebujemy.

Z tego, co powiedziano, czytelnik już wié, że krytyka nie jest to samo co krytycyzm, jakkolwiek źródło obu wyrazów to samo. Jeżeli więc krytyka nie jest ani krytycyzmem, ani paszkwilem, ani epigrammatem lub panegirykiem, to czémże spytacie? Jest sądem o ludziach i ich sprawach. Ależ taki sąd wydaje historya, lub trybunały kryminalne. Niezawodnie. Więc ścieśnijmy definicyą i powiedzmy, że krytyka jest sądem o utworach umysłowych tak ściśle naukowych jak i pięknych. Takie ścieśnienie definicyi pozwoli nam lepiéj obejrzéć sam przedmiot.

Rozbierzmy tę definicyą. A najprzód krytykę nazywamy „sądem.“ Jest to wyrażenie tylko pod pewnym względem stosowne do oznaczenia pojęcia krytyki. Jakoż, gdy mówimy o sądzie w ścisłém znaczeniu, wnet stają nam na myśli: urząd sądowy, strony interesowane lub winowajca, kodeks obowiązujący, adwokaci, wyrok, egzekucya. Otóż przy ocenianiu dzieła jakiegoś brak wszystkich tych okoliczności: bo krytyk tylko przenośnie może być nazwany sędzią; dzieło krytykowane to nie winowajca, opinia krytyka to nie wyrok, a już co do kodexu, o tém ani mowy być nie może. Tak więc sąd krytyki, to nie sąd tego lub owego trybunału.

Powtóre, powiedziano w definicyi, że krytyka jaką tu mamy na myśli jest sądem o „utworach umysłowych“. Już témsamém zakres jéj ścieśniono, albowiem wyłączono z niego ocenę np. urządzeń politycznych, obyczajów i zwyczajów pewnego społeczeństwa, stowarzyszeń przemysłowych i t. d.

W popularném znaczeniu nazywamy krytyką wszelkie zdanie przychylne lub nieprzychylne, wypowiadane o ludziach i ich sprawach. Na taką krytykę wszyscy i wszystko są wystawieni, albowiem każdemu wolno mieć swoje zdanie zasadne lub mniéj zasadne o tém, co mu się pod oczy nasuwa. Kształcenie takiego sądu o rzeczach i ludziach odbywa się w ciągu całego życia. Na jego wyrobienie składają się: dom, szkoła, otoczenie, krążące w społeczeństwie opinie a najskuteczniéj podobno własna obserwacya i doświadczenie.

Po takiém ścieśnieniu definicyi krytyki, po zgodzeniu się na to, że jest ona *pewnym* rodzajem sądu, przyjrzyjmy się jeszcze lepiéj różnicy i podobieństwu jego z sądem jako urzędem wymierzającym sprawiedliwość. Jest to tém konieczniejsze, ile że niektórzy krytycy mają się za sędziów sądzących bez apelacyi. Jakoż, i sędzia i krytyk oceniają dzieła, sprawy, ludzi; jeden według pisanego kodexu, drugi według zasad lub hipotez naukowych i estetycznych teoryj.

O tyle też sędzia i krytyk są do siebie podobni: obadwa *oceniają* ludzi i ich sprawy, czy dzieła. Za to różnice między obiema są liczne i ważne. Sędzia np. musi sądzić według kodexu obowiązującego; krytyk zaś według téj lub owéj hipotezy naukowéj, według téj lub owéj teoryi estetycznéj, która mu się zdaje być prawdopodobniejszą, lub lepiéj przypada do smaku, jaki w pewnéj epoce w społeczeństwie panuje. Sędzia ma przed sobą przedmiot realny sporu, lub winowajcę; krytyk ocenia teorye, opinie, dzieła piękne lub umiejętne, autorów lub artystów, których oczywiście z winowajcami porównywać nie można. Wyrok sędziego rozstrzyga nieraz stanowczo spory, lub wyrokuje o winie i niewinności, a témsamém przecina możność prowadzenia daléj sprawy; krytyk, lubo czasami równie bywa stanowczy w swojem zdaniu, zawsze jednak musi pamiętać, że ostatecznym sędzią jest nie on, lecz publiczność spółczesna lub potomna, spokojniejsza lub lepiéj oświecona; że sprawa raz odsądzona może być na nowo rozpoczęta, że ludzie i prace ich mogą przy zmienionym smaku i gruntowniejszéj wiedzy doczekać się w przyszłości wyroków całkiem lub częściowo różnych od tych, jakie na nich krytyka przed laty wydała.

Chcąc skończyć z definicyą i pojęciem krytyki należy jeszcze dodać, że krytyka nie jest to samo co polemika. Zdaje się niektórym krytykom, że koniecznie powinni być innego zdania niż krytykowany autor i dlatego nie szczędzą mu insynuacyi, podsuwają mu wyniki, które pozornie z jego założeń wypływają, a które w rzeczy sami wywodzą, ażeby napastowaną teoryą wywrócić, lub zniesławić autora. Wywiązuje się z tego *polemika* czyli walka na pióra, prowadząca czasami zapaśników do walki na rapiery, lub przed kratki sądowe. Taką np. walkę prowadzono niedawno o hipotezę Darwina. Nie wielu przeciwników téj hipotezy było zdolnych i dostatecznie usposobionych do jéj rozumienia i obalenia; powtarzano jedynie, że czyni z ludzi małpy i tym argumentem chciano zdyskredytować autora. Albo znów innym razem pewien palestrant dowodził, że hipoteza owa prowadzi do kradzieży, gdyż zdarzyło się, że przestępcy coś tam o niéj słyszeli, czy też jakąś broszurę o Darwinizmie czytali. Czém jest polemika, o tém można się przekonać w chwilach gorączkowego ścierania się nowych pojęć ze staremi, lub stronnictw politycznych i interesów przemysłowych. Dość tu przypomnieć czasy Reformacyi w XVI w., Rewolucyi francuskiéj z przeszłego wieku, czasy sejmu czteroletniego u nas, pojawienie się paradoksalnych teoryi ekonomicznych we Francyi przed 1848, walki giełdowiczów i kolejników zagranicą i u nas i wogóle ścieranie się stronnictw politycznych, spółek ekonomicznych, sekt religijnych.

Można téż w obecnéj chwili naczytać się zaciętych sporów w sprawie socyalizmu i antagonizmu między rozmaitemi wyznaniami religijnemi, między kościołem a państwem. Dziennikarze walczą tu niby o zasady, a w gruncie o liczbę prenumeratorów, o interesa bankierów i wielkich przemysłowców, o zasiłki mecenasów. Otóż poważnéj i spokojnéj krytyce nie może chodzić o ilość prenumeratorów, o sekciarskie zwycięstwa; lecz o to, czy zasady, na których się pewien autor opiera, są niewzruszone, czy im pozostał wierny i z sobą zgodny, czy zgromadził dostateczne dowody na poparcie swoich twierdzeń, czy rzecz rozwinął należycie, czy ją wyraził porządnie, jasno i poprawnie.

Krytyk może się nie godzić z autorem na jego zasady i poglądy, ale nie przystało go za to łajać, albo wyciągać wnioski, o których nie myślał. Tém mniéj godzi się kłamać i spotwarzać ludzi, jak to czyni prasa galicyjska, która wzięła sobie za hasło starą maxymę: łżyj czelnie, szkaluj wytrwale, a zawsze coś z tego na szkalowanym przylgnie. Polemika jątrzy umysły, podnieca namiętności, szerzy zamieszanie w pojęciach, wikła prawdę w sofizmatach i maskuje to wszystko szumną nazwą dobra publicznego, dbałości o najświętsze interesa.

Czy polemika jest konieczna wśród rzeszy piszących? Zdawałoby się, że tak jak wojna między narodami tak polemika między piszącymi jest, przynajmniéj w tym stanie społeczeństwa jaki istnieje, nieunikniona. Zdawałoby się, że dobrze rozumiane interesa powinny prowadzić państwa do zgody, a dobre rozumienie rzeczy piszących do wzajemnéj tolerancyi; jednakże ustanie wojen na świecie a polemiki między piszącymi należy do ideałów, gdyż rządami i narodami równie jak piszącymi nietylko rozum, ale i namiętności kierują.

3. Teraz zobaczmy co jest przedmiotem krytyki. Powiedziano w definicyi, że krytyka jest sądem o utworach umysłowych; wskazano więc przez to i jéj przedmiot. Utwory umysłowe tak dawne jak spółczesne, tak ściśle naukowe jak i piękne, o ile się stały publicznemi, o ile je wydrukowano lub na widok wystawiono, stają się z wolą lub mimowoli autorów, przedmiotem sądu. Czy ten sąd podoba się sądzonym i widzom, czy ich wielbi czy potępia, nie mogą się na to skarżyć. Kto publicznie przemawia, bez względu na sposób, w jaki przemawia, musi się poddać sądowi spółczesnych i potomnych. Nie masz dzieła, któreby się mogło wybiegać od opinii ludzkiéj; jakikolwiek jest jego przedmiot musi ono przejść ten ogień czyścowy. Ztąd widać, że krytyka nie zna tego, co się nazywa *noli me tangere*, nietykałków, rzeczy szanownych dla swojéj starości i pleśni. Rozum

stał się takim demokratą, tak się zbratał i spoufalił z najszanowniejszemi przedmiotami, że je ściąga z arystokratycznych wyżyn i prowadzi przed swoje kratki. A gdy je ściągnął, stosuje do nich prawidła logiki i gramatyki, rozmaite teorye i hipotezy, rozprasza złudzenia, zdejmuje katarakty z oczu autorów i czytelników, chłodzi zapały, trzeźwi upojenie, odgarnia plewy od ziarna, przeprowadza bilans, porównywa *habet z debet*, słowem, gospodaruje w tym świecie umysłowym jak u siebie. Spraw, które rozum w téj sferze sądzi, nie można rozstrzygać ani większością głosów, ani polubownie: wszystko, co nie wytrzyma próby doświadczenia, co walczy z obserwacyą i logiką, tego nie ocali żadna powaga, ani nawet edykt. Rzeczy to tak jasne i tak naturalne dla dzisiejszego wieku, że nie ma potrzeby dłużéj téj saméj myśli rozwijać. Ale i to prawda, że nie zawsze tak było. Bywały czasy, w których przedmiot lub autor zamykały usta krytyce, a zamykały je nietylko swoją jak się zdawało słuszną nietykalnością i niepoczytalnością, lecz oraz powagą. Mówiono *ipse dixit*, sprawa skończona. Pomyślmy, jak długo powaga np. takiego Arystotelesa tamowała rozwój niektórych nauk! Skoro mistrz grecki tak uczył, musiało być prawdą. Skoro Luter tak wyrzekł, *stet pro ratione voluntas.* Otóż powaga, o ile sama w sobie, nie zaś w doświadczeniu szuka oparcia, już dziś nie powstrzyma nikogo od złośliwego uśmiechu: ludzie chcą dowodów i to nie słownych, lecz rzeczywistych. Trudno téż doprawdy odmówić słuszności temu ich żądaniu.

Lecz chociaż przedmiotem krytyki mogą być wszelkie utwory umysłowe; jednakże niektóre z nich więcéj, drugie mniéj się do niéj nadają. Jakoż, gdybyśmy wszelkie utwory umysłowe podzielili na pięć grup, z których pierwsza mieściłaby dzieła ściśle naukowe czyli matematyczno-fizyczne; druga, opisujące twory przyrodzone; trzecia, dzieła obejmujące nauki społeczne; czwarta, wykład rzemiosł i sztuk użytecznych; piąta nakoniec dzieła tak zwane piękne; i gdybyśmy się przyjrzeli naturze przedmiotów w tych grupach traktowanych: przekonalibyśmy się, że w istocie nie wszystkie jednakowo nadają się do krytyki. I tak, gdy chodzi o dzieła z zakresu nauk ścisłych teoretycznych, w których prawie nie może być różnicy zdania co do zasad, lecz tylko co do sposobu wykładu lub dostrzeżonych błędów w rachunku, co do porządku, idących po sobie głównych i podrzędnych działów; krytyce pozostaje tylko rozważyć układ, ścisłość formuł, jasność wyrażenia i na tém poprzestać musi. Wynika to z natury przedmiotu. Matematyka i te działy umiejętności, które na niéj mogą być oparte, nie dozwala na różne hipotezy, mogące obłąkać piszącego; ztąd téż między mate-

matykami najmniéj stosunkowo było sporów, jeżeli tylko metafizyka do nich się nie mieszała. Ilość jest pojęciem tak głuchém, tak abstrakcyjném, twarz jéj zawsze tak jednostajna, że z jakiéjkolwiek strony patrzéć na nią będziemy, zawsze tą samą zostanie. Kombinacye ilości mogą być prostsze lub zawikłańsze, łatwe lub bardzo trudne, sposoby rozwiązywania zagadnień kilkorakie, ale zawsze muszą doprowadzić rozumujących do tego samego rezultatu. Dla téj ścisłości dowodzenia, dla téj pewności otrzymywanych rezultatów, matematyka słusznie jest nazywana królową nauk. Panowanie jéj, spokojne i rozległe, nie budzi namiętności i nadaje wszystkim zjawiskom, które pod siebie podgarnie piętno pewności, związku i jasności, jakich żadna inna umiejętność nie posiada. Gdyby wszystkie zjawiska przyrodzone i społeczne dały się ująć pod miarę i liczbę, nietylko lepiéj rozumielibyśmy związek rzeczy, lecz i co za tém idzie, mniéjbyśmy mieli uczonych sporów, mniéj przedmiotów do krytyki. Że jednak dotychczas tylko część zjawisk przyrodzonych w liczbie znalazła swój wyraz; że do wielu z nich ilościowych stosunków nie zdołano wprowadzić: ztąd i możność sporu, różnicy w zapatrywaniu się i tłómaczeniu pozostała.

W drugiéj grupie dzieł umysłowych pomieściliśmy te, które się zajmują opisem tworów przyrodzonych. Ponieważ w powstaniu tych tworów brały udział rozmaite czynniki, albo inaczéj siły, i ponieważ wykrycie tychże przedstawia liczne i wielkie trudności; ztąd téż piszący o tych przedmiotach mogą się nieskończenie różnić między sobą i często wieki upływają, zanim jakieś sporne pytanie znajdzie stanowczą i ostateczną odpowiedź. Dość tu dla przykładu wspomnieć biologią i hipotezy o powstaniu życia na ziemi, geologią i hipotezy o powstaniu ziemi i pokładów ją tworzących, botanikę i zoologią z pytaniem o początku form organicznych, antropologią z pytaniem o rasy i początek mowy ludzkiéj. Na tém niezmierzoném polu obserwacyi i doświadczenia, wśród milionów istot i zjawisk, możebne są rozmaite poglądy i hipotezy, póty przynajmniéj, póki nagromadzone postrzeżenia téj lub owéj teoryi nie dadzą zwycięztwa. Oczywistém jest, że dzieła traktujące te konkretne przedmioty już dla swéj wielce złożonéj natury dają krytyce obfity materyał. Tu już nietylko o układ i porządek jak w matematyce, ale o same zasady, o ścisłość obserwacyi, o trafne lub mniéj trafne ich rozumienie chodzić może, a ztąd krytyka może być nauczającą i dla autorów i dla czytelników: może pierwszych pobudzić do nowych postrzeżeń i doświadczeń, a drugich do rozmyślań i ważenia sądów *pro* i *contra*.

Teraz niech trzecia klassa obejmuje nauki społeczne i dzieła im poświęcone. Pod naukami społecznemi rozumiemy w tém miej-

scu: prawo, ekonomią polityczną, politykę. Natura tych przedmiotów jest taka, że dozwala na rozmaite poglądy, a témsamém na wszechstronną krytykę. Ponieważ głównym elementem w zjawiskach społecznych jest człowiek; ponieważ można się na niego zapatrywać jako na istotę, czy może lepiéj jako na osobę prawną, ekonomiczną i produkcyjną oraz polityczną; ponieważ wypadnie rozważać go pod względem psychologicznym, obyczajowym, jako członka społeczności prawno-politycznéj; a zapatrywania rozmaitych autorów są rozmaite: ztąd nauki i dzieła, traktujące o człowieku i pracach jego we wspomnianych kierunkach, mogą się wielce od siebie różnić, a témsamém mogą nasuwać wiele punktów do dyskusyi. Że tak jest w istocie, dość tu wspomnieć rozmaite gałęzie prawa i rozmaite poglądy piszących w kwestyach tyczących się prawa karzącego i poczytalności, prawa międzynarodowego tudzież procedury prawnéj. W ekonomii znów politycznéj jeszcze więcéj może niż w prawie, spotykamy przedmiotów, o które spór ciągle się toczy. Pytania takie, jak tyczące się pojęcia wartości, ceny, zarobku, renty gruntowéj, opodatkowania, zaludnienia itd., nadzwyczaj są zawiłe i prowadzą do rozmaitych odpowiedzi, stosownie do stanowiska autora, lub szkoły, do któréj należy.

A cóż dopiéro mówić o polityce, rozumié się teoretycznéj, i dziełach jéj poświęconych? Pytania o początku rządu, o głównych jego formach (monarchia, rzeczpospolita arystokratyczna lub demokratyczna) o stosunku rządzących do rządzonych, o stosunku do kościoła i szkoły, o prawie stowarzyszeń, o polityce handlowéj, o systemie obrony itp. pytania te również jak czysto ekonomiczne także mogą mieć rozmaite odpowiedzi. Inaczéj je rozwiązują autorowie w narodach używających reprezentacyi narodowéj, lub obywających się bez niéj; inaczéj należący do rządu lub do opozycyi; inaczéj wyznawcy téj lub drugiéj formy chrześciaństwa: słowem, rozmaitość poglądów na te pytania prawie nieskończona a ztąd i rozprawy nad niemi niewyczerpane. Przypuszczając nawet dobrą wiarę ze strony krytyki i chęć wniknienia w zasady, kierujące autorami dzieł polityce poświęconych; zawsze jeszcze dużo się znajdzie punktów spornych i zapatrywań niezgodnych, płynących bądź z miejscowych okoliczności, bądź z uprzedzeń narodowych, bądź nareszcie z gruntowniejszego lub powierzchownego doświadczenia, ze stanowiska na jakiém się znajdują piszący. Znając naturę kwestyj roztrząsanych w polityce teoretycznéj, wiedząc jak one są z sobą związane, jak témsamém trudne do rozwikłania: nie można się dziwić téj rozmaitości i sprzeczności poglądów, jaka się w tym dziale pracy umysłowéj spotyka.

Zobaczmy jeszcze inny dział nauk, które dlatego w téj klasie mieścimy, żeby nie rozdrabiać przedmiotu. Mamy na myśli nauki teologiczne, filozoficzne i filologiczne. Nie mówiąc nic o teologiach każdego wyznania, lecz ograniczając się do religii wogóle, jakże to ogromny obszar badania, począwszy od najniższych form fetyszyzmu a skończywszy na monoteizmie! Zrozumienie dawnych mitologii jest dotychczas zadaniem nierozwiązaném. Byłyż one tłomaczeniem zjawisk przyrodzonych, czy uosobieniem życzeń i pragnień człowieka; czy początek ich kosmologiczny czy antropologiczny? Jaka zachodzi filiacya czyli pokrewieństwo między rozmaitemi mitologiami, jaką drogą wędrowały one od ludu do ludu, czy też powstawały samorzutnie w starym i nowym świecie? Oto pytania z pomiędzy wielu innych, które rozmaicie rozwiązywano i dotychczas nie rozstrzygnięto. Ztąd oczywiście wniosek, że pytania te przedstawiają obszerne pole do dyskusyi i krytyki.

Filozofia, może jeszcze więcéj niż teologia, mieści punktów spornych. Sam zakres przedmiotu, który ta umiejętność rozważa, jest niedość ściśle określony. Jedni rozumieją pod filozofią Logikę i Psychologią oraz Historyą rozmaitych systematów; drudzy usystematyzowanie całéj wiedzy ludzkiéj i powiązanie uogólnień czyli praw, pod jakie fakta każdéj z osobna nauki mogą być podciągnione.

Przechodząc zaś do szczegółów, pytania i wątpliwości mnożą się bez końca. Jak pojmujemy np. świat zewnętrzny? Inaczéj na to odpowie empiryk ze szkoły Locke'a lub Mill'a a inaczéj idealista, hołdujący Kantowi lub Fichtemu. Jaki jest początek wiadomości ludzkich? Sąż one wszystkie przez doświadczenie i obserwacyą nabyte, czy też niektóre z nich intuicyjne, gotowe w umyśle przed wszelkiém doświadczeniem czyli jak nazywają à *priori*? Co rozumieć przez umysł i składające go władze czyli zdolności oraz jaki zachodzi związek między organizmem cielesnym a rozmaitemi czynnościami umysłowemi? A tak nie dotykając metafizyki, już w saméj logice i psychologii spotyka się mnóstwo pytań i rozmaite na nie odpowiedzi. Pole dla krytyki nieprzejrzane!

Filologia, albo lepiéj mówiąc lingwistyka, nasuwa pytania takie: jak o początku mowy, o przyczynach rozgałęzienia się jéj na mnóstwo języków i narzeczy, o usystematyzowaniu i ugrupowaniu tychże w pewne klassy. I tu także mamy rozmaite poglądy i mniemania co do tych ogólnych i podstawowych pytań, nie mówiąc nic o tysiącznych szczegółach, jakie się spotyka w najuboższym nawet języku. Ztąd jasném jest, że dzieła poświęcone naukom spo-

łecznym, filozoficznym i lingwistyce dostarczają bardzo obfitego materyału krytyce.

W czwartéj grupie mieszczą się dzieła poświęcone stosowaniu teoryi do praktyki, a więc wykładające pewne rzemiosła, rolnictwo, cukrowarstwo, gorzelnictwo itp. Że prace tego rodzaju stanowią zastosowanie wiadomości z mechaniki, chemii, biologii i innych nauk teoretycznych, to jest widoczne. Pytań spornych w tym dziale praktycznym prawie być nie może, albowiem wszystkie ogólniejsze punkta zostały roztrząśnione w naukach posiłkujących praktykę. Ztąd téż dla krytyki dzieła tego zakresu nie wiele przedstawiają zajęcia; interesują one zwykle ludzi, jak nazywają fachowych, dostarczają informacyj mających znaczenie głównie dla specyalistów. Inny specyalista może w nich dostrzedz omyłkę, nietrafne postrzeżenie i na tém kończy się jego krytyka. Dzieła takie nie mogą dla swojéj specyalności, dla ciasnego wogóle zakresu, w jakim się poruszają, obudzić zajęcia w szerszych kołach publiczności. Bo i jakąż dyskusyą można rozpocząć nad jakimś *podręcznikiem*, dajmy na to, dla kowali lub cieślów, dla hodowców bydła, owiec i koni, dla gorzelanych, dla budowniczych lub inżynierów? Przedmioty w takich dziełach traktowane mogą być i są rzeczywiście ważne, rozumienie ich wielce użyteczne; ale krytyka w obszerniejszém znaczeniu uważana nie może być do nich stosowaną. Jest to wielki dział praktyki, która jest wcieleniem wiadomości osiągniętych na innych polach wiedzy.

Nareszcie w piątéj grupie mieszczą się dzieła piękne bez względu na to, czém się posługują i co ich materyał stanowi: będzie li to słowo, czy farba, ton czy kawał marmuru. Ten dział produkcyi umysłowéj, najponętniejszy ze wszystkich, dostarcza i dla krytyki nadzwyczaj obfitego żniwa. Obejmuje on historyą, poezyą, estetykę. Tu dopiéro krytycy na wyścigi chwalą i ganią bez obawy pobłądzenia w swoich sądach. Bo i któż na pewno zdoła wyrzec, czy klasycyzm, czy romantyzm miał słuszność, czy ten lub ów styl jest lepszy, czy jakiś bohatér dramatu lub powieści powinien być tak pojmowany jak go autor przedstawił, czy téż tak jak krytyk sobie tego życzy? Wprawdzie estetyka podaje pewne prawidła dla wszystkich sztuk pięknych; ale czyż te prawidła nie zmieniają się podług smaku i mody wieku? Czyliż prawidła Arystotelesa i Horacyusza a następnie Boileau i La Harpa nie zostały wyśmiane? A przecież; ci, co dawniéj według nich układali satyry i bajki, komedye i tragedye nietylko byli czytani, ale nawet za wzorowych w swoim rodzaju pisarzy uchodzili! Przyszła mistyka, odżyły wieki średnie, gust do cudowności powrócił, i znów musiano mu zadość uczynić pro-

duktami romantyzmu. I dla téj to właśnie zmienności w teoryach estetycznych, dzieła piękne są dla krytyki literackiéj najwdzięczniejszém polem: na niém wyprawia ona harce, w obec których walki Don Quichota jeszcze poważnie wyglądają.

W uwagach niniejszych o przedmiocie krytyki, nie chodziło bynajmniéj o klassyfikacyą całéj wiedzy ludzkiéj, gdyż klassyfikacye takie już istnieją i zapewne jeszcze się nowe pokażą; lecz o rozważenie, *jakie* przedmioty z zakresu pracy umysłowéj, więcéj lub mniéj, nadają się do krytyki, oraz *dlaczego* jedne dostarczają dla niéj więcéj, drugie mniéj materyału. To *dlaczego* ma, zdaje się, dostateczną odpowiedź, w tém postrzeżeniu: że im rzeczy roztrząsane w pewnéj nauce lub sztuce są mniéj podatne do ścisłego wykładu, tém mniéj również nadają się do krytyki; i znowuż z drugiéj strony, im w jakiéjś gałęzi wiedzy więcéj jest pytań nierozwiązanych, tém więcéj dla krytyka zostaje pola do wyłożenia swoich poglądów.

Teraz przechodzimy do rozważenia innego punktu, mianowicie: jakim warunkom krytyka zadość czynić powinna. Ponieważ zaś krytyka bez krytyków istniéć nie może, zatém wolno nam będzie na przemiany mówić i o krytyce i o krytyku w niniejszym ustępie.

4. Ile razy chcą pochwalić krytykę, mówią, że jest *bezstronna* i *przedmiotowa*; a ile razy chcą zganić, mówią, że jest *stronna* i *podmiotowa*, czyli subjektywna. Dodają jéj czasami i inne określenia, nazywając ją surową lub pobłażliwą, gruntowną lub powierzchowną, druzgocącą itp. Do naszego celu wystarczy rozważyć, co rozumiéć przez bezstronność i przedmiotowość w krytyce.

A najprzód co znaczy bezstronność? Czy to ma znaczyć, że krytyk nie powinien miéć swojego zdania, tylko zdać sprawę z tego co przeczytał, a sąd zostawić czytelnikowi? Gdyby tak należało rozumiéć bezstronność, trudno wiedziéć, na coby się przydała krytyka. Zatém krytyk musi miéć swoje zdanie o tém co czytał: będzie ono raz zgodne ze zdaniem, z poglądami autora, czyli jego dzieła; drugi raz niezgodne, a wówczas musi ono być uzasadnione, czyli jak nazywają wymotywowane. W czém znów krytyk może nie być zgodny z autorem? Oto oczywiście w kwestyach spornych, nierozstrzygniętych. Ponieważ zaś wiadomości nasze pewne, niezawodne leżą przedewszystkiém w zakresie matematyki i tych gałęzi wiedzy, które na niéj są oparte; ztąd téż matematyczne prace najmniéj są wystawione na różnicę w zapatrywaniu się autorów i krytyków. W tym dziale sporu o zasady być nie może, gdyż i autor i krytyk są jednakowego zdania. Pojęcia liczby i ilości z natury swéj nie dozwalają na rozmaite ich tłómaczenia. Co innego, gdy opuścimy dział czystéj matematyki i przejdziemy do jéj stosowania np. w sta-

tystyce; tu mogą powstać rozmaite tłómaczenia cyfr zgrupowanych i rozmaite z nich wnioski. Najłatwiéj więc o bezstronność w krytyce dzieł matematycznych i wogóle tych, których rezultaty są stwierdzone rachunkiem, doświadczeniem i obserwacyą. Krytyka w tym wypadku musi się ograniczyć do sprostowania rachunku, do zgrupowania materyału, do uproszczenia dowodzeń, do ich wyrażenia w języku, słowem, do szczegółów; podstawy bowiem, tj. pewniki i definicye matematyczne, są jednakowe dla wszystkich ludzi i po wszystkie czasy. Ale jak tylko opuścimy ten dział wiadomości ludzkich i przejdziemy do innych, w których się rozbierają pytania z zakresu nauk społecznych, prawnych, politycznych, teologicznych, estetyki, historyi, literatury pięknéj, już taka bezstronność krytyki staje się niewykonalną. Tu co głowa, to rozum. Najrozmaitsze poglądy są dopuszczalne: co u jednego czarne, to u drugiego białe, a to stosownie do wyznania religijnego, do szkoły filozoficznéj, do stronnictwa politycznego. Możnaż się o to gniewać? Nie mogąż te rozmaite poglądy razem obok siebie, lub kolejno po sobie być cierpiane? Nietylko mogą, ale muszą być cierpiane, gdyż natura przedmiotów jest taka, że o matematyczną pewność kusić się nawet nie dozwala. Mogą argumenta krytyki być zasadniejsze, niż krytykowanego dzieła; nigdy przecież nie może ona sobie przypisywać absolutnéj pewności i prawdy.

A tak bezstronność w krytyce nie zasadza się na tém, by krytyk nie miał swojego zdania i tylko był sprawozdawcą z tego, co przeczytał; lecz na wniknieniu w zasady autora czyli jego dzieła, na zajęciu tegoż co on stanowiska i wykazaniu: czy owe podstawy są bez zarzutu i czy autor, przypuściwszy ich zasadność, pozostał z niemi w zgodzie w ciągu swéj pracy i argumentacyi. Po przeprowadzeniu takiego procesu, krytyk może się okazać niezgodnym z autorem, może tę swoję opozycyą jawnie wyrazić, lub ją tylko zaznaczyć: ale nie może autorowi podsuwać innych, niż dzieło zawiéra zasad, ani wyciągać z nich wyników, które tylko za pomocą naciągania z premissami związać się dadzą. Jeżeli tak czyni, będzie stronnym. Taką stronnością cechują się zwykle krytyki polemizujące w przedmiotach politycznych, religijnych, moralnych, estetycznych i wogóle takich, które dotykają pytań spornych. Zwolennik monarchizmu będzie widział w teoryi republikanckiéj co innego aniżeli republikanin; a ten znów w teoryi monarchizmu także co innego, niż jéj obrońca. Protestant będzie podejrzywał katolika a ten protestanta; zwolennik determinizmu będzie szydził z obrony wolnéj woli; estetyk szkoły idealistycznéj z estetyka realistycznego i tak daléj. Żaden z nich nie chce, lub nie może wniknąć w zasady kie-

rujące drugim w jego zapatrywaniu się na rozmaite zagadnienia. Rad wyciąga najzgubniejsze lub najśmieszniejsze następstwa z teoryi, która mu się nie podoba. Nic dziwnego zatém, że autor czytając takie o swojéj pracy zdanie, zamiast zmienić swój pogląd, obstaje przy nim, ponieważ w krytyce nie widzi rozbioru i sądu, lecz potępienie bez apellacyi. Mógł ten jego pogląd być mylnym, ale zamiast wykazania mu błędu, krytyk go odsądził od zdrowego rozsądku, nazwał Herostratem, materyalistą, pozytywistą, racyonalistą, nihilistą i zamienił go w straszydło dla dobrodusznych czytelników. O zimną krew, o chłodne i trzeźwe na rzeczy patrzenie w krytyce zarówno trudno jak i w innych ludzkich sprawach. Chcąc być koniecznie wyższym od autora, krytyk nie szczędzi epitetów takich jak: wstecznik, człowiek kopalny, nieuk, żak, szkolarz i wielu innych mniéj estetycznych. Oczywiście, czytelnik nie widząc dzieła, a często nie mając zamiaru go widziéć, rad poprzestaje na krytyce i bierze się za boki od śmiechu. Ubawiła go krytyka, może nawet zadowolniła, bo sława autora kłuła go w oczy, chociaż go nigdy nie widział: ale w tych czasach bezwarunkowéj równości ludzie tak chętnie ściągają innych z piedestałów, tak łatwo wierzą wszystkiemu, co się na niekorzyść kochanych bliźnich mówi, że krytyka, byle doraźna, chłoszcząca, naszpikowana zjadliwemi insynuacyami, ma u nich najczęściéj słuszność.

Zobaczmy teraz, co znaczy, gdy od krytyki chcą, ażeby była *przedmiotową*. Krytyka jest przedmiotową, gdy krytyk patrzy rzeczy nie tego, co ją napisał; gdy ani narodowość, ani wyznanie, ani stronnictwo, ani ulubione jakieś teorye nie zaślepiają go na zalety i wady rozbieranego dzieła.

Słowem, krytyka jest przedmiotową, gdy pilnuje przedmiotu, gdy się posługuje rozumem nie uczuciem, postępem nauki nie swojemi przywidzeniami, gdy swoje *ja* chowa jak najgłębiéj, a przed okiem czytelnika roztacza rzecz, którą autor wyłożył. Z tego określenia przedmiotowości w krytyce widać, że jest to tylko inne nazwanie bezstronności i w téj ostatniéj się mieści. Jeżeli przeciwnie, krytyk bierze się nie do rzeczy, lecz do autora, gdy wyszukuje w jego przeszłości, stanowisku obecném lub okolicznościach przypadkowych, klucza do zrozumienia głoszonych teoryj i poglądów; wówczas znika rzecz, dowiadujemy się o niéj tylko nawiasem i przekonywamy się ostatecznie, że autor nie *podobał* się krytykowi. Taką krytykę nazywają podmiotową, subjektywną. Autor i krytyk wychodzą niezadowoleni z siebie: gusta ich były, lub są odmienne, jeden wykładał przedmiot, rzecz, nie troszcząc się o to, czy się komu podo-

ba; drugi do tego przedmiotu przymierzał swoje uczucie, i pokazało się, że ogień z wodą pogodzić się nie dają.

Gdybyśmy chcieli rozważać, co znaczą inne jeszcze przymiotniki, łączone z wyrazem krytyka jako, gdy ją nazywają pobłażliwą lub surową, gruntowną lub powierzchowną, pokazałoby się, że można wszystkie te określenia wyprowadzić z dwóch głównych, bezstronności i przedmiotowości Pobłażliwą jest krytyka, gdy powodowana znajomością osobistą z autorem, czasami libacyą, nie widzi nic do zarzucenia dziełu; surową zaś, gdy te podmiotowe pobudki na nią nie wpływają. Jest gruntowną, gdy krytyk rozbiéra rzecz ze znajomością i spokojem znawcy, a znów staje się powierzchowną, gdy krytyk nie dorósł autora, gdy się ślizga po przedmiocie i frazeologią zastępuje dowody. Otóż wszystkie te ujemne strony krytyki łatwo wywieść z ujemnych, jak nazywają stron krytyka: jego stronności lub subjektywizmu. Ażeby w krytyce, czy w krytyku te braki naprawić, trzeba zobaczyć, jak do swojego zadania powinien być przygotowanym.

Chcąc o jakiéjkolwiek rzeczy *dobrze* sądzić, trzeba ją znać *dobrze*. Znać dobrze jaką rzecz, znaczy rozumiéć jéj naturę czyli istotę, oraz jéj związek z innemi rzeczami. Przedmiotem sądu krytyka są, jak już wiadomo, dzieła umysłowe tak ściśle naukowe jak i piękne. Nauka i sztuka zarówno piękna jak i pożyteczna ogarniają niezmierny zakres zjawisk tak przedmiotowych, jak i podmiotowych. Oczywistém więc jest, że krytyk winien je znać, chcąc o nich sądzić. Poznać *dobrze* wszystkie te zjawiska jest dziś prawie niemożebném, przedewszystkiém dlatego, że choćby człowiekowi naukowemu sprzyjały wszystkie okoliczności i warunki; to i tak umysł jego, zawarowany cielesnym organizmem, tylko *cząstkę* téj masy zjawisk może sobie przyswoić. Ztąd naturalnie wynika, że nie możemy dobrze sądzić o *wszystkich* zjawiskach, skoro tylko cząstkę ich poznać możemy. Dlatego téż krytyk *uniwersalny*, o wszystkiém wyrokujący, wystawia się na pośmiewisko. Trzeba się pogodzić z tą myślą, że nie możemy wszystkiego znać, a témsamém o wszystkiém dobrze sądzić. Każdy musi uprawiać swój zagon lub co najwięcéj kilka zagonów blizko siebie leżących, czyli, używając wyrażenia gospodarskiego, należy dziś uprawę *extensywną* zastąpić *intensywną*. Jakość zbioru może nagrodzić jego ilość; będziemy wiedzieli o rzeczach *multum* non *multa*.

Ale z drugiéj strony zjawiska tak fizyczne, jak i umysłowe łączą się ze sobą na całym obszarze przyrody; chcąc jedno rozumiéć, należy zawadzić o drugie, trzecie i t. d. Co więc na to począć, ażeby krytyk mógł rozumiéć i ogół zjawisk i znać dobrze pewną

ich grupę? Dla osiągnienia tego celu musi mieć *szeroką podstawę*, to jest znać przynajmniéj ogólne zasady, *principia* głównych umiejętności tak teoretycznych, jak i praktycznych. Porządnie przeprowadzona edukacya gimnazyalna i uniwersytecka, a nadto osobiste późniejsze studya pozwalają obeznać się człowiekowi z ogólnemi zasadami, przynajmniéj, główniejszych nauk; następnie zaś oddanie się uprawie jednéj szczegółowéj umiejętności, lub co najwięcéj grupie umiejętności bliżéj z sobą spokrewnionych, czynią nas zdolnymi do rozumienia licznych, lubo nie wszystkich zjawisk, które mają swój wyraz w naukach i sztukach. Tak więc ze strony teoretycznéj krytyk musi mieć gruntowne, przynajmniéj, elementarne wiadomości, z ogółu nauk i wiadomości głębsze, obszerniejsze ze szczegółowéj jakiéjś umiejętności. Przypuściwszy taką w nim wiadomość, mamy prawo żądać, ażeby nazwiska pewnéj góry, albo miejscowości nie brał za nazwisko człowieka, żeby tytułu dzieła nie brał za autora. Jeżeli zaś i autor i krytyk nie mają tych elementarnych wiadomości, a pomimo tego piszą dzieła i uczą innych, to oczywiście szkoda na tę ich pracę i czasu i atłasu. Pod tym względem autorom i krytykom dobrze pamiętać starą maxymę Horacyusza: o wy! co piszecie, wybierajcie rzeczy, którym barki wasze podołać mogą: *Quid humeri valeant, quid ferre recusent*!

Ale teoretyczne ukształcenie, jakkolwiek nieodzowne dla bawiącego się krytyką, nie stanowi jedynego warunku porządnéj krytyki; potrzeba jeszcze praktycznego doświadczenia, jakie każdemu daje życie, kto z życia swojego i innych umié korzystać. Bezstronny, spokojny sąd o dziełach i ludziach nie powstaje w nas na zawołanie; wyrabia go praktyka i obserwacya świata. Szeroki pogląd na rzeczy, tolerancya cudzego zdania, pewna pogoda umysłu: wszystko to nie z książek nam przychodzi. Zaciekłe spory szkolarzy, namiętne polemiki sekciarzy religijnych i politycznych są najczęściéj owocem mądrości książkowéj, któréj życie i doświadczenie czyli praktyka nie skorrygowały. Rzecz to wiadoma, że im mniéj kto z ludźmi ma do czynienia, im mniéj widział i słyszał najrozmaitszych teoryi, mniemań a nawet przesądów, tém mu trudniéj pogodzić swoje widzenie z poglądami innych. Potrzeba pewnego punktu widzenia wyższego, z któregoby można z niejaką pobłażliwością patrzéć i słuchać tych krzyżujących się w literaturze i szkole mniemań. Jak fala falę popycha, tak wyobrażenia następujących po sobie pokoleń spychają się w przeszłość; żadne z nich nie wypowiadało, bo nie mogło wypowiedzieć całéj prawdy: bo osiągnienie jéj, to nieskończony proces myślenia.

Mając to na uwadze, krytyk musi być wyrozumiałym na ro-

zmaite opinie ludzkie: każda z nich bowiem urobiła się na podstawie większéj, lub mniejszéj liczby obserwacyi i postrzeżeń, każda może cząstkę prawdy zawierać. Dlatego to wszyscy uczeni i doświadczeni kładli za warunek sobie i innym w sądzeniu, by w rzeczach wątpliwych (których jest więcéj niż pewnych) zachować swobodę: *In dubiis libertas.*

Pobłażliwość jednak taka nie może być bezwarunkowa, jak nic na tym świecie nie ma bezwarunkowego. W kwestyach spornych a tém bardziéj całkiem wątpliwych, w zagadnieniach metafizycznych, tolerancya jest nieodzowna póty przynajmniéj, póki spór nie będzie rozstrzygnięty. Inaczéj się rzecz ma z pytaniami, zawadzającemi o sam byt społeczeństwa.

Społeczeństwo ma prawo ubezpieczyć się ustawami od nauk wywroty zalecających, a krytyka ma obowiązek obywatelski bronić argumentacyą przystępu takim naukom.

Bo niechże kto zacznie głosić, że własność jest kradzieżą, dotrzymywanie wiary głupstwem, cnota czczym wyrazem, a prawo pięściowe najskuteczniejszym argumentem! Maż bezstronność krytyki tak być rozumiana, by kąkolowi dać rosnąć z pszenicą aż do czasu żniwa? Zapewne, każdy się zgodzi na to, że i społeczeństwo ma prawo za pomocą ustaw bronić obiegu takiéj monecie i krytyka ma obowiązek pleć z tego chwastu niwę umysłową. Trudność leży jedynie w nakreśleniu granic między tém, co może być bezpiecznie w prasie i wogóle w druku lub na mównicy roztrząsane, a tém co powinno być wzbronione w imie bezpieczeństwa cywilizowanéj społeczności.

Takie, z pomiędzy innych, zdają nam się być warunki, którym krytyka odpowiadać winna.

Przyjrzyjmy się nareszcie jakie ma być zachowanie się publiczności względem krytyki.

5. Ani autorowie nie piszą dzieł dla siebie, ani krytycy nie wydają o nich sądu tylko dla siebie; jedni i drudzy mają na oku publiczność, która ich ma czytać i do któréj jak do ostatniéj instancyi odwołują się tak autorowie jak i krytycy.

Publiczność, to wielka masa czytających, pośród których są tacy, co potrzebują cudzego zdania, ażeby lepiéj rozumieli to, co czytają; i tacy, którzy bez téj pomocy obejść się mogą, a nieraz, lubo nie piszą, lepiéj od rzemiosłowych krytyków rzecz rozumieją. Do takiego, mieszanego areopagu odwołują się autorowie i krytycy.

Jeżeli posłuchać, co ta różnobarwna publiczność sądzi o krytyce, to w istocie żal nieraz i autorów i krytyków. Jakoż, krytyka wówczas szczególniéj zajmuje publiczność, gdy się zamienia w po-

lemikę i wtenczas to można słyszéć często powtarzane w gwarze warszawskiéj wykrzykniki: a to go *schlastał*, a to mu sprawił *rznięcie* i za boki się chwytają od śmiechu ci sędziowie, do których, jako do *świattéj* publiczności, apelowali autor i krytyk.

Tak się dzieje w tych mianowicie razach, gdy są poruszone kwestye sporne, dostępne dla szerokiego koła czytelników; albo gdy krytyka zacznie obalać rozmaite bóstwa wyhodowane w cieplarni sercowéj, rozmaite fetysze, którym się masa kłania z przyzwyczajenia, z mody, bo ją tak nauczyli koryfeusze literaccy. Mieliśmy przecież zdarzenia, że publiczność wychodziła hałaśliwie z odczytów publicznych, lub urządzała sztuczne oklaski i sztuczne sykania, żeby okazać swoje zadowolenie lub niezadowolenie ze słyszanych opinij. Oklaski i sykanie należą do tak zwanych sympatycznych zjawisk na równi ze śmiechem i płaczem: gdy jeden lub kilku zacznie płakać lub ziewać, śmiać się lub klaskać; wnet mimowolnie podobne symptomata zjawiają się w całéj masie publiczności. Coś podobnego bywa nietylko na odczytach: chwalą kogoś bez granic literaci w dziennikach, więc chwali i publiczność, bo nie chwalić, znaczyłoby opozycyą, zazdrość, nieznajomość rzeczy, a więc narażenie się na zarzuty. Jedno z pism warszawskich miało dawniejszemi czasy zwyczaj chwalić wszystkich i wszystko, i dobrze mu się z tém działo. Zawszeż to człowiekowi pochlebia, gdy go chwalą, Krytyk tym samym zamachem pióra chwalił i handel winny i bal i sztukę teatralną i obraz malarza i dzieło uczonego. Takie pisma są najpoczytniejsze: publiczność daje bravo i krytykowi i autorowi. Możeż jednak być inaczéj? Ze sprawą krytyki dzieje się to co i z innemi: jest ona taką, jaką może być w danéj chwili i jakiéj publiczność pożąda. Żeby zaś publiczność mogła inaczéj sądzić, trzebaby w nią tchnąć innego ducha, to jest inne w niéj zaszczepić zasady i usposobić do pojmowania czy to zagadnień naukowych, czy interesów bieżących. Tego zaś dokonać może jedynie gruntowniejsze ukształcenie, jeżeli nie wszystkich czytających, to przynajmniéj wielu, oraz czas i doświadczenie, które ściągają bielmo z oczu i pozwalają oceniać rzeczy jak są, nie tak jakbyśmy je chcieli widziéć. Publiczność zatém mająca sądzić w ostatniéj instancyi i autorów i krytyków tylko w takim razie jest kompetentnym sędzią, gdy rozumié o co w krytyce chodzi. Pokup pewnych utworów, uczęszczanie na pewne sztuki, nie zawsze są dowodem wartości jednych i drugich. I ztąd to widzimy takie sprzeczności, że nieraz krytyka inaczéj a publiczność inaczéj sądzi, i to nawet wówczas, gdy krytyka ma słuszność za sobą.

Te zmienne gusta publiczności nie powinny jednak obłąkać krytyka: jego rzeczą sąd swój wymotowywać a przerobienie upodobań i gustu publiczności zostawić czasowi.

Że publiczność zdawiendawna uważano za ostatecznego sędziego, pokazuje to nawet utarta maxyma: *vox populi*, *vox Dei*. Ma to znaczyć, że kogo lub co, opinia publiczna potępi, albo pochwali to już wówczas ani człowiek, ani jego dzieło nie mają rekursu. Otóż wieleby można powiedzieć o znaczeniu sądu tak zwanéj opinii publicznéj; w obecnym jednak wypadku ograniczymy się do kilku w téj mierze uwag.

Najprzód zapytajmy co to jest opinia? Jest to sąd ogółu, całego społeczeństwa, narodu o pewnych sprawach i ludziach. Jest-że to przecież na prawdę sąd ogółu? Nie; jest to zdanie kilku czy kilkunastu śmielszych, głośniéj krzyczących a czasami mądrzejszych od reszty. W krytyce literackiéj jest to sąd kilku czy kilkunastu dziennikarzy, literatów, którzy przodują wyrabianiu się owego głosu powszechnego. Sąd ich może być uzasadniony, ale też bywa często bezzasadny, stronniczy, namiętny. Publiczność po większéj części nieusposobiona do urobienia sobie własnego sądu o pewném dziele, lub zaleniwa do czytania coraz liczniejszych dzieł, broszur i t. p. powtarza to, co w nią koryfeusze literaccy wmówili zapala się cudzym zapałem, potępia lub chwali cudzém powodowana zdaniem.

Opinia publiczna słusznie jest nazywana *vox Dei*, ale to tylko wówczas, gdy się może swobodnie wyrazić, i gdy publiczność tworząca tę opinią jest przygotowana do wyrobienia sobie własnego sądu. Nie o wszystkich rzeczach możemy wszyscy wyrokować i dlatego musimy bardzo często poprzestawać na zdaniu innych. Jeżeli zaś ci inni są albo nieprzygotowani do wydania słusznego sądu o dziele, albo kierują się zaściankową polityką względem autorów i ich dzieł, wówczas i publiczność mimowoli błądzi w swoich pochwałach lub naganach.

Komu są znane koterye literackie i rozmaite bractwa wzajem się adorujące, układane na wieczorynkach polowania na niezgodne z ich mniemaniami nauki i teorye, czasami znów ukartowane milczenie, żeby niém zabić przeciwnika, ten się nie może ani zbytecznie cieszyć pochwałami, ani martwić naganami tak zwanych regulatorów opinii. Publiczność jest w tém najmniéj winna, a raczéj o tyle winna, o ile sama leni się sądzić i woli powtarzać cudze zdanie. Liczne możnaby przytoczyć na to dowody nawet z naszych spółczesnych stosunków, jak publiczność bywała w błąd wprowadzana przez stronniczą i namiętną krytykę; jak wielbiła lub potę-

piała ludzi i ich sprawy, nie rozumiejąc do czego dążyli; jak się nawracała do tych potępionych i ich projektów, gdy było już za późno.

Dlatego téż zdaje nam się, że piszący widząc w krytyce dobrą wiarę, dostateczną naukę, spokojny i bezstronny sąd o swoich dziełach, przyjmą ją z wdzięcznością; i że w przeciwnym razie, gdy jéj brak tych zalet, mogą zbyć milczeniem, czekając aż publiczność lepiéj przetrze oczy, aż się namiętności ukołyszą. Byłoby to w istocie potępieniem samego autora, gdyby się zrażał niesłuszną krytyką i „łamał pióro“ z żalu do spółczesnych. Czasami trzeba iść wbrew upodobaniom, modzie, błędom, choćbyśmy sami zostali na posterunku. Schlebianie panującym przesądom czy w literaturze, czy w sprawach publicznych bywa zwykle dobrze wynagradzane, popularne; ale niegodne rzetelnéj krytyki.

Czasami znów publiczność, albo raczéj jéj trybuni, przypominają sobie stare *nie pozwalam* względem krytyki i tym sposobem tamują wyrabianie się niepodległego sądu. Nie pozwalają zaś na traktowanie pewnych pytań, uważając je za palladyum swoje. Czy to jest słuszne? Jużeśmy sami nadmienili, że dla wyrobienia się krytyki potrzebna jest pewna swoboda, że ta swoboda nie może być bezwarunkową, że zatém gdyby krytyka wystąpiła jako nieprzyjaciel istniejących podstaw religijnych, obyczajowych; społeczność czująca instynktem niebezpieczeństwo wynikające dla siebie z podważania tych podwalin, na których sądzi się być zbudowaną, może użyć swojego *veto*. Nie chcemy tu po szczególe wymieniać wszystkich pytań, których *takt* nie pozwala krytyce w danéj chwili roztrząsać przed masami, choćby nawet była przekonaną, że niektóre z nich ostać się nie mogą w dotychczasowém pojmowaniu. Nie każdy organizm, ani w każdéj chwili znosi heroiczniejsze środki lekarskie: do taktu krytyki należy ocenić, co ten organizm społeczny strawi, a co choć zbawienne, mogłoby go w téj chwili rozbić lub zabić. Krytyka, jaką znoszą społeczeństwa starsze w cywilizacyi, pośród których rolę umysłową wzdłuż i wszerz przeorano, wszystko krytykując i nie cofając się przed pytaniami drażliwemi, krytyka taka może nie być na czasie w społeczeństwach młodszych, mniéj skonsolidowanych. Zrobiwszy jednak to zastrzeżenie co do niektórych pytań, ulegających dyskusyi, lecz ze względu na okoliczności niedyskutowanych: musimy bronić pewnéj swobody dla krytyki, bez obawy narażenia się na zarzuty zmiennictwa, nihilizmu i tym podobnych straszydeł. Publiczność w takich razach powinna sama myśléć i, swojém poparciem w granicach dostępnych, bronić swobody dyskusyi, żeby życie jéj umysłowe nie zamieniło się w cuchnące bagnisko.

Streszczając to, co powiedziano, widzimy, że krytyka leży w naturze umysłu ludzkiego i temsamém jest równouprawniona z innemi objawami umysłu; powtóre, że *wszystkie* objawy umysłowe czy to z zakresu nauk i z zakresu sztuk pożytecznych i pięknych ulegają krytyce jak tylko wyszły na jaw i stały się publicznemi; potrzecie, że niektóre z przedmiotów nadają się więcéj, a inne mniéj do krytyki, co wynika z natury samychże przedmiotów; poczwarte, że krytyka godna tego miana powinna być bezstronną i przedmiotową, w którém to określeniu mieści się i gruntowność i zasadność i sumienność, oraz inne wymagane od niéj zalety; popiąte nareszcie, że publiczność, do któréj sądu odwołują się tak autorowie jak i krytycy, w niektórych kwestyach może być ostatecznym sędzią, jeżeli zwłaszcza w istocie jest światłą; że jeżeli chce mieć krytykę dobrą, musi jéj zostawić pewną swobodę w dyskusyi, przynajmniéj niektórych pytań.

Rozumiemy, że uwagi powyższe nie wyczerpują całkowicie założenia na czele postawionego; ale wiedząc, że wszelkie sprawy ludzkie, osobliwie téż naukowe, tylko spółdziałaniem wielu piszących w danym przedmiocie, mogą być przynajmniéj w przybliżeniu nyczerpane: zostawiamy innym dalszą w tym kierunku pracę.

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA.

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

(Ciąg dalszy).

KSIĘGA V.

Z początkiem wiosny baronowa wyjechała do Warnowa w towarzystwie Elsy, Karli i Ludwiki Walbach; tę ostatnią mąż wysłał dla względów przyzwoitości, uważając za rzecz niestosowną, by siostra jego sama była u ciotki narzeczonego swojego.

Plan, usnuty przez Giraldi'ego, powiódł się zatém najzupełniéj. Golm bardzo częstym był gościem na zamku, i gra rozpoczęta w Berlinie między nim a Karlą tu swobodniéj jeszcze niż tam prowadzoną była. Obecność Elsy niewielką dla nich stanowiła zawadę. Karla czuła się w zupełném prawie odpłacenia się wzajemnością narzeczonemu, który zdawał się nie myśleć o niéj wcale. Hrabia zaś, pomimo wielkiéj dozy miłości własnéj, widział dobrze, iż osoba jego zupełnie obojętną była Elsie i przypisywał to skłonności jéj do nienawistnego kapitana. Wprawdzie, Reinhold zajęty obowiązkami swemi rzadko kiedy bywał na zamku, i wzajemne zachowanie się młodych ludzi nie upoważniało wcale do takiego podejrzenia; niemniéj jednak hrabia obstawał przy niém i za każdą

sposobnością szydził z plebejusza. Do téj nienawiści współzawodnika przyłączyła się jeszcze uraza spekulanta, któremu lekceważony przeciwnik staje na drodze do upragnionych zysków. W istocie zająwszy wyznaczoną sobie posadę w Wissow i popierany przez prezydenta, młody marynarz wciąż utrudniał zadanie antreprenera portowego, co doprowadzało hrabiego do wściekłości, z którą się nie tail wcale. Raz nawet posunął się tak daleko, że w obec Elsy nazwał go denuncyatorem.

— Przepraszam pana, że mu przerywam, rzekła na to Elsa; kapitan Schmidt posiada nietylko szacunek, ale nawet przyjaźń mego ojca; jest moim przyjacielem także; ciotka moja uprzejmie go zaprosiła do siebie, sądzę zatém, że zupełnie niewłaściwém byłoby, gdyby mu tutaj w jego nieobecności uwłaczano.

— Pani mię nie zrozumiała, zawołał hrabia. Nazwałem to denuncyacyą...

— Będziesz pan łaskaw w jego obecności ponowić tę rozmowę; jestem pewna, że potrafi się wytłómaczyć z zarzutu. A teraz pozwolisz, kochana Ludwiko, że pójdę do ciotki, która może mię potrzebuje.

I zimno ukłoniwszy się hrabiemu, wyszła z pokoju.

— Tego to już zawiele! zawołał Golm po jéj wyjściu. Co pani sądzisz o tém? Zrobić mi taką scenę z powodu takiego człowieka! Wyobraź pani sobie, że z jego łaski nie będziemy mogli zająć owych piaszczystych wzgórz nad morzem, znajdujących się na lewo od Ahlbeck, a miejsca tego koniecznie potrzebujemy na skład materyału. Oryginał ten utrzymuje, że wzgórza te stanowią całą obronę wybrzeża! A nasz kochany prezydent naturalnie...

— Kochany hrabio, przerwała Ludwika, co mię to wszystko obchodzi?

— Przepraszam panią, sądziłem.

— I tak nudzę się na śmierć; Boże, Boże! jakże się nudzę! Te ośm dni, ach, te ośm dni! Napiszę do Wallbacha, by mię stąd zabrał!

— Brakować nam pani bardzo będzie, rzekł hrabia.

— Sądzę, że obejdziecie się bezemnie. Musi się to przecie raz skończyć. Pan albo się zdecydujesz, albo dasz temu pokój. Czy sądzisz, że Elsa jest ślepa?

— Ba! rzekł hrabia, panna Elsa ma swego zajmującego naczelnika locmanów.

— Powtarzasz to pan wciąż, ale ja widziałam ich razem i powiadam, że to niedorzeczność.

— A jednak, wiem o tém z najpewniejszego źródła.

— Od pana Giraldi'ego naturalnie—ten wié o wszystkiém! A on sam przecie z początku pragnął, byś się pan ożenił z Elsą; jakże to pogodzić jedno z drugiém? nic nie rozumiem, a nudna to rzecz błądzić tak po omacku.

Hrabiemu także nie bardzo to jasném było; wolał więc przerwać rozmowę i, mówiąc, że chce pokazać Karli plan portu, który widziéć żądała, pożegnał panią Walbach i wyszedł.

W przedpokoju spotkał Karlę ubraną jak do konnéj jazdy.

— Siostra pani w salonie jest, rzekł do niéj głośno.

— Dziękuję, odpowiedziała Karla takimże tonem.

Hrabia zrobił tajemniczy jakiś znak ręką i oczami wskazał na obraz, wiszący na ścianie.

— Widziałaś pani ten obraz? zapytał.

— Który?

— Ten tu, proszę spojrzéć.

Kiedy się oboje oddalili od drzwi salonu, tak, że ich stamtąd nie można było widziéć, hrabia szepnął:—Raz jeden tylko!

— Szalony jesteś! odpowiedziała z cicha.

— Pierwszy—ostatni raz dzisiaj!

Karla podniosła ku niemu głowę i nadstawiła usta.

— Aniele!

— W istocie zachwycający, rzekła głośno i znowu szepnęła.

— Na miłość boską idź precz!

I wybiegła do salonu, hrabia wyszedł na korytarz.

Całą swą uwagę zwróciwszy na salon, nie spostrzegli oboje tego, że w chwili kiedy się ich usta spotkały, portyera u drugich drzwi, prowadzących do pokojów wewnętrznych, podniosła się i natychmiast opadła znowu.

— Chciałam cię pożegnać, rzekła Karla do Ludwiki.

— Mówiłam z nim, rzekła Ludwika.

— Coś powjedziała?

— Że się nudzę i nie wytrzymam dłużéj.

— To wszystko?

— Dla mnie dosyć; ty radź sama sobie.

— Ależ Edward utrzymywał, że obecność twoja tutaj jest potrzebna.

— Brat twój nie może żądać, bym dla miłości twojéj na śmierć się zanudziła; jadę jutro, możesz być tego najpewniejsza.

Powzięcie jakiegokolwiek stanowczego postanowienia było tak niezwykłą u Ludwiki rzeczą, że Karla, która miała już wychodzić, wróciła odedrzwi. Ależ Ludwiko! zawołała.

— Daj mi pokój! Wszystko to nie podoba mi się wcale. Elsa jest bardzo dla mnie uprzejma i więcéj mi przyjaźni okazuje aniżeli ty; baronowa wszelkich dokłada starań, by uprzyjemnić nam pobyt tutaj; Ottomara mi żal—niech będzie jak chce, on nigdy, jak wy, nie dał mi poznać, że ma mię za istotę ograniczonego umysłu. Uważam za rzecz zupełnie nieprzyzwoitą, ażeby po za plecami ciotki Ottomara i w jéj własnym domu...

— Warnow oddawna należy do hrabiego, przerwała Karla.

— To wszystko jedno, jesteśmy tutaj u baronowéj, a nie u hrabiego. Jeżeli chcesz być u niego, to go zaślub, ale mnie się zdaje, że będzie ci znowu żal Ottomara, i nie wiem nawet, jak potrafiłabyś zerwać z nim. Ale rób sobie, jak chcesz, nudzi mię to wszystko, i nie chcę więcéj patrzéć na to. Jutro jadę.

Niesłychany ten upór Ludwiki zaczął nareszcie niepokoić Karlę; spostrzegła, że nie może go lekceważyć. Złożyła kapelusz i rękawiczki i sama zbliżyła się do bratowéj. Uklękła przed nią, objęła ją ramionami i, czule patrząc w oczy, starała się przekonać, że nie ma słuszności, broniąc sprawy Werbena, i póty wmawiała i prosiła, aż wreszcie Ludwika zgodziła się pozostać, mówiąc wszakże: zakochałaś się po uszy w Golmie, nic więcéj, ale zobaczysz, że wszystko to źle się skończy.

Raz jeszcze uścisnąwszy bratowę, Karla wybiegła na ganek, gdzie na nią czekał Golm. Hrabia prowadził tymczasem bardzo żywą rozmowę, sprzeczkę niemal ze Strumminem. Ten dopominał się u niego o 5.000 talarów, które mu był pożyczył. Kiedy hrabia tłómaczył się, że nie może mu ich teraz oddać, bo kurs akcyi spadł nadzwyczajnie, Strummnin wystąpił z ostremi wyrzutami, że złudził ich obietnicami nadzwyczajnemi, a potém usunąwszy wszystkich na stronę, tak umiał pokierować sprawą całą, że grynderskie zyski pochwycił do własnéj tylko kieszeni, teraz zaś zamiast czuwać nad wspólnemi interesami, traci czas na zabawę i na domiar złego nie chce oddać pieniędzy, których jemu samemu potrzeba na wyprawę dla córki.

Golm, zniecierpliwiony wymówkami temi, obiecał dług oddać, ale mszcząc się szydersko perswadował Strumminowi, by się nie śpieszył z wydaniem córki za kamieniarza, bo akcye ich mogą jeszcze pójść w górę.

To już ostatecznie rozgniewało Strummina.—Kamieniarza! zawołał, kamieniarza! artysta, wielki artysta! który ma rocznie—sześć do dziesięciu tysięcy, kamieniarz! powtarzał z oburzeniem.

— Sam go tak nazywałeś.

— Zięcia mego mogę nazywać, jak mi się podoba, ale nikt inny nie ma do tego prawa!

Wejście Karli przerwało sprzeczkę. Strummin, cały zaperzony jeszcze, szybko pożegnał ją i opuścił zamek.

Niewidomym świadkiem owéj sceny pocałunku, odegranéj między Karlą a Golmem, była Elsa. Zadziwiona, przerażona, nie myśląc nawet o tém, czy ją widziano lub nie, cofnęła się szybko i wybiegła do ogrodu, jak gdyby uciekając przed jakiémś strasznem dla siebie widmem. Nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co widziała,—zdawało się jéj chwilami, że to było przywidzenie tylko jakieś, bo przecie trudno było przypuścić, by Karla tak dalece zapomnieć się mogła. Powoli wszakże, jak gdyby na uzupełnienie ohydnego obrazu, pamięć zaczęła przywodzić pewne szczegóły we wzajemném obejściu się młodych ludzi, szepty ich, spojrzenia, jakieś tajemnicze znaki, które ją już oddawna raziły i dziwiły a teraz wyjaśniały wszystko. Nie było już żadnéj wątpliwości, że to co widziała teraz nie było chwilowem zapomnieniem się, ale następstwem stosunku, co wiązał ich oddawna. I cóż powié Ottomar, gdy się dowié o tém? a dowiedzieć się musi, i co potém nastąpi? On, co tak jest drażliwy, co za słówko, spojrzenie, nieraz już narażał życie swe w pojedynku, czyż będzie mógł znieść to, co musi uważać za osobistą dla siebie obrazę? A jednak część winy i na niego spada. Czyż starał się pozyskać przywiązanie narzeczonéj swojéj? czy troszczył się kiedy o jéj uczucia dla siebie? Pomimo to jednak zechce z pewnością upomniéć się o prawa swoje. Będzie się mścił za zniewagę, wyrządzoną li tylko miłości własnéj; o sercu mowy nawet być nie mogło—Karla najzupełniéj obojętną mu była. I będzie tak działał, nie w imię własnych uczuć, zasad lub przekonań, ale hołdując jedynie pewnym wymogom i zwyczajom towarzyskim. I czémże są te zwyczaje i te wymogi? Najstraszliwszą niewolą, niewolą, któréj Elsa nie czuła również, dopóki jéj własne uczucia i myśli nie wybiegły po za ciasną granicę towarzyskich stosunków. Teraz dopiéro, kiedy stosunki te tak nieszczęśliwie wpłynęły na losy drogiego jéj brata, kiedy ją samę dzieliły od ukochanego człowieka, serce jéj buntowało się przeciw téj niedoli, a umysł zaczął pojmować całą jéj niesprawiedliwość.

Jakże jéj teraz ciasno było wśród krępujących więzów codziennego życia, jak pragnęła ujrzéć tego, kogo tak gorąco pokochała, jak potrzebowała zasięgnąć jego rady—w jego miłości zaczerpnąć

siły—odzyskać równowagę umysłu i spokój ducha. Za ciasno jéj było w obszernym ogrodzie pałacowym, duszno wśród strzyżonych i pod sznur wyciągniętych alei i geometrycznie powykrawywanych klombów, myśl i serce wyrywały się daléj, tam na rozległy step! Pragnienie to tak potężnie opanowało jéj duszę, że nie mogła mu się oprzéć—potrzebowała odetchnąć innėm powietrzem, chciała zbliżyć się przynajmniéj do niego, spojrzéć choć na to miejsce, gdzie mieszkał, popatrzéć przynajmniéj na morze, na to jego ukochane morze!

Nie namyślając się, opuściła ogród i piaszczystą dróżką puściła się w stronę nadmorskich wzgórz, które zdaleka bielały.

Godziny czasu tylko jakoby trzeba było dla dostania się do przylądku Wissower Haken; Elsie wszakże zdawało się, że drodze téj końca nie będzie. Wiła się ona wężykowato przez ogromną płaszczyznę, na któréj ani śladu ludzkiéj pracy, ani śladu ruchu nie było. Roślinność biédna, dzika, gdzieniegdzie tylko karłowate wierzby pochylone nad rowami lub wpatrzone w leniwie płynący strumień, który spływał zapewne z łańcucha wzgórz po prawéj stronie leżących. Elsa przeszła po drewnianym, zniszczonym moście i skierowała się ku przylądkowi; na lewo zaś rozciągała się pustynia aż do nizkich wzgórz, tworzących niby ścianę olbrzymią. W ścianie téj raz tylko ukazała się szpara, przez którą zapewne strumień dążył do morza, a przez nią pas ołowiano-szarawy; musiało to być morze. Ale trudno go było odróżnić od nieba, którego barwa była również ołowiano-szarawa, po nad morzem tylko wydawała się ciemniejszą niż po nad wzgórzami. Powietrze najmniejszym nie drgało ruchem; czasem tylko jakiś szmer tajemniczy przesuwał się powoli, jak gdyby pustynia miała się budzić ze snu; czasem znowu w ciężkiém, dusznėm powietrzu jakiś długi, żałośny dźwięk się rozchodził, a potém wszystko zapadało w głuche posępne milczenie, tak że Elsa słyszała niemal bicie własnego serca.

Ciszę tę niespodzianie przerwała straszna wrzawa, podniesiona przez gromadę mew, które Elsa spłoszyła z jednego z parowów. Zerwały się one gwałtownie, a potém bujając w powietrzu, ostre dzioby na dół przechyliwszy, długo ją ścigały, jak gdyby wściekle grożąc za wtargnięcie się do ich państwa.

Mewy pozostały za nią, ona szła daléj i daléj. Tu znowu ogarnął ją przestrach. Zdaleka już, u stóp przylądka widziała jakiś ciemny, ruchomy punkt; teraz, zbliżając się do niego, poznała, że było to kilkaset robotników, pracujących nad olbrzymią groblą. Musiała koniecznie wejść na tę groblę i przerznąć się pomiędzy tymi ludźmi. Pozdrowiła ich uprzejmie, ale oni, zamiast odpowiedzieć na

to pozdrowienie, zatrzymali się z taczkami w rękach i ciekawie spoglądali na idącą. Zaledwie oddaliła się trochę, usłyszała za sobą rubaszne śmiechy i nawoływanie. Mimowolnie obejrzała się i spostrzegła, że kilku robotników odłączyło się z tłumu i szło za nią; zatrzymali się dopiéro wtedy, kiedy na nich spojrzała, a może dla téj wrzawy, którą inni podnieśli byli. Serce jéj uderzyło gwałtownie, biegiem prawie puściła się wązką dróżką, wśród poschłéj trawy i piaszczystych smug gruntu. Co miała daléj począć? pytała siebie jednocześnie. Teraz, obroniła ją zapewne obecność nadzorcy; późniéj, przez całą płaszczyznę aż do Warnowa mogli ją ścigać i straszyć. A więc może wrócić i, z pomocą nadzorcy, dostać wóz jakiś coby ją odwiózł do Warnowa? może prosić nadzorcy, by ją przeprowadził?

I tak naradzając się z sobą, wciąż biegła naprzód, jak gdyby popychała ją jakaś siła niewidoma, któréj oprzéć się nie była w stanie. Podnosiła się coraz wyżéj i wyżéj. Białawe wzgórza rysowały się coraz wyraźniéj na ciemném tle nieba, aż nareszcie wzrok się zatrzymał na linii, oddzielającéj niebo od morza, i pomknął wdzięcznie zakreślonym łukiem wybrzeża aż do zarosłego lasem Golmberga. Po nad czarną masą skupionych szczytów jego wznosiła się wieża zamku. Pomiędzy Golmbergiem a podwyższeniem, na którém Elsa stała, rozlegała się równa i pusta jak morze, brunatna płaszczyzna; u stóp przylądka, tuż pod jéj nogami prawie, leżała wieś rybacka, Ahlbeck. I tutaj znowu, pomiędzy domami a morzem na szerokiém wybrzeżu, długie szeregi robotników ciągnęły się aż do obu grobli, które, końcami zbliżając się ku sobie i jak gdyby ramiona ku sobie wyciągając, daleko w głąb morza wybiegły. Kilka większych statków i flotylla łodzi rybackich dążyła ku brzegowi, a po nad tém wszystkiém stada białych mew krążyły bezładnie.

Elsa wodziła wzrokiem wokoło, widziała niby wszystko co ją otaczało, ale myślała zupełnie o czém inném—zaszła już tak daleko, a jeszcze nie była u celu drogi. A więc naprzód, znowu naprzód, i coraz wyżéj, aż do tego stosu kamieni, z pomiędzy których wznosił się ogromny, sygnałowy drąg, umieszczony zapewne na najwyższym szczycie przylądka. Stamtąd już zapewne ujrzy Wissow.

W istocie, im więcéj się zbliżała do kamieni, tém wyraźniéj ukazywał się brzeg lądu—daléj, ołowiana powierzchnia morza, na któréj tu i owdzie zakołysał się żagiel, nakoniec tuż pod jéj stopami biały szczyt wzgórza, które w stronę przylądka klinem się kończyło i przechodziło w płaski półwysep, na którym kilkanaście mniejszych i większych domków przysiadło. To był Wissow!

Teraz, kiedy stanęła już tam, gdzie dążyła z takiém upragnieniem, z takiém wytężeniem sił i woli, jakże daleką była od rzeczywistego celu! Nadaremnie wyciągała ręce ku niemu, nadaremnie go wołała—on jéj nie słyszał ani widział—był tak blizko i tak daleko zarazem. Zdawało się jéj, że teraz dopiéro rozumie mowę pustyni i samotność, co na niéj panuje—szept i głuchy szmer puszczy i żałośny głos jéj: sama, sama!

Niewytłomaczony ból ścisnął jéj serce; osunęła się na kamień, ukryła twarz w dłoniach i, jak dziecię opuszczone, wybuchła płaczem.

Nie słyszała jak mężczyzna jakiś, który, stojąc oparty o drąg sygnałowy, spoglądał na morze, przestraszony jéj łkaniem, szybkim krokiem zbliżył się do niéj. Dopiéro kiedy zawołał: Elso! z krzykiem porwała się z miejsca, wyciągnęła ku niemu ramiona i płacząc rzuciła mu się na szyję.

— Reinhold, mój Reinhold! zawołała.

Śmiała się i płakała, powtarzając to drogie imię.

On, zdziwiony i uszczęśliwiony, nie mógł słowa wymówić. Posadził ją na kamieniu i sam usiadł koło niéj. Ona oparła głowę na jego ramieniu:

— Tak tęskniłam za tobą!

— Elso, najdroższa Elso!

— Musiałam przyjść, musiałam spojrzéć choć na to miejsce, gdzie ty żyjesz. Dom twój, to ojczyzna moja, nie odpychaj mię w ten świat zdrady i fałszu; chcę iść z tobą, u ciebie tylko jest szczęście, spokój, prawda. Serce twoje bije takąż jak moja miłością, czuję to—i ty tęskniłeś za mną.

— Tak droga Elso, tęskniłem niewypowiedzianie. I ja tu przyszedłem dlatego, by choć z daleka spojrzéć w stronę, gdzie ty jesteś, spojrzéć po raz ostatni, zanim.

— Za nim co? na miłość boską!

Reinhold podniósł ją i poprowadził nad brzeg przylądka, którego sam szczyt zawisnął nad szarém morzem.

— Patrz, Elso! burza się zbliża! Czuję ją, słyszę, jak gdyby już szalała! Może jeszcze niejedna godzina upłynie zanim nadejdzie, ale nadejść musi—i to z okropną gwałtownością. Ta ołowiana równa powierzchnia morza zamieni się w ruchome, straszne wały, których piana aż tutaj pryskać będzie! Biada okrętom, które nie schroniły się jeszcze do portów, a któż wié, czy i tam znajdą bezpieczeństwo, biada nizinom tym!

— Chciałem pisać do ciebie, bo od wczoraj jeszcze widzę oznaki tego, co ma nastąpić, chciałem prosić cię, byś opuściła Warnow; ale tybyś się pewnie nie zgodziła na to.

— Nigdy! Jakżem dumna z tego, że tak myślisz o mnie, jakżem szczęśliwa, żeś mi to powiedział! A kiedy burza wybuchnie, nie będę rozpaczała, ani łamała rąk, bo gdybyś wiedział o tém nie mógłbyś spełnić należycie obowiązku twego, nie mógłbyś być rozważnym i spokojnym, nie mógłbyś tak rozkazywać i kierować wszystkiém jak wówczas. Pamiętasz? A wiesz, że już wtenczas kochałam cię? Pamiętam każde twe słowo, każde spojrzenie! A jak byłam szczęśliwa, że mogłam jeszcze zatrzymać kompas--miałam ci go oddać, ale później, aż wreszcie pozwoliłeś mi go zatrzymać.

— Toś była lepszą odemnie, bo ja, przyznaję, żadnego nie miałem zamiaru wrócić ci rękawiczki, którąś upuściła wówczas na parostatku, patrząc przez lunetę moję. Podniosłem ją i schowałem jako talizman; przysiągłem sobie, że nie pierwéj ją oddam, aż zamiast rękawiczki ukochaną rękę twą w dłoni trzymać będę.

I znowu usiedli na kamieniu, gwarząc, żartując; śmieli się, zapadali w chwilowe milczenie, patrząc na siebie i nie mogąc się nacieszyć sobą. Zapomnieli o pustyni, co ich opasywała, o ciemności, co się wciąż powiększała, o burzy, co groziła.

Głuchy, daleki huk zbudził ich z tego słodkiego snu—potém szum jakiś powstał w powietrzu—po chwili znowu wszystko zapadło w ciszę.

Reinhold porwał się z miejsca. Prędzéj niż sądziłem nadchodzi rzekł, nie mamy ani chwili czasu do stracenia.

— Co chcesz?

— Odprowadzić cię.

— O tém nie myśl nawet; musisz wrócić na twe miejsce,—nie możesz go opuścić w chwili niebezpieczeństwa. Nie, nie, mój najdroższy! Powinnam się nauczyć radzić sobie. Od téj chwili nie będę się niczego i nikogo bała. Wiem już, że ty bezemnie żyć nie możesz, jak ja bez ciebie; że możemy sobie ufać zawsze i wszędzie, że jesteśmy dla siebie wzajemną siłą i podporą. Szlachetny mój ojciec dobrze to zrozumiał, kiedy powiedział mi to, co i do ciebie napisał: los wasz składam w wasze ręce. Jeszcze jedno spojrzenie na mój raj, jeszcze jeden pocałunek, i bywaj zdrów!

Uścisnęła rękę Reinholda i chciała odéjść, on ją zatrzymał.

— Niepodobna, Elso; tu, na górze jest już prawie ciemno; na dole, za półgodziny będzie czarna noc. Nie potrafisz nawet odróżnić drogi od stepu, a na nim jest mnóstwo mokradeł. Na prawdę niepodobna, Elso!

— Musi być podobna, bo nie może być inaczéj. Nie mogę cię odwodzić od obowiązku twego; pogardzałabym sobą, a ty przestałbyś mię kochać. Miłość twoja dla ciebie samego stałaby się ciężarem. Nie wiesz, może już teraz nawet potrzebny tam jesteś; może ludzie twoi stoją, czekając na ciebie, i nie wiedzą co począć. Reinholdzie, jeżeli mię kochasz, powiédz, czy nie mam słuszności?

— Może być, ale....

— Żadnego ale, najdroższy.

Tak rozmawiając zeszli do krzyżujących się dróg, z których jedna wiodła na step Warnowski, druga prowadziła do półwyspu Wissow.

— Doprowadzę cię tylko na dół, do pewnéj drogi.

— Ani jednego kroku daléj. Słuchaj! co to jest?

Reinhold wprzódy jeszcze usłyszał był, jak gdyby odgłos kopyt końskich i turkot kół. Nierówna wyniosłość, na któréj stali, nie pozwalała im widziéć drogi. Po chwili ujrzeli jeździca na wzgórzu. Ten stanął, podniósł się na siodle i zdawał się szukać czegoś oczami.

— To hrabia! rzekła Elsa. Mocny rumieniec pokrył jéj twarz.

— Teraz, musisz mię przeprowadzić jeszcze trochę.

Wzięła go pod rękę. W téj chwili hrabia ich spostrzegł — dał koniowi ostrogi i stanął przed nimi.

Musiał poznać Reinholda, gdyż nie okazał najmniejszego zdziwienia na jego widok, owszem, zdawał się nie spostrzegać go wcale, jak gdyby samę Elsę tu spotkał.

— Co za szczęście, żem panią tu znalazł, zawołał. Pani baronowa tam na dole czeka w pojeździe, nie można było tutaj dojechać. Baronowa zaniepokojona, wysłała szukać panią. Pöllitzowie powiedzieli, żeś pani tutaj. Baronowa chciała koniecznie jechać sama, właśnie wróciliśmy byli z panną Wallbach. Prosiłem o pozwolenie towarzyszenia; co za szczęście! pozwoli pani odprowadzić siebie do pojazdu, niedaleko stąd.

Zeskoczył z konia i ujął go za cugle.

Reinhold spojrzał wprost w oczy Elsie, zrozumiała go i odpowiedziała spojrzeniem także.

— Bardzo dziękujemy panu, rzekł, ale nie będziemy utrudzać pana więcéj. Narzeczoną moję sam odprowadzę do pani baronowéj.

— Ah? rzekł hrabia.

Zawczasu wyobrażał on sobie, jakie pomięszanie ogarnie ich na jego widok, z jakiém przerażeniem baronowa dowié się w jakiém

towarzystwie zastał jéj siostrzenicę. Nie wątpił, że plebejusz ów, zawstydzony samém ukazaniem się jego, umknie natychmiast. Tymczasem, wbrew oczekiwaniu temu, Elsa ręka w rękę z tym człowiekiem szła daléj, nie zwracając na niego żadnéj uwagi. Oczom własnym nie wierzył; prędko jednak przyszedł do siebie, wskoczył na siodło i, kłaniając się ironicznie, zawołał: a więc pozwoli pani przynajmniéj zawiadomić baronową o szczęśliwym wypadku.

— Nikczemnik! rzekła Elsa za odjeżdżającym, dziękuję ci Reinholdzie, żeś mię zrozumiał, żeś raz na zawsze uwolnił mię od niego i od innych. Nie domyślasz się nawet, jak bardzo i dla czego wdzięczna ci jestem; powiem ci to inną razą.

Wkrótce ujrzeli pojazd baronowéj, hrabiego już nie było. Szydersko śmiejąc się, oznajmił o wielkiém odkryciu swojém; ale w odpowiedzi na to usłyszał tylko: dziękuję panu, żeś mię tutaj doprowadził!—ostatnie słowa wymówione były z pewnym naciskiem.

Baronowa wysiadła z powozu i wyszła naprzeciw siostrzenicy. Elsa pospieszyła ku niéj i, czule objąwszy, w kilku słowach zawiadomiła o wszystkiém. Kiedy Reinhold zbliżył się, baronowa wyciągnęła do niego rękę i wzruszonym głosem rzekła: przyprowadzasz mi drogie dziecię i siebie samego, podwójne dzięki za to!

Reinhold ucałował drżącą rękę i serdecznie podziękował za dobre słowo. Ale naglił do wyjazdu, błagając o pośpiech. Wsadziwszy obie panie do powozu, ścigał go oczami, dopóki nie znikł w ciemności. Teraz nie miał ani chwilki czasu do stracenia. Na morzu ukazało się światło: był to sygnał wzywający locmana, pomimo wydanych już rozkazów obecność jego mogła być koniecznie potrzebna. Przy najszybszym biegu potrzebował kwadransa czasu, by stanąć na miejscu.

Puścił się pędem, ale na zakręcie jeździec jakiś zastąpił mu drogę. Stało się to tak nagle, że Reinhold ledwie się nie uderzył o konia.

— Spieszno panu teraz, jak się zdaje, rzekł hrabia.

— Bardzo śpieszno, rzekł Reinhold i chciał wyminąć konia; hrabia pociągnął za cugle i znowu zastąpił mu drogę.

— Ustąp się pan!

— Na swojéj ziemi jestem.

— Droga jest dla wszystkich!

— A pan sądzisz, że wszystko jest dla wszystkich!

— Ustąp się pan!

— Jeżeli mi się podoba.

Reinhold chwycił konia za cugle, hrabia spiął go ostrogami, koń stanął dęba.

Reinhold wydobył długi nóż, który jako marynarz zawsze nosił przy sobie. Żałowałem konia, ale ponieważ pan nie chcesz inaczéj....

— Chciałem tylko życzyć panu dobréj nocy, odpowiedział hrabia, skręcając konia, bo wprzódy zapomniałem. Dobréj nocy, panie naczelniku.

Ironicznie się śmiejąc, Golm zdjął kapelusz, spiął konia i ruszył galopem.

— Tacy ludzie nigdy się niczego nie wyuczą, rzekł Reinhold. Wielki Boże! czyż w istocie dzieci mają pokutować za grzechy rodziców? Czyż walka ta ma przechodzić z pokolenia na pokolenie, i mamy ją toczyć wbrew własnéj woli i przekonaniu?

Daleki grzmot rozległ się w powietrzu; po nim znowu uderzenie wichru w niższych już warstwach powietrza, szumiąc, świszcząc i jęcząc wśród parowów przylądka. Trzecie uderzenie może nastąpić jeszcze niżéj, dotknąć już morza, wywołać burzę i sprowadzić powódź.

W obec téj walki, co się gotowała, ludzka przebiegłość zdawała się być zabawką tylko, ludzka nienawiść grzechem była. Jedno tylko górowało po nadtém wszystkiém, jedno tylko miało siłę zwycięstwa nad naturą samą—miłość!

I Reinhold tak myślał, spiesząc teraz na stanowisko swoje. Bądź co bądź nie miał dla nikogo nienawiści w swém sercu, bądź co bądź kochał ludzkość całą i gotów był życie swoje nieść w ofierze za ludzi.

Baronowa i Elsa mało z sobą w drodze mówiły. Baronowa zdawała się być okropnie znużoną: prędka jazda po złéj drodze i w ciemności, powietrze duszne i ciężkie, wszystko to utrudniało rozmowę. Elsa czuła się szczęśliwą, przekonawszy się, że ciotka po jéj stronie stanęła. Na niespodzianą dla siebie wiadomość odpowiedziała serdeczném słowem i wymowném uściśnieniem, a teraz trzymała ją wciąż za rękę, jak gdyby chcąc zapewnić o współczuciu swém i miłości.

Przybyły nareszcie na zamek. Baronową prawie osłabłą służąca wprowadziła natychmiast do jéj pokojów. Elsa, gorąco podziękowawszy ciotce za troskliwość i opiekę, życzyła jéj dobréj nocy. Dowiedziawszy się, że pani Wallbach już także u siebie, udała

się do swego pokoju, gdzie rozmówna pokojowa, niepytana, opowiedziała Elsie, że na krótko przed ich przyjazdem hrabia był na zamku, bawił tylko chwil kilka i zawiadomił pannę Wallbach, iż panie zaraz przybędą w towarzystwie pana naczelnika zapewne. Przy tych ostatnich słowach dziewczyna uśmiechnęła się lekko i spojrzała w oczy Elsie, jak gdyby chcąc dać poznać jéj, że wié coś więcéj jeszcze i gotowa jest służyć radą swą i pomocą. Hrabia więc nie tracił czasu. Może z nienawiści ku Reinholdowi, może z zazdrości lub z próżności obrażonéj, albo po prostu dla własnéj i Karli zabawki, roznosił pod sekretem zabawną nowinę. Dzisiaj zawiadomił o niéj mieszkańców zamku, jutro postara się, by cały Berlin wiedział o tém. Zabawka ta trwać mogła naturalnie dopóty tylko, dopókiby ze swéj strony Reinhold i Elsa sami nie zawiadomili publiczności o zaręczynach swoich. Trzeba więc było pośpieszyć się już z tém teraz.

Elsa przeto natychmiast skreśliła słów kilka do ojca, zawiadamiając go o tém, co się stało. A teraz, kiedy się już stało mimo ich chęci i woli, imię jego córki nie powinno być narażone na obmowę, nikt tego lepiéj niż on sam nie pojmie. W jego czyste ręce ona składa czystą sprawę swoją.

Powierzywszy list ten staremu, pewnemu słudze dla odesłania go natychmiast na pocztę, Elsa utonęła w marzeniach. Zdawało jéj się, że czyta już owo ogłoszenie: Elsa Werben i Reinhold Schmidt, naczelnik locmanów narzeczeni, Berlin—Wissow! Jakże to dziwnie, jak słodko brzmiało. Co powiedzą na to przyjaciółki? co znajomi? Zdawało się jéj, że słyszy cały chór komentarzy, wywołany tą wiadomością w towarzystwie, a odśpiewany na rozmaite głosy pod przewodnictwem staréj baronowéj Kniebrech. Co za nowina! Co to jest naczelnik locmanów? Gdzie to Wissow? Dziwny gust miała zawsze panna Elsa! Hrabia mądrze zrobił, że się wcześnie usunął! Mówią, że to człowiek przyjemny. Oficer rezerwy. A la bonne heure! i t. d., i t. d.

Zatopiona w tych myślach, Elsa żywo chodziła po pokoju, wesoło uśmiechając się i rozmawiając sama z sobą; zapomniała w téj chwili o wszystkiém, co ją otaczało. Dopiéro kiedy przypadkiem zbliżyła się do okna i ogromna błyskawica oświeciła płaszczyznę całą tak, że nawet daleki dworek Pöllitzów ukazał się wyraźnie, jak za dnia, obecna chwila uprzytomniła jéj się. Natychmiast po błyskawicy straszny grzmot potoczył się z łoskotem; wszystkie okna zadzwoniły, jak gdyby zamek w podstawach swoich naruszony został; z wysokiego dachu gradem posypały się gonty, drzwi trzeszcza-

ły, żaluzye łomotały się, całe okna powypadały, a między murami, w szczelinach, w kominach wicher gwizdał, syczał, wył.

Naraz powstało wołanie i bieganie po zamku. Elsa zamierzała zejść do ciotki, kiedy stara pokojowa téjże sama przyszła, wzywając ją do pani baronowéj. Elsa natychmiast udała się do ciotki.

Baronowa spotkała ją u drzwi sypialni swojéj. Tak była blada i zmieniona, że Elsa aż się przestraszyła; starała się uspokoić ją, obiecując, że zostanie przy niéj, dopóki burza nie minie.

Ale baronowa, silnie trzymając ją za ręce, drżąc całém ciałem, wyszeptała: nie, nie, to nie burza, ja nie burzy się boję, ale ty pozostań przy mnie, pozostań! bo mi straszno, okropnie straszno!

To mówiąc osunęła się do kolan Elsy. Moja ty najdroższa, najukochańsza! muszę się przed tobą wyspowiadać—muszę—dziś lub nigdy! jutro on tu będzie! Trzeba, żebyś się o wszystkiém dowiedziała, trzeba koniecznie, chociażbym miała utracić to, co dla mnie najdroższém jest teraz: miłość twoję!

— Nie utracisz jéj, przysięgam ci!

— Nie przysięgaj, nic jeszcze nie wiesz!

— To nic, ciociu; wiém, że cię zawsze kochać będę. Bądź co bądź, byłaś i jesteś ukochaną siostrą ojca mego. Wiedziałam o tém i zawsze czułam pociąg do ciebie. Poznawszy cię, nie mogłam nie pokochać, widziałam cię tak nieszczęśliwą i mnie tyleś przyjaźni okazywała. Do tego dołączyła się jeszcze rzecz jedna; teraz już wiesz tajemnicę miłości mojéj, otóż ta miłość była jeszcze jednym węzłem, co mię z tobą wiązała. Czułam, że ty, ty jedna z rodziny naszéj pojmiesz mię najlepiéj, że łatwiéj niż kto inny zapomnisz o przesądach, które dzielą mię od ukochanego, od przesądów tych ojciec mój nawet nie jest zupełnie wolny. Wieleś ucierpiała i cierpisz jeszcze dla stosunku twego z Giraldim, ale właśnie ten stosunek był dla mnie rękojmią współczucia twego. Bądź co bądź, nie mogłaś potępić miłości mojéj, boś sama pokochała człowieka, zajmującego w społeczeństwie niższe niż twoje stanowisko; musiałaś zrozumiéć uczucie, któregoś sama niegdyś doświadczyła. O mojéj miłości nie śmiałam ci mówić dotąd; od jakiegoś czasu zdawało mi się, że i ty przedemną coś ukrywasz, czułam, że masz mi coś do powierzenia, a nie możesz się odważyć na to, i to mię onieśmielało. Teraz, kiedy moję tajemnicę przypadek odkrył, ty zwierz się ze swoją. Sama powiedziałaś, że chwila nadeszła, bądźże odważną, najdroższa moja, zrzuć z siebie ten ciężar, co cię przygniata; łatwiéj i miléj płakać i cierpiéć razem. Serce moje pojmie cię, serce nauczy, jak mam cię pocieszyć, jak wrócić ci spokój; niechże zostanę dla ciebie w istocie tym dobrym aniołem, jak mię nazywasz,

niech ci pomogę do zwycięztwa nad sobą samą i do dźwignięcia się z nieszczęścia i upadku.

I tak łagodnie mówiąc, całując i pocieszając biédną kobietę, posadziła ją na kanapie, sama usiadła obok, czule objęła w pół, kładąc głowę jéj na swojém ramieniu, powoli, powoli gwałtowne wybuchy rozpaczy uciszyła słowem i spojrzeniem i nadała rozmowie cichy, spokojny ton.

— Poznałaś już człowieka tego, mówiła Walerya, i wiesz, jaki wpływ wywierać może na tych, co go otaczają, ale trzeba było widziéć go w całym blasku młodości i piękności, by zrozumiéć, jaki niepojęty urok miał on wówczas dla kobiet. Pokochałam go silnie, namiętnie, bez granic. Nie wiem, czy natura tak mię nieszczęśliwie obdarzyła, czy zepsucie dworu, gdzie bardzo młodą przybyłam, tak zgubnie oddziałało na mnie; dość, że w sercu mojém i w wyobraźni musiały być wielkie zarodki złego, kiedym od pierwszego spójrzenia na tego człowieka, namiętną dla niego miłość uczuć mogła, ja, co za kilka tygodni miałam zaślubić innego. O hańbo! z tą namiętnością w sercu dla jednego, przysięgłam przed ołtarzem wierność drugiemu; przysięgę tę już wówczas złamałam, bo nie miałam zamiaru jéj dotrzymać.

— Ty drżysz, najdroższa?! A ja miałam wówczas przyjaciółki, które, wiedząc o tém, nie drżałyby wcale, tak, wiedziały nawet a nie drżały i, śmiejąc się, wskazywały na tę, która tak samo robiła i nie traciła nic na tém; mieszczanie zawsze pokornie przed nią kapelusz zdejmowali, szlachta kraju nizko się kłaniała, a uczeni i artyści składali pełne czci hołdy. Dla czegóż nam miało być wzbronione to, co jéj wolno? Byłyśmy równie piękne, równie dowcipne i wesołe. My to użyczaliśmy jéj tego blasku, jaki ją otaczał, mieliśmy więc prawo do swobód, których ona używała z naszéj łaski.

— Po ślubie mąż mój najniespodzianiéj dla mnie opuścił służbę państwową i wyjechał do dóbr swoich, chcąc ze mną tylko i dla mnie żyć, jak powiadał.

— To ostatnie powiedzenie uważałam za frazes tylko. W istocie, stało to tylko w jego programie, który nakreślił dla całego życia swego. Według tego programu, pewną ilość lat miał służyć krajowi, potém się ożenić i wyjechać do dóbr swoich. Małżeństwo było dla niego zadaniem, które miał odrobić tak, jak inne zadania życia swego; dokładnie wprawdzie, ale bez zapału jak wszystkie obowiązki życia swego.

Wszystko urządził, nie pytając mię o nic. Ja szalałam, rozpaczałam; ale zdradzić się nie mogłam ani jedném słowem. To mię tylko pocieszało, że Giraldi, spełniwszy swą misyą, odjeżdżał do

Rzymu. Pożegnaliśmy się, zaprzysięgając sobie wieczną miłość. Sądziłam, że się już nigdy nie zobaczymy. Spotkamy się znowu, rzekł Giraldi z owym uśmiechem, który znasz już.

— Nie wierzyłam temu, zrozpaczona przyjechałam tutaj.

— Ale czy to dla tego, żem zwątpiła już w urojone szczęście, czy że samotność i morze łagodząco wpłynęły na moję namiętność, a wreszcie może moje lepsze ja górę wzięło, dość, że szczerze starałam się spełnić obowiązki moje. Usiłowałam nawet pokochać męża mego, były chwile, że mi się zdawało, iż go kocham, wprawdzie chwile tylko. Przyznawałam mu wiele zalet, cnót nawet, ale różnica charakterów naszych była tak ogromna! Dla niego nie było nic wzniosłego: ani bogów, ani bohatérów! Próbowałam dzielić ten jego sposób zapatrywania się na rzeczy, chciałam w ciasne ramki rozumu mego wcisnąć całą duchową istotę moję, ale nadaremnie, nie mogłam, dusiłam się w téj suchéj atmosferze, w któréj on tak swobodnie się obracał; czułam, że wszystkie władze duszy mojéj zamierały w tém życiu tak pospolitém, tak powszedniém; zaczęłam brzydzić się niém, zaczęłam nienawidzieć męża mego, który chciał, bym ten męczący byt życiem nazywała.

— Wewnętrzna ta walka znużyła mię nie tylko moralnie, ale i fizycznie; zaczęłam zapadać na zdrowiu, wkrótce doszło do tego, że trzeba było zawezwać pomocy lekarzy. Kazano mi wyjechać, zabawić się, rozerwać. Mój mąż miał sobie naturalnie za obowiązek ściśle wypełnić te rozkazy. Cóż powiem ci o téj podróży? Przyniosła mi rozrywki, zmiany, ale spokoju ani szczęścia nie dała. Hołdy, uwielbienia, miłość nawet spotykały mię nieraz; pozostałam obojętną na to wszystko. Nie przez dumę ani poszanowanie małżeństwa, nie,—tylko serce moje wciąż się buntowało przeciw losowi, który odmówił mi tego jedynego szczęścia, jakiego pragnęłam wszelkiemi siłami duszy. Jedném słowem, było to wspomnienie owéj wielkiéj miłości, która była przedmiotem wszystkich marzeń moich, przez któréj pryzmat patrzyłam na wszystkie dni życia; miłości, która bez mojéj wiedzy nawet wciąż gościła w mém sercu.

— Dowiedziałam się o tém, kiedy już było za późno; kiedym go znowu zobaczyła.

— Nie z mojéj to winy stało się. Z najpewniejszego, jak się zdawało, źródła wiedziałam, że od lat kilku bawił w południowéj Ameryce. Rozkaz papieża, a jak on mówił, jego dobra gwiazda, przywiodła go z powrotem.

— Tegoż wieczora, kiedym go spotkała na balu u posła francuskiego, oświadczyłam mężowi, że chcę wrócić do domu. Nie powiedziałam mu dla czego, i on się téż nie pytał o to; przypomniał

sobie może, co mu dobrzy przyjaciele mówili niegdyś, a czemu wrodzone mu uczucie prawości wierzyć wówczas nie pozwalało. Teraz wiara jego zachwianą została, teraz może zaczął się domyślać, com wycierpiała przez te długie lata.

— W jego oczach wszakże nic jeszcze straconém nie było. Chciałam spełnić obowiązek mój i uciekałam przed pokusą. Milcząc, zgodził się na to. Nazajutrz opuściliśmy Rzym.

— I zaczęła się wówczas dziwna gra pomiędzy nami. Teraz jeszcze dreszcz mię przenika, kiedy pomyślę o tém, chociaż teraz już wszystko pojmuję jasno. Zamieniliśmy się zupełnie na role. Ja, dumna z odniesionego zwycięstwa, podniosłam głowę i z rezygnacyą poddałam się losowi; jego zaczął dręczyć niepokój i żądza szczęścia, którego ja się zrzekłam. Ożenił się ze mną, bom była młoda i piękna, może wtedy już kochał mię, ale kochał po swojemu, spokojnie i na zimno, teraz po raz pierwszy serce jego uderzyło miłością namiętną, tém straszniejszą, że nie umiał jéj ukazać, nie umiał wypowiedziéć, pożerała go cicho, tajemniczo. Co gorsza, widział, zdawało mu się przynajmniéj, że widział iż wzajemności mojéj pozyskać nie potrafi już, że droga do niéj zamkniętą już była. Nie wiedział o tém, że kobiéta rzadko kiedy umié się oprzéć słodkiemu uczuciu miłości, które w mężczyźnie wzbudziła. Widziałam ile cierpiał, litowałam się nad nim i cierpiałam z nim razem, a litość tak niedaleką jest miłości. I gdyby wówczas dziecinne głosy zaszczebiotały koło nas, gdyby dziecinna postać stanęła pomiędzy nami, możeby się wszystko zmieniło, możeby ich wpływ szczęśliwie podziałał na nasz stosunek, ojciec i matka stanęliby wówczas naprzeciw siebie i wzajemnieby się rozbroili może, między mężem tylko a żoną walka musiała trwać daléj.

— Pomimo to wszakże, możeby życie nasze powoli ułożyło się do zgody, gdyby mąż mój nie był wpadł na bardzo nieszczęśliwy pomysł. Wyjazd swój z Rzymu miał on dotąd za czyn dyplomatyczny, teraz, kiedy mię pokochał miłością, krok ten wydawał mu się nikczemną ucieczką, nędznem tchórzowstwem, którego darować sobie nie mógł, bo go uważał za jedyną przyczynę mojéj dla niego obojętności.

— Stosownie do zwyczaju swego, nosił się z tą myślą, nie dając się jéj poznać wcale, i byłabym nie dowiedziała się o niéj nigdy, gdyby nie list twego ojca, pisany wówczas do mego męża, a który wpadł mi w ręce dopiéro po jego śmierci. Z listu tego dowiedziałam się, że mąż mój radził się szwagra co do planu swego téj drugiéj podróży, którą zamierzył znowu odbyć ze mną. Ojciec twój odradzał mu to stanowczo, nie dla tego, by wątpił, że wyjdę zwy-

cięsko z téj próby, Werbenówna nie mogła nigdy upaść! ale że wszystko to uważał za romantyczną zabawkę, dobrą w komedyi francuskiéj, ale zupełnie niestosowną w życiu niemieckiéj szlachty. Wyrażał swe ubolewanie, żeśmy nie znaleźli szczęścia w związku naszym, ale nie widział rady na to. Powinniśmy się byli pokornie poddać losowi, któryśmy sami sobie zgotowali i z godnością dźwigać ciężar obowiązków, któreśmy wzięli na siebie.

— Rada ta nie poskutkowała wcale. Podróż do Rzymu nieodwołalnie postanowiona została. Mąż mój jak zwykle zawiadomił mię o tém bardzo grzecznie, ale stanowczo i nie pytając wcale o zdanie. Ja sama nie odzywałam się z niém również, od niego nauczyłam się milczéć. Mówiłam ci już, że byłam zepsuta oddawna; dotąd jednak pokazało się, żem była lepsza jak mi się saméj zdawało, mogę powiedziéć, że z czasem stałabym się istotnie lepszą. Ale teraz kiedy ofiara serca mego zapoznaną została, kiedy ten, dla którego samę siebie przezwyciężyć usiłowałam, do żadnéj wdzięczności nie poczuwał się za to, teraz dopiéro stałam się gorsza niż kiedykolwiek, teraz byłam prawdziwie zła. W myśli swéj szydziłam z zarozumialca, z szaleńca, który śmiał się mierzyć z najpiękniejszym człowiekiem. Zawczasu cieszyłam się upadkiem jego.

— Mogę powiedziéć, że wszystko się sprzysięgło przeciw mnie i popchnęło w jego ramiona: kilkoletnia a daremna męka, namiętność, która sztucznie tłumiona przez czas długi, teraz gwałtownie wybuchła, piękność i szatańska zręczność tego człowieka. Po kilku miesiącach, małżonek mój zaniechał bezużytecznéj walki, zbity, złamany, odjechał, zawiadomiwszy mię piśmiennie tylko, że mogę pozostać w Rzymie tak długo, jak mi się podoba. Może miał nadzieję, że jego wspaniałomyślność wzruszy mię, może sądził, że gdy go nie będzie, wtenczas dopiéro poczuję, com straciła—nie wiem. Wiem tylko, że nikczemna ta ucieczka nie wzbudziła nawet litości w mém sercu, że szczęśliwa byłam, odzyskawszy wolność moję. Wolności téj jednak używaliśmy bardzo ostrożnie. Ze szczęściem naszém starannie musieliśmy się ukrywać przed ludźmi. Dotąd dzięki zręczności jego, nie naruszyliśmy żadnych pozorów, mąż mój sam mię opuścił, i chodziło nam o to, by sam zerwał małżeństwo nasze, co naturalnie wyszłoby na moję korzyść, to jest naszą, bo losy nasze wspólne już odtąd były.

— Do tego przyłączyła się jeszcze jedna okoliczność. Giraldi przez szpiegów swoich dowiedział się, że małżonek mój słaby był, że doktorzy nie robili żadnéj nadziei. Spodziewaliśmy się, że umrze, rachowaliśmy na to, czekaliśmy tego. Czy uwierzysz temu Elso? Czy serce twoje nie odwróci się od téj, która tak nizko upadła?

Tymczasem wyjechaliśmy w góry, i syn mój przyszedł na świat w samotném ukryciu między Amalfi i Salerno. Powierzyłam go wiernéj słudze mojéj Feldnerowéj i sama z Giraldim natychmiast odjechałam. Trzeba było dla niepoznaki pokazać się w salonach Neapolu. I cóż powiész na to, żem ani wyrzutów sumienia nie czuła, ani tęskniłam do dziecięcia mego. Szalona byłam, i to jedno chyba usprawiedliwić mię może.

— Wkrótce jednak uczucie, którego nie znałam dotąd, zbudziło się we mnie. Feldnerowa zawiadomiła nas, że przejeżdżający znajomi poznali ją, i że o mało co tajemnica nasza nie wyszła na jaw. Prosiła zarazem, byśmy ją stamtąd zabrali z dzieckiem, pytała mię, czy nie chcę widzieć syna, którym królowa pysznićby się mogła. Zapragnęłam go widzieć, jego tylko brakowało mi do zupełnego szczęścia. Giraldi musiał użyć całego wpływu swego, by mię odwieść od tego, co mogło zniszczyć cały dotychczasowy plan nasz. Zaklinał mię, bym wytrwała jeszcze czas jakiś, jeżeli nie przez wzgląd na siebie samę, to dla dziecięcia naszego, które skazałabym na chleb żebraczy, przedwcześnie ukazując go światu.

— Jakże mogłam mu się oprzeć, ja, co dotąd jego chęci, jego myśli bezwarunkowo dzieliłam. Po krótkiéj walce, przystałam na przewiezienie Cezara do innego miejsca, gdzie tajemnicy naszéj nicby już grozić nie mogło. Giraldi sam pojechał w góry, przewiózł dziecię do Paestum i umieścił je u pewnego dzierżawcy. Wierna Feldnerowa w ponurém wprawdzie świetle przedstawiała tę nową siedzibę syna mego; miała to być przerażająca pustynia, spalona płaszczyzna, na któréj gościła wciąż prawie malaria; mieszkańcy jéj mieli blade, spalone gorączką twarze, chaty ich były nędzne i brudne. Oprócz tego rozbójnicy namnożyli się w sąsiednich górach i tak rozzuchwalili, że pomimo wojskowych eskort napadali na podróżnych. Dzierżawca, któremu powierzono Cezara, sam nie był pewny własności swojéj i długo się namyślał, zanim zdecydował wziąć pod swoję opiekę cudze dziecię, zwierzył się z tém przed pokojową. Opis ten uważałam za przesadzony, któregoś bowiem lata byłam, przejeżdżając, w Paestum, i miejsce to nie wydało mi się wcale takiém, jak ona mi je opisywała, Giraldi zaś ze swéj strony osłabił jeszcze wrażenie, sprawione na umyśle moim opowiadaniem Feldnerowéj, utrzymując, że dzierżawca chciał tylko wytargować takim sposobem większą zapłatę, a pokojowéj chodziło tylko o dostanie piękniejszego prezentu za mniemaną troskliwość o dziecko.

— W tymże czasie nadeszła wiadomosć o śmierci męża mego, a zarazem kopia jego testamentu. Był to cios okropny dla mnie,

który obalił cały świat marzeń, całe przyszłe szczęście. Przysięgam ci, że o nim tylko myślałam przy tém; żyłam tylko dla niego, dla niego oszukiwałam, dla niego kłamałam, dla niego przytłumiłam głos natury. Z nim mogłabym żyć w chatce; w pocie czoła mego mogłabym pracować na nas obojga, nie było rzeczy, któréjbym dla niego nie dokonała. On sarkastycznie się uśmiechał na to, nie wierzył w miłość, połączoną z ubóstwem.

— Testament pod karą wydziedziczenia wzbronił mi zaślubić człowieka, którego kochałam, ale nic nie wspominał o dziecięciu mojém. Teraz więc mogłam się już przyznać do niego, chciałam go mieć przy sobie, chciałam koniecznie, nieodwołalnie. Gorączkowa niecierpliwość opanowała mię, on także zdawał się podzielać to pragnienie serca mego. Blady, pomięszany, przynaglał nas wciąż do pośpiechu. Jakże mu wdzięczna byłam za to!

— Nareszcie wszystko już było gotowe do drogi, mieliśmy już wsiadać do powozu, kiedy stara kobiéta jakaś skulona na wschodach domu powstała, ujrzawszy nas i zbliżywszy się, na sposób neapolitańskich żebraków, pociągnęła Giraldiego za połę surduta. Ten się odwrócił i nadaremnie potém starałam się przypomnieć sobie szczegóły téj sceny. Feldnerowa i ja zajęte byłyśmy wsiadaniem. Wiem tylko, że kiedym się obejrzała, stara szybkiemi kroki znikała za węgłem domu, a on, odwrócony do nas plecami, w głębi sieni hotelowéj stał i czytał karteczkę jakąś. Potém przyszedł do nas. Musiałam jeszcze jedno rozporządzenie wydać odźwiernemu, rzekł, wsiadając i z uśmiechem ściskając mi rękę. Coraggio, anima mia, coraggio!

— Coraggio, odpowiedziałam. Zdawało się, że więcéj niż ja potrzebował słów tych: miał twarz tak bladą i tak ponure wejrzenie.

— Wieczorem stanęliśmy w małéj mieścinie, gdzie podróżni biorą wojskową eskortę. Tu znaleźliśmy ogromny popłoch; zbójcy dotarli aż do bram Salerno. Oddziały wojska przychodziły tu i odchodziły w rozmaite strony; jedne miały bronić miasteczek, drugie ścigać zbójców aż w górach. Z Paestum nie było żadnéj wiadomości, i wielkie były obawy o mieszkańców jego.

— Niewytłómaczona obawa ścisnęła mi serce: nieszczęśliwe dziecię moje rzucone w samo ognisko strasznych wypadków. Nadaremnie Giraldi starał się uspokoić mię, wołałam wciąż: daléj i daléj! O ćwierć mili stamtąd zetknęliśmy się z wojskowym posterunkiem, którego młody oficer grzecznie, ale stanowczo zatrzymał nas i kazał się zawrócić. Bandyci zrzucili most w Seli; prawdopodobnie

walczono już w otwartém polu koło Paestum. Spodziewano się jednak, że nazajutrz droga będzie wolna.

— Żadne prośby, żadne błagania nie pomogły, musieliśmy wrócić do miasteczka. Okropna rozpacz opanowała mię, obawa utracenia dziecka doprowadzała mię do szaleństwa prawie, byłam jak bezprzytomna noc całą.

— Nazajutrz droga była wolna w istocie. Sam oficer przyniósł nam tę wiadomość, ale namawiał zarazem, byśmy się zrzekli zamiaru naszego podróży do Paestum. Nie było już tam nic do widzenia; jak powiadał, wieś leżała w gruzach, dzierżawca, broniąc cudze dziecię, powierzone sobie, ciężko został raniony, a dziecię zbójcy uprowadzili w góry. Stało się to jeszcze zaprzeszłéj nocy, bandyci przeto mieli dość czasu ujść ze zdobyczą, do któréj widocznie wielką przywiązywali wagę. Może to nawet było głównym celem ich napaści, bo porwawszy dziecię cofnęli się, jak gdyby dla niego tylko narażali się sami. Była jeszcze nadzieja odebrania im tego łupu, przedsięwzięto wszelkie ku temu środki. Dziecię godne było pożałowania, ale rodzice jego nie zasługiwali na żadną litość, dobrowolnie wystawiwszy je na niebezpieczeństwo. A któż wie może sami nawet urządzili to porwanie: nieraz już były tego przykłady!

— Elso, Elso! nie śmiałam oczu podnieść, słysząc te słowa „nie zasługiwali na miłosierdzie!“ A jednak!

— Nadzieja nie zupełnie jeszcze stracona została. Codziennie prawie wracali mężczyzni, kobiety, dzieci. To nie nasz Cezar, mówiła Feldnerowa. Ja—wielki Boże! nie umiałabym poznać nawet dziecięcia mego! Feldnerowa płakiwała nocami całemi, zabroniłam jéj tego, zagroziłam, że ją odprawię, nie chciałam, by jęki jéj i żale powiększały ból jego, i tak już zdawał się cierpieć straszliwie. Nie wyrzekał się jednak nadziei jeszcze. Jeńcy zeznali, że jeden z ich głównych dowódzców, Lazzaro Cecutti, z dwoma innymi bandytami dokonał porwania tego, którego przyczyny oni sami nie znali i wysłał w góry dziecię z matką swą Barbarą. Lazzaro przeto, albo matka jego, mogli być pojmani także.

— Nie pojmano ich jednak.

— Chytrzy są, mówił Giraldi, czekają aż przestaną ich ścigać, a wtenczas zjawią się niespodzianie i zażądają wykupu. Możemy być spokojni o dziecię nasze, będą go strzegli jak oka w głowie.

— Ale skądże będą wiedzieli, gdzie mają nas szukać, kiedyś nie chciał ogłosić publicznie, że to nasze dziecię, ani téż wyznaczyć nagrody za nie.

— Bo to utrudniałoby im tylko możność zbliżenia się do nas, bez zwrócenia na siebie uwagi policyi. Bądź spokojna, Lazzaro dobrze zna adres nasz i w stosownéj dla siebie chwili odszuka nas z pewnością.

— Ściganie ustało prędko, dziwnie prędko, jak utrzymywały gazety. Ani Lazzaro, ani matka jego nie pokazali się. I ludzie przestali mówić o tém, śmiertelna cisza pokryła sprawę całą.

— Giraldi pocieszał mię, mówiąc, że niebo wynagrodzi nas drugiém dziecięciem. Ale niebo nie chciało wyrodnym rodzicom powierzyć drugiego.

— Dziękuję teraz Bogu, że tamto było jedyném. Wzdrygam się na myśl, że Cezar mógłby jeszcze żyć, że mógłby stanąć przedemną i zawołać: oto jestem twój syn! Czémże by było to dziecię, wychowane wśród zbójców i morderców? Czém byłby dla mnie, com mu życie dała, a nie kształciła ani duszy, ani charakteru jego! Czém byłby ten syn, co przyszedłby na to tylko, by przykuć mię znowu do człowieka tego, i w téj chwili właśnie, kiedy chcę zerwać ostatnie ogniwo łańcucha!

— On to przeczuwa, wie o tém. I dla tego wciąż wraca do przedmiotu tego. Cezar nie umarł, Cezar żyje i tuła się po świecie w postaci służalczéj, ale wkrótce zrzuci z siebie łachmany i ukaże się w całéj piękności swéj.

— I ja muszę słuchać tego, ja, co przekonana jestem, że to, co powiedział wówczas oficer ten istotną było prawdą. On sam umieścił dziecię w takiém miejscu, skąd natychmiast mógł je usunąć, jak tylkoby spostrzegł we mnie szczerą chęć ukazania go ludziom przed czasem. On sam oddał je na łup zbójcom. Owa stara kobiéta, co mu jakąś kartkę wręczyła wówczas, kiedyśmy wsiadali do powozu, zawiadomiła go, że zamach udał się i zbrodnia spełnioną została. Nieszczęściem dla niego, jednocześnie rząd ścigał złoczyńców, ale nic się nie wykryło!

— Do świadomości téj jednak nie prędko doszłam. Ileż lat trzeba było na to, abym przejrzała nareszcie! A dla czego przejrzawszy, nie zerwałam więzów, zapytasz się. O, bo ty nie wiesz, że w takim jak nasz związku, kiedy miłość niknie, na jéj miejsce rodzi się nienawiść, nienawiść i bojaźń, a kiedy cierpienie osłabi to ostatnie uczucie, wówczas zostaje jeszcze wstyd, wstyd przyznania się do tego, że się było wspólniczką zbrodni.

— Ah, Elso! przeszłam już wszystkie te stadya! Dzięki Bogu i tobie, jestem już w ostatniém!

— Kiedyśmy jesienią przybyli tutaj, czułam, że rozwiązanie zbliża się, i bałam się zdradzić najmniejszém słowem, spójrzeniem

Czułam dobrze, że teraz ostrożniejszym i uważniejszym jest niż kiedykolwiek, że podejrzywa o zdradę. Wyraźny dowód tego mam w tém, że nie ufa już wspólnikom swoim. Wszyscy słudzy nasi przekupieni są przez niego, Feldnerowa nawet na jego jest żołdzie, ale ta na pozór tylko. Bierze od niego piéniądze i oddajemy je ubogim. Mówi mu to tylko, o cośmy się wspólnie umówiły. Ale od czasu jak jesteśmy tutaj, nie daje już jéj żadnego polecenia.

— O planach swoich mówił ze mną po raz ostatni w dzień przyjazdu naszego do Berlina. O wstrętnych szczegółach rozmowy naszéj nie będę ci mówiła; dość ci wiédziéć, że mam nie tylko odwagę, ale i potrzebną siłę do zniweczenia zamysłów jego. Jutro ma przybyć tutaj, otrzymałam list od niego. A kiedy szydersko się śmiejąc, oznajmi mi o tém, o czém hrabia i Karla pośpieszyli go zawiadomić: że Elsa Werben utraciła prawo do dziedzictwa swego, wówczas usłyszy odpowiedź moję! I kiedy tryumfująco mi powié, że Ottomar wrócił do Ferdynandy i stracił również dziedzictwo swoje, i na to mu odpowiem. I będę miała siłę, będę miała odwagę, bo kocham cię, Elso, bo chcę, byś była szczęśliwą, boś ty dla mnie dziecięciem, ty dla mnie aniołem, ty dla mnie wszystkiém jesteś! Przy tych ostatnich słowach znowu się osunęła do kolan Elsy, złożyła na nich głowę swoję, objęła Elsę ramionami i długo, gorzko płakała. Elsa gładziła jéj włosy, całowała czoło, oczy, uspakajała jak dziecię cichemi słowy i szepty; potém, kiedy gwałtowny wybuch minął, zaniosła ją prawie na łóżko, sama uklękła przy niéj i długo jeszcze uspakajała, aż wreszcie cichy sen skleił powieki nieszczęśliwéj.

Elsa usiadła i wpatrzyła się w piękną, szlachetną a woskowobladą jéj twarz. Burza szalała na dworze, pioruny biły jeden po drugim. Elsa złożyła ręce, nie z bojaźni, ale w dziękczynném uczuciu, w chwili kiedy jéj ukochany życie swoje narażał, ratując innych, ona także uratowała duszę ludzką i doprowadziła ją do portu miłości. Siłą ich obojga była także miłość. Przez nią i dla niéj działali. Przez nią szczęśliwi byli, przez nią pragnęli szczęścia innych.

Tegoż samego wieczora Filip Schmidt wielki bal dawał z powodu inauguracyi nowego domu swego. Dom ten budował się rok cały, kosztował ogromne sumy i budził podziw tych, którzy mieli możność oglądania go zblizka. Od dwóch tygodni w pewnych kółkach mówiono tylko o nastąpić mającéj uroczystości. A kiedy nad-

szedł dzień balu i ogromne lustrowe okna zajaśniały mnóstwem ogni, które wspaniale się odbijały o rozmaitych kolorów jedwabne firanki, przed domem nagromadziły się tłumy ludu, z ciekawością przyglądając się gmachowi i szeregom pojazdów, które powoli przesuwały się przed pyszną, marmurową facyatą jego. Rozesłano piękny, brukselski dywan od wielkich podwoi, aż do powozów przybywających gości. Przed krużgankiem zawieszono kosztowny dach namiotowy. Wszystkie korytarze i sienie oświecono gazowém światłem; w komnatach zaś tysiące świec jarzących zapalono, tak jak na królewskich pokojach. Przy ich olśniewającym blasku oko wszędzie się spotykało ze złotem, marmurem i wszędzie z przepypychem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności tego samego dnia bardzo były burzliwe rozprawy w izbie. Podniesiono kwestyą grynderstwa i Lasker, jeden z posłów, w pełnych zapału słowach skreślił okropne nadużycia gryndero w i zgubne dla kraju skutki tak prowadzonych przedsiębierstw. Mowa jego ogromne zrobiła wrażenie, oświeciła publiczność, niewtajemniczoną we właściwe cele gryndero w, w owe środki zdzierstwa i oszustwa, na wielką prowadzonego skalę. Wywołała ona poklask u szlachetnych umysłów, na zgraję zaś spekulantów ogromną rzuciła panikę. Niejedna fabryka, na akcyach zbudowana, runęła wówczas, niejeden wielki dom, rano jeszcze potężny i panujący na giełdzie, wieczorem padł w haniebny sposób.

I w taki to dzień, kiedy rano, z trybuny sejmowéj słowa hańby sypały się na głowy spekulantów, wieczorem jeden z nich zapalił w pałacu swoim ognie tryumfu i zwycięstwa, niby na urągowisko opinii publicznéj. W tłumie, przypatrującym się temu, niejedna znajdowała się ofiara spekulanta i kolegów jego, niejeden głos podniósł się przeciw niesprawiedliwości takiego porządku i nadużyciu siły, ale głos ten przebrzmiał bez echa, przygłuszył go turkot pojazdów i huczna balowa muzyka. Skarżący się umilkł i cofnąć się musiał, bo jeżeliby się nadto zuchwale zbliżył do pałacu gryndera, to pyszne powozy przyjaciół jego mogłyby go obryzgać, obrzucić nawet całego błotem uliczném, błotem, kalającém nawet dobre imię i cześć osobistą.

Towarzystwo, zebrane na balu, nie składało wcale masy jednolitéj, nie należało do jednéj warstwy społeczeństwa. Była to najróżnorodniejsza mozaika: arystokracya, artyści, wojskowi, przemysłowcy, a nawet tak podejrzanéj sławy i opinii kobiéty, jak baletnica Bertalda. Filipowi chodziło o tłumy, to téż tłumy się cisnęły. Arystokraci chcieli widzieć, jak téż żyje plebejusz i co umié zrobić z pieniędzy, które według wszelkiéj sprawiedliwości nie jemu

się należą w podziale bogactw i marności świata tego. Artyści byli tu także jako konieczni satelici grynderów, kapitalistów. Przemysłowcy jako przedstawiciele epoki i współkoledzy gospodarza domu, wszyscy zaś w chęci nasycenia ciekawości, podbudzonéj zadziwiającemi opisami bogactwa i przepychu dorobkiewicza.

Giraldi także znajdował się między gośćmi. Ten przybył nie przez ciekawość, ani téż chęć zabawy; jemu chodziło o coś ważniejszego, w różnobarwnym tłumie upatrywał tych, z którymi potrzebował porozumiéć się i ostatnie oczka mistrzowsko zaciągnięte sieci mocno zadzierzgnąć. Wszedłszy na salę tańców, obojętnie niby przyglądał się bawiącym, ale spostrzegłszy Bertaldę, zwieszoną na ramieniu młodego oficera, skinął na nią nieznacznie i sam się usunął do przyległego gabinetu. Bertalda natychmiast opuściła tancerza swego i udała się za nim.

— I cóż? zapytał, siadając i wskazując jéj miejsce obok siebie. Czy otrzymałaś piéniądze?

— Tak, dziękuję panu bardzo. Mój brat..

— Nie potrzebuję wcale wiedziéć, coś zrobiła z niemi. O jedno tylko chodzi mi: czy udało ci się nareszcie?

— Z początku powiodło mi się, ale.... tu zaczerwieniła się.

— Nie przyszła? gwałtownie przerwał Giraldi.

— Owszem, długo i szeroko rozpowiadałam jéj o dzisiejszym balu, o strojach i t. d., wszystko to nie wiele ją zajmowało. Z oczu jéj tylko widziałam, że nie może dłużéj wytrzymać, i że rada była z podanéj sposobności odwiedzenia mię. Na półgodziny przed czasem zjawiła się, i tak jak pierwszą razą wszystko się jéj u mnie podobało. Pomagała mi się ubierać, wtem zadzwoniono. Kto to być może? mówię. Może pan Werben, rzekła moja Joanna, którą naturalnie uprzedziłam o tém. Czegóżby miał dziś przychodzić, przed samym balem? Może przyniósł bukiet, on tak zawsze pamięta o wszystkiém, odpowiada Joanna. Tymczasem ona, słuchając téj rozmowy czerwieniła się i bladła na przemian, drżąc cała jak w gorączce. Wreszcie rzuciła mi się na szyję i łkając, zawołała, „nie, nie, przysięgłam!“ I zanim się obejrzałam, już jej nie było w pokoju, wybiegła bez płaszcza i bez kapelusza. W téj chwili usłyszałam turkot powozu, który czekał na nią przed drzwiami i — rrr! pojechała. Na drugi raz nie ucieknie, jestem tego pewna.

— Na drugi raz, zawołał Giraldi, zaledwie hamując gniew swój, nie mogę przecie czekać do nieskończoności. Tak wiele rachowałem na to. Jakże on to przyjął?

— Nie posiadał się z rozpaczy. Nie mogłam go uspokoić. Na prawdę, boję się, by sobie nie zrobił co złego, jeżeli nie dostanie

téj dziewczyny. Wierzaj mi pan, że nie tak to łatwo dać sobie rady z nimi. Gdyby Werben nie obchodził mię tak bardzo, i nie było mi tak żal Ferdynandy, to za żadne w świecie pieniądze nie podjęłabym się tego wszystkiego.

— Czy Ottomar ma tu być?

— Zdaje mi się. Ale otóż i mój tancerz; grają już kontredansa, pozwolisz pan?

— Idź! A jeżeli go zobaczysz, to mu powiédz, że czekam na niego jutro rano, między 9—10. Już on sam będzie wiedział dla czego.

Pozostawszy sam, Giraldi głęboko się zamyślił. Potrzebował zastanowić się nad położeniem swojém. Pogorszyło się ono teraz znacznie. Od dzisiejszego rana nie mógł już wcale rachować na drugą ratę za dobra Warnowskie. Na spotkanie i pojednanie się Ferdynandy z Ottomarem tak na pewno liczył. To jedno tylko mogło stanowczo wpłynąć na zerwanie związku Karli z Ottomarem. A teraz któż wié, czy zniechęcony oporem Ferdynandy, Ottomar nie wróci się do Karli, która kochała go o tyle przynajmniéj, o ile zdolną była do tego. A przy lekkomyślnym jéj charakterze łatwo można było przewidzieć, że dla saméj rozmaitości chętnie wróci się do tego, któremu niegdyś oddawała pierwszeństwo. Co do pana Wallbacha, ten wyraźnie dał poznać Giraldiemu, że nie chce doprowadzić rzeczy do ostateczności; że chociażby nawet podzielał „domysły“ jego co do tego, że w ostatnich czasach Ottomar dopuścił się szachrajstw wekslowych, bezpośrednio jednak nigdy z podejrzeniem tém nie wystąpi. Jeżeliby domysły te zaczęły się sprawdzać, wówczas zwróci na to uwagę swoję, szczególnie jeżeli wieść o tém zacznie się rozchodzić, ale i to nie zmieni postanowienia jego; przekonany jest bowiem, że potwarz ta, jak z niewiadomego źródła wyszła, tak téż sama zniknie bez śladu. Co do stosunku Ottomara z Ferdynandą, jeżeliby miał jakieś pewne dowody na to, musiałby wówczas przedsięwziąć coś ze względu na siostrę, dla któréj podobna rywalizacya stałaby się w końcu niemożliwą. Otóż i ten jedyny dowód wyśliznął się dzisiaj z rąk Giraldiego, Ferdynanda uciekła przed tym, który był dla niéj światem całym.

Pozostała sprawa wekslowa!

Tu znowu trzeba było brać w rachunek dumę ojca, który, dowiedziawszy się o wszystkiém, wziąłby na siebie całą sprawę i takim sposobem uratowałby syna i ochronił rodzinę całą od wstydu. Nie tak to łatwo wprawdzie było o 20.000 talarów, ale w takich razach, kiedy chodzi o honor, robią się rzeczy niepodobne nawet, a jenerał musi mieć dobrych i możnych przyjaciół. W najgorszym

razie, gdyby baronowa Kniebrech i inni nadto rozpowszechnili wiadomość, powierzoną sobie pod pieczęcią tajemnicy, wyniknęłoby stąd parę pojedynków, co właśnie byłoby na rękę Ottomarowi, który niedawno jeszcze odzywał się z tém, że chciałby narachować ich cały tuzin.

A gdyby sprowadzić pojedynek między nim a Wallbachem?

Toby rozstrzygnęło wszystko.

Ale pan Wallbach miał zwykle rozstrojone nerwy i nie myślał wcale o żadnych pojedynkach.

A gdyby Ottomara podburzyć na niego?

Trzeba byłoby wyraźniéj działać i bezpośrednio wmieszać się do sprawy, a on postanowił nie zrzucać maski, aż....

Jeżeli jutro Walerya zgodzi się na wszystko, tak jak dotąd czyniła, to można będzie poczekać jeszcze i głębiéj zapuścić minę tak, by z gmachu szczęścia Werbenów nie pozostał kamień na kamieniu, by szczątki jego nawet rozleciały się w powietrzu,

Ale jeżeli opierać się będzie? Jeżeli po dwudziestu siedmiu latach uległości zbuntuje się nareszcie? wypowie mu posłuszeństwo i wróci do swéj własnéj roli, jako pani?

Biada jéj wówczas! On przygotowany był na to. Minął już czas wyczekiwania i dyplomacyi; wyraźnie określone stawało pytanie: tak lub nie!

Ale ona nie będzie miała odwagi. Mniejsza o nienawiść, byle się bała i słuchała!

Tu, usłyszawszy koło siebie szmer jakiś, podniósł głowę i spotkał się z ognisto czarnemi oczami ziomka swego.

— Eccolo! zawołał Giraldi z miłym uśmiechem, wyciągając do niego rękę. Jakżeś się tu znalazł, mój synu?

— Gospodarz domu tego potrzebował tancerzy na dzisiejszy bal, proszono mistrza, by przyprowadził z sobą kilku młodych artystów. Mistrz tak był dobry, że pomyślał o mnie.

— A czemu nie tańczysz?

— Nie mam takiego, jak Wasza Ekscellencya szczęścia; nie znam tak pięknych pań.

Giraldi uśmiechnął się, pytając siebie w myśli, czy Antonio poznał w Bertaldzie zakwefioną damę, co przychodziła do Ferdynandy. Zdawało się to niepodobieństwem, musiał jednak dać pewne wyjaśnienie co do poufnéj swéj rozmowy z piękną baletnicą.

— Zazdrościsz mi mego szczęścia, zapytał.

— A któżby na nie więcéj niż wasza Ekscellencya zasługiwał, odpowiedział Antonio z pochlebną pokorą.

— Za skromność twoję zostaniesz wynagrodzony. I bądź pewny zresztą, że szczęście jakie ja mieć mogę, niczém jest w porównaniu z tém, co ty posiąść jesteś w stanie. Ja stary już jestem i zmęczony życiem, ty młody i piękny; musisz więc pozyskać to, czego serce twoje pożąda, pozyskasz więcéj nawet. A co najbardziéj zemścisz się, srogo się zemścisz nad nieprzyjaciółmi twymi. Przysięgam ci na to!

— A teraz mój synu korzystaj z czasu, zapomnij o troskach i używaj młodości, baw się!

Wskazał na salę, podał rękę młodzieńcowi i sam wszedł.

Antonio ponuro spoglądał za nim. Nie wątpił on ani na chwilę, że piękna, młoda dziewczyna, którą przed chwilą widział tu na poufnéj rozmowie z Giraldim, była tą samą, która kilkakrotnie była w pracowni Ferdynandy i którą poznał był wówczas w gabinecie Giraldiego. Mogła to być jego kochanka, ale czegóż chciała od Ferdynandy? Dla czego on się taił przed nią z jéj znajomością, dla czego dziś jeszcze prędko odwrócił rozmowę na inny przedmiot, a raczéj powtórzył tylko te same piękne frazesa, któremi go zwodził dotychczas? Żadna z obietnic jego nie spełniła się dotąd. Czyż miał i nadal opierać nadzieje życia swego na tym, któremu oddawna już przestał wierzyć? Strzeż się, Signor, Antonia Michele! W chwili kiedyś przysięgał i on także się zaklął. Strzeż się, Signor!

Giraldi tymczasem przesuwał się powoli przez napełnioną salę, oglądając się od czasu do czasu, czy nie spostrzeże Ottomara. Sam nie wiedział jeszcze, co ma począć: oczekiwać na niego czy oddalić się. Pociąg do Sundinu wychodził o pierwszéj, miał więc jeszcze przed sobą pół godziny czasu. Dawniéj umiał się decydować w pięć minut, spotkanie się z Antonio wraz z innemi niepowodzeniami dnia tego denerwująco oddziałało na niego.

Oddawna już nie myślał wcale o młodym człowieku; nie był mu potrzebny, więc zapomniał o nim. Do intrygi, którą osnuł był około Ferdynandy i Ottomara, Bertalda była mu dogodniejszém i lepszém narzędziem. O Reinholdzie i Elsie oddawna wiedział już wszystko, co mu było potrzebne. Plan, który był ułożył w celu ustalenia chwiejącego się stosunku swego z Waleryą, okazał się zupełnie niewykonalny. W osobie Antonia chciał jéj przedstawić owego syna dawno opłakiwanego, ale próba nie udała się wcale, przeciwnie, wykazała tylko, że serce jéj może nawet całkowicie zamknęło się przed nim. A gdyby nawet wrócił kiedy do tego planu, niepodobna było myśléć o młodym Włochu, przeciw któremu podejrzenie Waleryi raz już było wzbudzone. Nie zadowolniłaby się

wówczas może najoczywistszemi dowodami, a tém mniéj na prędce ułożoną bajeczką jakąś.

I tak, widział teraz, że zupełnie napróżno pobudził namiętny charakter Antonia świetnemi nadziejami, ambitnemi marzeniami, które nie mogły się ziścić, i którym może już on sam nie wierzył! Czarne oczy jego tak dziwne miały czasem błyski, tak niespokojny miały chwilami wyraz, że Giraldiemu nieraz już na myśl przychodziło, że prędzéj czy późniéj młody człowiek dostanie obłąkania. Któż wié, może i teraz już nie zawsze bywał przytomny? I przed chwilą jeszcze, kiedy mu obiecywał srogą zemstę nad nieprzyjaciółmi, na ustach Antonia ukazał się złowrogi uśmiech, dający wiele do myślenia. Gdyby się dowiedział kiedy, że ten, który mu przyrzekał ukochaną przez niego kobiétę, sam ją rzucił w objęcia nienawistnego rywala?! A może mu wyznać wszystko, może mu powiedziéć: stało się, nie mogłem temu przeszkodzić; zabij mię! Albo, jeżeli chcesz pomścić nas obu, bądź gotów, za chwilę on tutaj będzie, masz sztylet przy sobie, ugodź nim!

Zatopiony w ponurych tych myślach Giraldi, oparty o drzwi sali, błędnym wzrokiem wodził po tłumie; wtém u przeciwległych podwoi spostrzegł Ottomara rozmawiającego z kilku oficerami. Włoch zadrżał; stanowcza chwila nadeszła, trzeba się zdecydować: wywołać wybuch albo wyczekiwać daléj. Nie, nie trzeba gwałtu, wszystkiego można spokojnie dokonać. Para fałszywych weksli, kilka słówek tu i owdzie rzuconych wystarczy.

Giraldi wyśliznął się z sali, przesunął przez szereg pokojów i dostał się do garderoby. W chwili, kiedy wkładał płaszcz, jeden z przybywających jeszcze gości poznał go zdaleka i szybko się zbliżył ku niemu.

— Wychodzisz już pan? zawołał.

— Tak jest, panie radco. Zmęczony jestem okropnie, tłum i gorąco tam niesłychane!

— Byłem dzisiaj u pana ze trzy razy. I cóż pan mówisz na to? co mówisz?

— O czém?

— Jakto o czém? a o czémże mówić dziś można, jeżeli nie o skandalicznéj mowie?

— A prawda! Wszyscy bez wyjątku mówią o niéj. Szczęściem, że mnie to nie obchodzi wcale.

— Nie bezpośrednio, to prawda! ale pośrednio szanowny przyjacielu, pośrednio! Miałeś pan słuszność, zupełną słuszność, kiedyś sam tylko był za tém, by drugą połowę sumy zaraz spłacono! Hrabia zrujnowany! nigdy już nie zapłaci téj drugiéj połowy.

— A więc nie pozostaje nic innego, jak zgodzić się z tém, czemu niepodobna zaradzić.

— Filozoficznie to bardzo! Ale łatwo to panu mówić, przy pańskich zdolnościach finansowych wynagrodzisz to sobie rychło. Dzisiaj dopiéro dowiedziałem się, że owe pół miliona pan sam pożyczyłeś hrabiemu.

Giraldi ściągnął brwi gniewnie.

— To hrabia wypaplał? pomimo danego słowa honoru?

— Hrabia, hrabia! zawołał tajny radca; jak gdyby on się troszczył o co! Ten rzuca wszystkie swoje akcye na giełdę, rujnuje nas i bawi się daléj. Nie mogę odżałować, żeśmy się zadali z wielkim panem Lübbener.

— Ah, tak, Lübbener, rzekł Giraldi.

— Naturalnie, że Lübbener musiał wypłacić panu owe pół miliona, kiedyś mu oświadczył stanowczo, że w przeciwnym razie natychmiast zażądasz subhastacyi. Nie dziwię się wcale, że pilno panu odzyskać pieniądze, które nie zdają się być dość bezpieczne, ale przyznaj pan, że ciężko to trochę, kiedy tak nieprzyjaciele, jak przyjaciele dążą do zrujnowania nas.

— Nie sądziłem by to jakąkolwiek trudność sprawiało Lübbenerowi.

— Mylisz się pan; położenie jego jest prawdziwie rozpaczliwe. Dzisiaj rano mowa Laskera, zniżenie kursu na dwadzieścia procentów, po południu wypłata pół miliona, do czego nie był przygotowany, to początek końca.

— To samo mówił mi niedawno pan Wallbach; nie sądzę jednak, by rzeczy tak źle stały. Na razie, naturalnie, trudne będą chwile, ale późniéj, gdy pierwsze wrażenie przeminie, wszystko inaczéj pójdzie, a wreszcie do dawnego wróci porządku. Tymczasem wybacz pan, że go pożegnam, tak tu gorąco.

— Chciałbym iść z panem, ale muszę się tu zobaczyć z Lübbenerem, potrzebuję go zawiadomić o tém, com słyszał u ministra, a co mu w jutrzejszéj walce przyda się bardzo. Co on pocznie teraz nie pojmuję nawet. Najpóźniéj za cztery tygodnie nastąpi upadek jego, a z nim i nasz.

— Bardzo mi przykro, ale chociażby świat cały miał się za godzinę zawalić, muszę się teraz udać na spoczynek. Żegnam pana.

Giraldi wyrzekł te słowa z widoczną niecierpliwością i złowrogim błyskiem oczu. Radca zmieszany puścił klapę surduta, za którą go przez cały ciąg rozmowy trzymał. I potém chwil kilka ze zdumieniem spoglądał za odchodzącym. Nie mógł pojąć, w jaki sposób można było myśléć o spoczynku w takiéj chwili.

Przygładziwszy włosy i poprawiwszy ubiór, miał wejść na salę, kiedy nowy gość przybył i, pośpiesznie zrzuciwszy futro, kazał je osobno położyć, bo miał wyjść niebawem. Ujrzawszy radcę, podbiegł ku niemu. Miał przytém tak dziwny, przestraszony wyraz twarzy, że radca zawołał.

— Lübbener, co ci się stało?

— Lübbener położył palec na ustach, pociągnął przerażonego radcę w kąt garderoby i, podniósłszy się na palcach, szepnął mu do ucha: czy on jeszcze na górze?

— Kto? Giraldi? odpowiedział radca, wciąż jeszcze mając na myśli Włocha.

— On! Filip Schmidt!

Pytanie tak było dziwaczne, że w innych okolicznościach radca roześmiałby się szczerze słysząc je, teraz zaś zadziwił się tylko i przestraszył. Twarz mówiącego była popielato blada, czarne oczka dziko błyszczały, krótkie włosy zdawały się stać każdy z osobna.

— Nie patrz na mnie jak na szalonego, mówił daléj z przytłumioną gwałtownością; przytomny jeszcze jestem i chciałbym tylko, by inni mieli tak zdrowe jak ja w téj chwili zmysły. Byłem właśnie u Haselowa, chciałem u niego dostać 100.000, mam na jutro znaczne wypłaty, których się nie spodziewałem. Haselow powiada mi, że zupełnie w takiém samém znajduje się położeniu; Signor Giraldi przed godziną jeszcze zabrał mu ostatnie 50.000 z Warnowskich pieniędzy,—w ciągu trzech dni całe pół miliona. Straszne, straszne rzeczy się dzieją. Wczoraj Golm rzucił pół miliona akcyj na giełdę, dzisiaj mowa Laskera i spadek papierów na 20, po południu wypłata Giraldiemu! Walczyłem, walczę jeszcze do upadłego, ale co za wiele, to za wiele!

— Smutna to rzecz bardzo, odrzekł radca wzdychając, nasze piękne przedsiębierstwo! Ale....

— Cicho! przerwał Lübbener.

Stał chwilę przysłuchując się, potém szybko przystąpił do okna i wyjrzał w sień, potrząsł głową, wreszcie, niezrozumiale coś szepcząc i oglądając się, wrócił do radcy i dał mu znak, by się nachylił do niego.

— Wielkie niebezpieczeństwo grozi nam, szepnął, wskazując na górę. Nasze cztery miliony, które teraz powinnyby pójść w obieg, gdyby....

— Na miłość boską, zawołał radca z najwyższém przerażeniem.

— Nieokreślone jakieś podejrzenie nie dawało mi spokoju. On i ja tylko mamy klucze, jak wiesz. I kiedy ja—biura były już pozamykane—powiedziałem słudze, że mam jeszcze interes do kasy i jak raz...

Tu bankier wprost do ucha radcy szepnął jeszcze słów kilka.

Potém popatrzyli sobie wprost w oczy. Twarz radcy tak się zmieniła teraz jak jego towarzysza poprzednio.

— Ależ to trzeba do prokuratora! rzekł gwałtownie.

Złośliwy uśmiech wykrzywił usta bankiera.

— Trudno mi trochę było przekonać go.

— A zatém?

Bankier skinął głową.

— A kiedy?

— Oczekuję na niego w każdéj chwili. Żądano, ażebym się pokazał w towarzystwie, bo....

— Naturalnie! rzecz pewna! Przykro to, bardzo przykro, ale w takim razie... I zbliżył się do stołu garderoby.

— Panie radco! przecież pan nie... zawołał bankier, zatrzymując go za poły.

W téj chwili w przysionku rozległ się głos trąb. Słudzy rzucili się do okien, dziewczęta obsługujące w damskiéj garderobie wybiegły wołając: idą już, idą!

Trąby zabrzmiały po raz drugi; ośmiu trębaczy przebranych za heroldów, wzniosłszy do góry długie instrumenta swoje, trzykrotnie ogłosiło wezwanie na wieczerzę. Zaraz potém podwoje górnych komnat na oścież się rozwarły i różnobarwny tłum ukazał się w nich.

Goście zaczęli schodzić po marmurowych stopniach, tak szerokich, że dwie pary swobodnie mogły iść obok siebie. Świetny ten potok spływając powoli, rozlewał się po przysionku, który napełnił się wkrótce; na galeryach otaczających sień, mnóstwo osób stało jeszcze, oczekując na swobodne przejście i przypatrując się pięknemu widokowi. Ogromne pająki i ścienne świeczniki oświecały a giorno sień, ozdobioną czterema posągami Andersa i pięknym kosztownym dywanem, który zawieszono między kolumnadą. Heroldowie szli naprzód, za nimi posuwały się tłumy aż do olbrzymich drzwi sali jadalnéj, które otwarły się przed nimi, i z głębi dała się słyszeć łagodna muzyka, wzywająca wszystkich do biesiady.

— Widziałeś go? zapytał Lübbener radcę.

— Jakże nie! odpowiedział tenże wzdychając. Ze starą moją

przyjaciołką, baronową Kniebrech, pod rękę! pyszny jest! U tego człowieka nerwy muszą być jak liny okrętowe!

— Sądzę, że i pan już teraz pójdziesz ze mną, chociażby dla tego samego, że nie będziesz mógł teraz wyjść z domu.

— Tak myślisz? rzekł radca, wzdychając znowu. No, to już niema rady na to.

I posunął się ze swoim towarzyszem ku sali jadalnéj.

W ogromnéj sali byłoby miejsce dla wszystkich, gdyby w porządku siadano przy stolikach, z których każdy nakryty był na ośm osób; ale przewidywano, że tak nie będzie i dla tego przygotowano jeszcze stoły w zimowym ogrodzie, znajdującym się obok sali i łączącym oba skrzydła domu.

Przy tak wielkiéj ilości osób niepodobna było myśléć o jakimś systematycznym porządku. Goście sami sobie dobierali miejsce i współbiesiadników, szukano się wzajemnie i grupowano około oddzielnych stołów. To téż gwar był niesłychany; śmiano się, żartowano, i na pozór zdawało się, że wesoła muzyka doskonale harmonizuje z ogólném usposobieniem gości. Swoboda zupełna panowała między współbiesiadnikami, wołano na służbę, wybierano sobie do gustu pewne gatunki wina; z jednego stołu na drugi podawano sobie półmiski i butelki. Zupełnie jak w hotelu, mówiła stara baronowa Kniebrech. Jak u dorobkiewicza i plebejusza, dorzucił Wallbach.

Filip ze szklanką w ręku obchodził stoły. Tu oddawano mu pochwały za świetne urządzenie zabawy, owdzie po przyjacielsku żartowano, jedni witali go poufale,—drudzy, teraz dopiéro dowiadywali się, że to jest właśnie gospodarz domu.

Nie obeszło się naturalnie bez zwykłych w takich razach mów. Najprzód wystąpił młody człowiek, subjekt w jakimś domu handlowym, znany ze swego talentu krasomówczego. Był to talent iście pozorny tylko, bo zasadzający się jedynie na gładkiéj, płynnéj mowie. Umysł przytém powierzchowny był i płytki, posiadający tylko szczególną właściwość stosowania się do ludzi i okoliczności, co mu zapewniało łatwe tryumfy. I teraz oto olśniony przepychem, na który patrzał, począł opiewać chwałę człowieka, który własnemi li tylko siłami zdobył sobie bogactwo, znaczenie, który własnym li tylko przymiotom zawdzięczał stanowisko swe, jakiego nikt i nic za-

chwiać nie mogło—ani zawiść mniéj od niego szczęśliwych, ani nawet krzyki pewnych posłów z trybuny.

Na te słowa, odnoszące się do burzliwego posiedzenia izby dnia tegoż i mowy Laskera, powstał gwar wielki między słuchaczami; jedni przyklaskiwali, drudzy z oburzeniem sykali—widocznie opinia dzieliła się na dwa obozy. Postrzegłszy to, a nie chcąc narażać sławy swéj na niepewny rezultat, mówca zaniechał tak drażliwego przedmiotu i dalszy ciąg mowy jego rozpłynął się w czczych frazesach i ckliwych pochwałach gospodarza.

W odpowiedzi na to, Filip podziękował mówcy, ale zrobił mu zarzut, że w mowie swéj jedyne i największe znaczenie nadawał sile, odwadze i uczciwości, przymiotom, których żądać należy od każdego człowieka, a nie wspomniał o inteligencyi, która nieodmiennie potrzebna jest do walki z życiem. Przyznawał, że rzadko kiedy daje się spotkać w jednéj osobie tak szczęśliwe połączenie głowy z sercem, jakie np. widzi w ideale swoim—w księciu kanclerzu państwa, który jest dla niego nietylko ideałem, ale i wzorem zarazem. Niepodobna wprawdzie posiadać, jak on, wszystkich przymiotów, ale należy przynajmniéj szukać ich w otaczających nas ludziach i łączyć się wówczas z nimi. I dla tego to, on sam, tak ściśle się zjednoczył ze swymi dwoma przyjaciołmi, Lübbenerem i Schielerem, którzy uosabiają potrzebną mu właśnie wyższą inteligencyą i z nimi wespół utworzył jednę, szczęśliwą całość, któréj właśnie dla tego wszystko powodzi się w życiu,—musi się powodzić. Nie mogąc pić ich zdrowia, jako sobowtórów swoich, wnosi zdrowie budowniczego, który dom jego stawił i artystów, którzy go ozdobili; im to bowiem zawdzięcza przyjemność, jakiéj doznaje przyjmując w swym domu tyle znakomitych i miłych osób.

Na to, w grupie artystów wielkie powstało wzburzenie; trzeba było odpowiedzieć na toast. Kto miał to uczynić? Po długich debatach dano głos Andersowi. Ten, podziękowawszy gospodarzowi za jego uprzejmość, zakończył mowę swę temi słowy:

— Ponieważ każdy z mówców dzisiejszych wskazywał po sobie następcę, a takim sposobem nigdy końca temu nie byłoby, ja zatém wybrałem sobie takiego, którego niema tu. Proszę wypić zdrowie jego, bo mówił on już raz dzisiaj, i tak mnie, jak wielu innym do serca przemówił. Wnoszę téż po raz drugi zdrowie jego, bo źle byłoby, gdyby w tém towarzystwie, gdzie mówiono przeciw niemu, żaden głos nie podniósł się za nim. I po raz trzeci mówię: niech żyje! bo potrzebuje on żyć długo, bardzo długo—trzy razy dłużéj niż inni ludzie, by dokonać téj herkulesowéj pracy, jaką przedsięwziął.

Tu Justus wyprostował jak mógł maleńką figurkę swoję i głosem donośnym zawołał:

— Niech żyje Edward Lasker!

— Niech żyje! wołali artyści, a niespodzianie zaskoczeni przeciwnicy milczeli; ci zaś, a było ich wielu, których dotknęło lekceważące słowo pierwszego mówcy, wykrzykiwali z radości.

Cała ta burza trwała jeszcze, kiedy Antoni, kamerdyner Filipa, wszedł na salę i oczami wyszukawszy pana swego, starał się do niego przecisnąć. Filip, otoczony gronem mężczyzn, którzy z oburzeniem powstawali na zuchwalstwo Andersa, starał się uspokoić ich i tak był zajęty sporem tym, że nie zaraz dostrzegł służącego, który gwałtem prawie odprowadził go na stronę i szepnął coś na ucho.

Na piewsze słowa jego, Filip zbladł śmiertelnie i gwałtownie pociągnął go jeszcze parę kroków daléj.

— Gdzie on? spytał pośpiesznie.

— Tuż obok, w sali bilardowéj, odpowiedział Antoni; oto bilet jego.

Służący był tak blady, jak i pan jego. Słowa z trudnością przechodziły przez zaciśnięte zęby jego.

— Czy ma z sobą ludzi?

— Są—i w przedpokoju i na dziedzińcu i na ulicy. Ah panie, panie!

— Cicho! Czy chcesz mi dopomódz?

— Chętnie, panie.

Filip szepnął mu słów parę na ucho; służący śpiesznie opuścił salę i nie zatrzymany przez nikogo znikł w suterynach. Filip stał przez chwilę ze spuszczonemi oczami i zaciśniętemi wargi. Tego się nie spodziewał; był wprawdzie przygotowany do podobnego ciosu ale sądził, że ma przed sobą tydzień czasu jeszcze przynajmniéj. Sam szatan zesłał Lübbenera! Filip podniósł oczy i spotkał wzrok bankiera, który pozornie zajęty żywą rozmową z kilku panami, bacznie śledził krótką scenę między panem a sługą, i szybko się odwrócił spostrzegłszy, że Filip zbliża się ku nim.

— Przebaczcie mi panowie, że was opuszczę na chwilę; mam jeszcze wydać pewne rozporządzenie co do kotyliona. Mówiąc to zwykłym swym trochę nosowym i powolnym tonem, ujął dłoń Lübbenera i potrząsając nią niby w przystępie dobrego humoru, odciągnął go na bok.

— Co chcesz? wyjąkał Lübbener.

— Powiedzieć ci tylko, odrzekł Filip, zgrzytnąwszy zębami, że prędzéj czy później zapłacisz mi za to.

Odtrącił bankiera i pewnym krokiem wszedł do sali bilardowéj, gdzie czekał na niego mężczyzna jakiś; ten właśnie w téj chwili zdawał się przypatrywać ozdobom drzwi, któremi wszedł Filip.

— Pan komisarz Müller? rzekł, trzymając jeszcze kartkę w rękach.

— Tak jest, odpowiedział urzędnik, nie spotrzegając niby wyciągniętéj do siebie dłoni gospodarza.

— Czemu zawdzięczam przyjemność widzenia pana tutaj? zapytał Filip.

— Przyjemość to nie wielka panie Schmidt! Mam rozkaz aresztowania pana.

Komisarz wydobył z kieszeni papier i pokazał go Filipowi; ale ten, nie patrząc nań nawet, ujął jednę z kul bilardowych i, od niechcenia podrzucając, rzekł swobodnym tonem:

— Rozkaz aresztowania mnie? Cóż to znowu? Grasz pan w bilard?

— Kiedy mam czas, co mi się rzadko zdarza, jak w téj chwili naprzykład, i dla tego muszę prosić pana, byś niezwłocznie udał się za mną.

— Bym opuścił gości moich! Ależ, panie Müller, pomyśl pan, 400 osób bez gospodarza! Czyż to podobna?

— Musi być podobna!

— Tak? No, to przynajmniéj zróbmy układ jakiś. Możesz mi pan oszczędzić wielkiéj przykrości i mam nadzieję, że się zgodzisz na to chętnie. Możesz pan wejść na salę, jako mój gość—przedstawię cię wreszcie jako kuzyna mego, czy coś podobnego. Przepędzisz pan wieczór z nami—nie stracisz mię z oczu, ma się rozumieć. A potém, w moim powozie pojedziemy razem.

— Przykro mi, ale to niepodobna! Pojazd jest już; stoi na dziedzińcu między innemi powozami. Nie potrzebujemy przechodzić ani przez salę ani przez sień, nikt nas zatém widzieć razem nie będzie. Widzisz więc, panie Schmidt, że względny dla pana jestem, o ile mogę, ale prosiłbym nie wystawiać dłużéj cierpliwości mojéj na próbę.

— Niechże i tak będzie, kiedy nie może być inaczéj; ale przebrać się będę mógł przecie?

— Nic nie mam przeciwko temu, ale muszę być przytém obecny.

— Cóż to szkodzi, panie Müller, między mężczyznami! prosze!

Filip poszedł naprzód, a tuż za nim komisarz. W bibliotece, do któréj weszli, czekał drugi urzędnik.

— Ostrożny z pana człowiek, panie komisarzu, rzekł Filip, ujrzawszy go.

— To mój obowiązek. Ale, dodał ciszéj, jeżeli mi pan dasz słowo honoru, że nie będziesz starał się uciec, co wreszcie daremném byłoby, w takim razie mógłbym panu oszczędzić téj przynajmniéj przykrości, i sam tylko towarzyszyć panu.

— Że nie będę starał się uciec zawołał Filip, śmiejąc się; ależ panie komisarzu, o niczem więcéj nie myślę; skryłbym się pod ziemię, przelazłbym przez ścianę, gdybym mógł!

Powiedział to tak komicznym tonem, że urzędnik mimowoli się zaśmiał.

— Idź do przedpokoju, rzekł do swego podwładnego.

— Dziękuję panu za zaufanie, mówił Filip idąc po kręconych a bardzo ozdobnie złoconych wschodach, które prowadziły na górne piętro.

— Bo téż przyznam się panu, że całéj téj sprawy nie biorę wcale na seryo.

Przeszedłszy parę pokojów, Filip otworzył drzwi, prowadzące do sypialni—proszę pana, rzekł, niech pan wejdzie; dotąd jeszcze jestem tutaj gospodarzem domu.

Urzędnik wszedł pierwszy, ale przygotowany był zatrzymać drzwi nogą, gdyby więzień jego chciał zamknąć je za nim samym. Filip wszedł jednak tuż za nim i zatrzasnął drzwi za sobą.

Sypialnia tak jak i wszystkie pokoje rzęsiście była oświeconą, w sąsiednim tylko gabinecie do ubierania panowała ciemność. Filip wziął w rękę jeden ze świeczników, stojących w sypialni, i wszedłszy do gabinetu, oświecił go w około, jak gdyby chcąc pokazać komisarzowi, że tu nie było innych drzwi oprócz tych, jakiemi właśnie weszli. Potém postawił świecznik na stole, zdjął z siebie frak i zaczął rozwiązywać krawatkę.

— Zanim się pan ubierze, zaczekam w sypialnym pokoju, rzekł urzędnik.

I wyszedł do sypialni, nie zamknąwszy drzwi jednak. Rozmowa toczyła się daléj.

— A propós, mówił Filip, trzeba było powiedzieć tam na dole, żem zasłabł, albo coś podobnego.

— Nic nie miałbym przeciwko temu, odpowiedział urzędnik,

ale nie sądzę, by się to na co przydało teraz; pomimo woli mojéj, wieść się już musiała rozejść.

— Niechże więc i tak będzie, rzekł Filip, zajęty, jak się zdawało, butami swemi. Szkoda tylko, że to noc teraz, inaczéj jestem pewny że za godzinę już zostałbym wolny. Nie pytałem nawet o co mię obwiniają, ale domyślam się, że to jakaś nikczemna sztuczka Lübbenera, który chce mię wypchnąć z zarządu. Wiedziałem, że oddawna w okropném jest położeniu, i że kapitały nasze nie są przed nim bezpieczne w kasie. Czterech milionów nie wziąłby wprawdzie, tak na słowo prawie, ani bank państwowy, ani żadna z wielkich firm,—ale pomniejsze, a zna ich dosyć, musiały mu ofiarować jakie sześćset lub ośmset tysięcy talarów—bagatela to niby, ale w jego położeniu! I dla tego pomyślałem sobie: wolę je zabrać do siebie. I miałem słuszność, jak widać, bo skądżeby mu na myśl przyszło mnie podejrzywać, gdyby był nie miał tego zamiaru. Postąpiłem zbyt śmiało—wiem o tém, ale to już taka moja ryzykowna natura. No—jeszcze buty!

Tu słychać było, jak szafę otworzył i zdawał się w niéj szukać czegoś. Komisarz słyszał, jak mówił do siebie: lakierowane buty—ani sposobu; to niegodne—ah, otóż!

Potém trzask krzesła: pan Schmidt wysoki był i barczysty—musiał być ciężki. Potém na wpół głośna klątwa—buty, jak widać, ciężko wchodziły; nareszcie cisza.

Tymczasem, Müller powstał z fotelu i zbliżył się do okna. Dźwięki hucznéj muzyki dochodziły aż tutaj z sali balowéj; miano widać ochotę, nie czekając nawet gospodarza, wrócić do tańca. Pod oknami aż do krużganku ciągnęły się długie szeregi powozów i ogromny panował tam hałas, na który składały się głośne rozmowy, krzyki woźniców, klaskanie z biczów i uderzenia kopyt końskich.

— Wcale nieprzyjemna to dla pana Schmidta sprawa w takiéj chwili, pomyślał komisarz. Nie zupełnie to tak być musi, jak on mówi, ale Lübbener jeżeli nie gorszy, to i nie lepszy od niego. No, mógłby się już ubrać dotychczas.

Odstąpił od okna. Gotów pan jesteś? panie Schmidt, zapytał.

Żadnéj odpowiedzi.

— Czy pan—Boże! może sobie co zrobił!

Urzędnik wbiegł do garderoby, Świecznik palił się na stole; suknie i bielizna leżały porozrzucane—pokój był próżny.

— Daj pan pokój złym żartom! wołał komisarz, spoglądając na wpół otwarte wielkie szafy.

Ale przekonał się zaraz, że nie było co myśléć nawet o żartach. Chwyciwszy świecznik zbliżył się z nim do szaf i oglądał je starannie: ani śladu drzwi żadnych! a musiały być jednak! Nakoniec! maleńka szpara zaledwie widoczna, a poniżéj prawie niedojrzany zameczek. To były drzwi, ale tak doskonale zrobione i osadzone, że niczem się nie wyróżniały od ścian. Müller silnie uderzył o nie; były z żelaza, i pomimo największego wysilenia nie mógł ich wysadzić. Wybiegł do sypialni; tu drzwi, prowadzące do dalszych pokojów, zamknięte były! Schmidt zamknął je był wówczas gdy weszli razem. Obok klamki znajdował się zameczek taki, jak przy drzwiczkach żelaznych, komisarz ujrzał się pojmany!

Wściekły, wyrwał okno i krzyknął z całych sił na ludzi swoich, z których dwoje musiało się znajdować na dziedzińcu. Ale tu muzyka, tam konie, a między niemi formami, co się śmieli i hałasowali; nikt nie mógł słyszeć wołającego. Nareszcie w rozpaczy zaczął rzucać przez okno wszytko, co mu w ręce wpadło.

Wówczas przedmiot jakiś uderzył w głowę któregoś z ognistych koni; ten się porwał, stanął dęba i gwałtownie rzucił pojazd w tył; ten uderzył o następny, stojący w szeregu. Zamięszanie nie do opisania nastało wówczas; nareszcie wszystko to zwróciło uwagę jednego z policyantów. Ten, szybko wbiegłszy do sali, która łączyła ulicę z dziedzińcem, przywołał stojącego tam kolegę; zawiadomił go, że musiało coś zajść, i że ma baczną uwagę zwracać na wszystko. Powiedziawszy to w kilku słowach, pośpiesznie wybiegł kiedy z wewnątrz domu weszli na salę dwaj słudzy: jeden, starszy, zdawał się drżeć ze wzruszenia; drugi młodszy, bardzo wysoki, który w pośpiechu idąc potrącił policyanta. Temu ostatniemu wydało się to dosyć dziwne; tembardziéj, że w téj chwili, przez drzwi, któremi weszli i które w pośpiechu zostawili na wpół przymknięte, spostrzegł wązkie, kamienne wschody.

— Co się tam stało? zawołał.

— Apopleksya uderzyła pana Schmidta, odpowiedział młodszy sługa. Biegnę po doktora, nie zatrzymujcie mię! Oto kartka pana komisarza!

— Puście go! zawołał policyant do kolegi swego, rzuciwszy okiem na kartkę. Idzie po doktora! Jak się tam dostać?

— Temi wschodami, odpowiedział sługa pośpiesznie i, wybiegłszy na ulicę, gdzie stały szeregi dorożek—powozom tylko pozwolono wjeżdżać na dziedziniec—wskoczył do jednéj z nich, wołając na woźnicę, że dobrą mieć będzie zapłatę, byle się śpeszył, bo tu chodziło o życie!

W sali jadalnéj tymczasem coraz większe powstawało zamięszanie. Wiele osób, szczególnie należących do wyższéj klasy, opuściło już towarzystwo. Tylko baronowa Kniebrech nie mogła się zdecydować na to, pomimo usilnéj namowy Wallbacha, który przywiózł ją tu w swoim powozie. Bawiło ją niesłychanie to różnorodne towarzystwo, w którém się znalazła po raz pierwszy w życiu.

— Jeszcze trochę, mówiła do niego, nie odejmując lornetki od oczu. To takie zajmujące; jak żyję, nie widziałam nic podobnego. Spójrzno kochany Wallbach, tam koło stołu, gdzie siedzi łysy człowiek, co wniósł zdrowie Laskera, ten z długiemi blond włosami jakże zajęty sąsiadką swoją! A to komiczne!—kto jest ten młody człowiek z czarnemi włosami i oczami ognistemi? to być musi cudzoziemiec,—tak wygląda; przez cały wieczór nie spuścił oka ze stołu, gdzie siedzi Ottomar i piękna tancerka. Nie pejmuję tego Ottomara, czego on się ugania za tą panną Schmidt, mając tak piękne do wyboru twarzyczki. Patrz no! Ottomar rozmawia z młodym Griebenem, co to spokrewniony z baronową Holzweg. Jeżeli się stara wygadała przed nim, a musiała wygadać, to Grieben z pewnością wszystko powtórzy Ottomarowi.

— Ależ, szanowna pani, spodziewam się, żeś zachowała w tajemnicy to, com mówił o nim! Uważałem nawet, że unikał mię przez cały wieczór—a przed chwilą wyraźnie się odwrócił odemnie.

— To i ty się odwróć od niego, kochane dziecię! Nie mogę ci dać innéj rady na to i proszę cię, nie nudź tém więcéj staréj Kniebrech.

Stara baronowa była na balu, bo musiała być wszędzie, gdzie tylko było cokolwiek do widzenia. Była już świadkiem stworzenia świata, jak powiadano, i z pewnością będzie przy jego skończeniu. Przyjechała tu z Wallbachem, który opowiadał jej o stosunku Karli z Golmem i Ottomara z Ferdynandą. Od Giraldiego także nie mało szczegółów słyszała o tém wszystkiem. Wallbach zrobił to bez celu, mówiąc o tém co go bolało, ze starą przyjaciółką rodziny swojéj; prosił ją téż o zachowanie ścisłéj tajemnicy napróżno wprawdzie, bo czyż jakiekolwiek względy mogły ją powstrzymać kiedy od powtarzania zasłyszanych wieści? Giraldi zaś miał w tém plan swój i wiedział dobrze, że może liczyć na wielomówstwo staréj. Baronowa pod zaklęciem tajemnicy rozgadała wszystko przed dwiema przyjaciółkami swemi; od tych wieść się zaczęła rozchodzić coraz daléj i daléj, aż wreszcie doszła uszu Ottomara. Łatwo pojąć czego,

przy wrażliwéj naturze swojéj, doświadczył przytém. Anders aż się przeląkł, kiedy w chwilę po tém ujrzał go przed sobą.

— Co się panu stało? zapytał.

— Nie mogę wchodzić w długie objaśnienia i od razu muszę przystąpić do rzeczy. Wiem, żeś pan zaprzyjaźniony z kapitanem Schmidtem; dowiaduję się w téj chwili o stosunku jego z moją— z moją siostrą. Czy wiesz pan co o tém?

Anders nie wiedział sam, co ma powiedzieć młodemu oficerowi; ale z oczu jego, które miotały błyskawicami gniewu, widział, że milczéć nie może.

— Tak, panie Werben. I jestem przekonany, że jeżeli przyjaciel mój nie zawiadomił pana o tém, to dla tego jedynie, że nigdzie go nie spotykał. O ile wiem, przed ojcem pańskim nie robiono z tego żadnéj tajemnicy.

— Być, być może! rzekł Ottomar; od jakiegoś czasu już jestem mniéj z rodziną moją. Żałuję bardzo, że nie byłem zbliżony z kapitanem którego szanuję, bardzo szanuję; uważałbym to sobie za honor—i wszystko, wszystko mogłoby pójść inaczéj.

Potarł sobie czoło.

— Czyż nie byłoby sposobu teraz jeszcze, spytał Anders.

Ottomar melancholijnie się uśmiechnął. Jakżebym pragnął tego! rzekł smutno; ale zapóźno już— zapóźno. Dowiedziałem się o tém dziś wieczór, przed chwilą właśnie i nie mogę pozwolić na to, by nazwisko moje—zrobiono to zręcznie, o! bardzo zręcznie! Tu gniewnym wzrokiem pogonił gdzieś po sali, jak gdyby szukał kogoś i szybkiemi, urywanemi słowy spytał jeszcze. Możeś pan słyszał także o Karli—to jest o pannie Wallbach i o panu Golmie? Tak,—z oczu pańskich widzę, że wiesz już o czém chcę mówić. I sądzą, że ja dla pewnych powodów spokojnie to wszystko znosić będę? Ale niech zginę, jeżeli tak będzie! Za pięć minut będę wiedział, jakie jest źródło ciekawych tych wieści!

Tu nagle opuścił Andersa i szybkim krokiem zbliżywszy się ku baronowéj, pochylił się ku niéj i głosem donośnym, donośniejszym nawet niż wymagała tego głuchota jéj, rzekł sucho:

— Przepraszam, szanowna pani, że ją spytam o coś!

Baronowa spojrzała na mówiącego i natychmiast domyśliła się, o co mu chodzi; ale postanowiła nie mięszać się więcéj do téj sprawy.

— Pytaj, kochane dziecię, o co chcesz, rzekła.

— W tutejszem towarzystwie krążą pewne wieści o pannie Wallbach, między innemi mówił mi o tém pan Grieben, który sły-

szał to od ciotki swojéj, a ta utrzymuje, że dowiedziała się o tém od pani.

— To jakaś długa droga, rzekła baronowa, chcąc zyskać na czasie.

— Tém krótsze będzie pytanie moje: Od kogoś to pani słyszała?

— Ależ, kochane dziecię, wszyscy o tém mówią.

— Nie mogę się zadowolnić tak nieokreśloną odpowiedzią, potrzeba mi nazwiska osoby.

— To szukaj jéj sobie! odrzekła baronowa grubjańskim tonem i odwróciła się od niego.

Ottomar przygryzł sobie wargi i natychmiast poszedł ku panu Wallbach, który w téj chwili właśnie zbliżał się do baronowéj.

— Pani baronowa, rzekł, kazała mi szukać osoby, od któréj pochodzą wieści, obiegające tutejsze towarzystwo, a tyczące się mnie i siostry pańskiéj. Osobą tą może właśnie będzie brat siostry pańskiéj?

— Ależ, Werbenie, rzekł Wallbach, który zbladł okropnie, czyż to stosowne miejsce na taką rozmowę?!

— Zapóźno przychodzi to panu na myśl! Nie z jedną osobą mówiłeś pan tu o tém dzisiejszego wieczora. Zresztą, nie o to mi chodzi; chcę tylko stwierdzić to, co tak trudném jest do uwierzenia, to jest, że cała ta historya z ust pańskich pochodzi.

— Ależ, mój Boże, może być, że powiedziałem cokolwiek staréj naszéj przyjaciółce, baronowéj Kniebrech.

— Przepraszam pana, natychmiast panu służę. Panie Lasberg, będziesz pan łaskaw posłuchać wyjaśnienia, jakie mi w téj chwili radca legacyi dać raczył. A zatém, panie radco, mówiłeś pan, że bardzo być może, iż powiedziałeś coś przed starą naszą przyjaciółką, baronową Kniebrech—będziesz pan łaskaw mówić daléj.

— Ależ ja nie wiem, o czém pan mówisz, zawołał Wallbach.

— Czy chcesz pan, bym wymienił nazwiska? zapytał Ottomar, szydersko się śmiejąc i błyszczącemi oczyma spoglądając na zakłopotanego radcę.

— Sądzę, że to wystarczy, mówił daléj, zwracając się do kolegi; naturalnie, że natychmiast powiem ci, o co chodzi. Panie Wallbach, do jutra rana!—na dzisiaj mam zaszczyt pożegnać pana.

— Po tych słowach, wziąwszy kolegę pod rękę, oddalił się żywo i namiętnie rozpowiadając mu coś, skierował się do swego miejsca. Tu Bertalda siedziała jak wprzódy, ale miejsce Ottomara zajął Antonio. Ten prosił ją do tańca, ona tłómaczyła się utrzymując, że musi najprzód rozmówić się z Ottomarem, w którego powozie przyjechała tutaj i który miał ją odwieść do domu. A przed chwilą właśnie chciał już opuścić bal.

Ottomar, pożegnawszy kolegę ściśnieniem ręki i słowami: a zatém, jutro rano o ósméj,—zbliżył się do nich.

— Panie Werben, rzekła Bertalda, pan Michele prosi mię do walca, czy mogę.

Ottomar nie zaraz odpowiedział. Poprzednio jeszcze Antonio, siedzący naprzeciw niego przy stole artystów, zwrócił był jego uwagę. Razy kilka spojrzał na niego, ale na żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, gdzie widział tę piękną, smugłą twarz. Teraz dopiéro przyszło mu to na myśl. W pracowni Justusa! Był to ów pomocnik Andersa, Włoch, o którym Ferdynanda mówiła mu, że ją prześladuje miłością swoją i że się boi zazdrości jego. W czarnych oczach, które w téj chwili patrzały na niego, ujrzał wyraźną nienawiść. Niewypowiedziane uczucie wstrętu i pogardy przejęło duszę Ottomara. Po wszystkiém, co wycierpiał dnia tego, miał jészcze i to znieść!

— Darujesz pan, rzekł wyniośle, miałem właśnie zamiar ofiarować pani mój powóz.

Antonio wiedział już od kolegów swoich, kto była Bertalda.

— Odprowadzę potém panią bezpiecznie do domu, odpowiedział z dwuznacznym uśmiechem.

Krew oblała twarz Ottomara.

— Jesteś pan bezczelny! zawołał podnosząc rękę.

Antonio cofnął się w tył i pochwycił za boczną kieszeń. Bertalda rzuciła się prawie w ramiona Ottomarowi i odciągnęła go. W tejże chwili gromada mężczyzn wtłoczyła się do zimowego ogrodu i rozdzieliła ich. Przestraszone twarze przybyłych, gwałtowne ich ruchy, niezrozumiałe słowa, wszystko to dowodziło, że straszna wiadomość o tém, co spotkało gospodarza domu rozeszła się już. Ogromny ruch powstał we wszystkich salonach; zewsząd słychać było urywane słowa: czy to być może?—słyszałeś o tém?—któżby to był pomyślał? Taki człowiek! Wyjeżdżajmy! Nikogo nie puszczają, dopóki dom nie zostanie przetrząśnięty!

Bezładne słowa krzyżowały się—wszyscy mówili razem, wszy-

scy cisnęli się do przedpokoju, do garderoby, gdzie niebezpieczny ścisk powstał. Napróżno rozsądniejsi perswadowali, napróżno urzędnik policyjny, uwolniwszy się nareszcie ze swego więzienia, chciał powstrzymać uchodzących. Paniczny strach ogarnął wszystkich i, jak gdyby z zapowietrzonego domu uciekając, wypychali się wzajemnie, tłoczyli gwałtownie, i wkrótce zamiast oświeconego pałacu, znaleźli się w ciemnych, błotnistych ulicach, na których burza szalała.

(d. c. n.)

PAMFLET FALKENBERGA.

USTĘP Z DZIEJÓW KRZYŻACKO-POLSKICH.

I.

Pełen burz i ciężkich wstrząśnień okres przebyć miała Polska w pierwszych początkach XV w., tak bogatego w doniosłe i epokę w dziejach ludzkości stanowiące wypadki. Był to bowiem czas, w którym rozpryskać się poczęły zestarzałe idee, świéże prądy umysłowe i polityczne przebiegają lotem błyskawicy całą Europę, burzy się rdzą wieków przegryzły porządek średniowieczny, nowe instytucye nabiérają kształtu i życia.

Wśród konwulsyjnych drgnień, odbijających się żywo w łonie mocarstw i społeczeństw europejskich, spełnia Polska swe wielkie posłannictwo w historyi jéj wskazane, i staje się pierwszą potęgą pośród ludów wschodniéj Europy. Połączona w r. 1386 z Litwą, podejmuje zabójczą walkę z Niemczyzną, krwawym mieczem zwalcza Zakon na grunwaldzkich polach, przyjmuje hołd ziem pruskich i osadza Jagiełłonów na tronach Czech i Węgier.

Dzień wielkiéj bitwy grunwaldzkiéj zmusza Zakon do zawarcia korzystnego dla Polski pokoju toruńskiego (1 Lutego 1411), który jednak nie zdołał zatrzéć głębokiéj nieprzyjaźni między Polską a niemieckiém Krzyżactwem. Niedługo potém przesuwają się przed oczy nasze sceny i rysy wrogiego antagonizmu tych obu narodów, sprowadzającego bądź ciągłe waśnie wewnętrzne, bądź zbrojne najazdy, bądź téż interwencyą obcych mocarzy.

Ciekawy pod niejednym względem przebieg tych dyplomatyczno-politycznych wypadków, opowiedział wyczerpująco Voigt w VII tomie swojéj „Historyi Prus“ i wedle jego wskazówek pozwalamy sobie na tém miejscu podać najogólniejszy zarys owoczesnych stosunków polsko-krzyżackich, osnuty na niedostępnych dla nas aktach i materyałach tajnego archiwum królewieckiego. Po tém wstępném przedstawieniu rozwinie się może pełniéj i jaśniéj przed nami cel i znaczenie Falkenbergowego pamfletu.

W chwili, gdy Jagiełło w liście wystosowanym do wszystkich książąt duchownych i świeckich, oskarża W. mistrza o bezpodstawne łamanie pokoju (1), wysyła z drugiéj strony uproszony przez Henryka Plauen rzymski król Zygmunt poselstwo do Polski z upomnieniem, aby dotrzymywano tamże warunków pokoju toruńskiego w całéj rozciągłości, gdyż on nie ścierpi gwałtów i niesprawiedliwości wyrządzonych Zakonowi, téj silnéj tarczy całego chrześciaństwa. Udało się wprawdzie Zygmuntowi na osobistym zjeździe w Lubomli, skłonić króla polskiego do zgodzenia się na termin wspólnych rokowań, za którymby wyrokiem króla rzymskiego i elektorów zagodzone zostały wszelkie spory i nieporozumienia między nim a Zakonem, lecz ani wydany przez Zygmunta w Budzie wyrok w sprawie zatargów króla Władysława i Wksięcia Witolda z Zakonem w Prusiech i Inflantach, ani nawet sromotne zepchnięcie z urzędu W. mistrza Henryka Reuss v. Plauen (2), przed trzema laty, głośnego bohatera pod murami stołecznego Malborga, nie wpłynęło wcale na ułagodzenie naprężonych między Polską a Zakonem stosunków. Złożony z wielkomistrzowskiéj godności Henryk Plauen we trzy lata po katastrofie grunwaldzkiéj przyznać musiał, iż „zbestwiona horda krzyżacka niegodna była istnienia i że lud pruski poczyta sobie za szczęście uwolnić się z pod ich władzy“ (3).

Układy i narady, toczące się dłuższy czas między nowoobranym mistrzem Küchmeisterem v. Sternberg, a królem Władysławem pierwotnie w Grabowie, a późniéj przedłużone w Racięźu nad Wisłą, nie przyniosły żadnéj stronie pozytywnych rezultatów. Już wkrótce potém wypowiada Jagiełło swój szczery żal, że z Krzyżakami nie może zjednać słodkiego pokoju, zanosi skargę do stanów pruskich na niegodne postępowanie Zakonu, a obwiniwszy w osobnym mani-

---

(1) Voigt. Gesch. Preussens t. VII 162.

(2) Daniłowicz: Skarbiec dyplomatów. T. II. Nr. 992 i 1027.

(3) Voigt: Geschichte Marienburgs. str. 296.

feście Zakon o najszkaradniejsze występki, wystawia wojnę z nim, jako nieodzowną konieczność, do któréj go znaglają baronowie, całe rycerstwo i kraje jego berłu podległe, tém bardziéj, że przy zaciętym uporze i dumie Krzyżaków, ani podobna myśléć o pokoju.

W myśl téj odezwy wkracza téż spiesznie król wspólnie z Wksięciem Witoldem w dzierżawy zakonne i przystępuje do oblężenia Brodnicy. Proszony atoli przez legata papieskiego Wilhelma biskupa lozańskiego i nalegany w usilnych listach przez Zygmunta, skłania się w końcu król Jagiełło do zawarcia jednorocznego z Zakonem rozejmu, pod wiarą i honorem zachować się mającego z tém zastrzeżeniem, że w przeciągu tego czasu mają być spory i nieporozumienia obu stron załatwione bądź przez sobór Konstancyeński sam, bądź téż przez umyślnie na ten cel mianowane grono duchownych i świeckich książąt (1).

Ważnemi sprawami kościelnemi zaprzątniony sobór, mający w łonie samego papiestwa radykalną przeprowadzić reformę, nie mógł się na razie zająć rozstrzygnięciem prusko-polskich zawikłań, a naprężone stosunki między obu narodami trwały nieprzerwanie. Zjazd w Wielonie nad Niemnem, odbyty głównie za staraniem inflanckiego mistrza Sygfryda z Lander d.. 15 paźdz. 1416, na który przybył z jednéj strony Jagiełło i Witołd, a z drugiéj Michał Küchmeister z pełnomocnikami krzyżackimi, dowiódł najwymowniéj, że drogą pokoju nie da się zagodzić spór Polski z Zakonem. Nietylko że i tym razem rozbiły się układy o niezłomny upor zakonnéj braci, ale nadto rozsrożyły tém mocniéj Jagiełłę, który w liście do Zygmunta z najżywszém oburzeniem wystawia niepomiarkowaną dumę W. mistrza, a oraz natarczywe i zuchwałe jego domaganie się odstąpienia Żmudzi; w końcu zarzuca Jagiełło W. mistrzowi pominięcie elementarnych zasad towarzyskiéj ogłady, gdyż tenże nie tylko sam nie uważał za stosowne odwiedzić króla w jego własnéj kwaterze, ale nawet rycerzom zakonnym, zaproszonym przez Jagiełłę na ucztę poranną, zaproszenie surowo przyjąć zakazał i opuścił nagle z całym swym orszakiem miejsce zjazdu, nie pożegnawszy ani króla ani Wksięcia (2).

Zawiadomienie, które o tém nadesłał Jagiełło Zygmuntowi, aż do najdrobniejszych szczegółów na rzetelnéj prawdzie osnute,

---

(1) Kotzebue: Altere Gesch. Preussens. T. III. 410. Schreib. des rom. Königes an der HM. d. Coblenz 4 Septmbr. 1414. Voigt. VII. 253.

(2) Voigt: Der Tag zu Velun. VII. 291–293. Daniłowicz: Skarbiec dypl. II Nr. 1174 i 1179.

a wskazujące dowodnie, że W. mistrz wszelkim rokowaniom pokojowym był przeciwny, nie podobało się szczególnie Voigtowi, jednemu z naczelnych chwalców pruskiego teutonizmu, lecz ten niezdolny faktów powołanych odeprzeć, ogólnikowo tylko zaznacza, że celem niniejszego pisma było oczernić w obec Zygmunta charakter W. mistrza, przedstawić całe jego postępowanie w świetle najgorszém, a fantastyczne swoje wywody wieńczy następnem orzeczeniem: „nigdy jeszcze król nie wykazał swego mistrzostwa w kłamaniu, podstępach i potwarzy lepiéj, aniżeli w tém opowiadaniu wskroś fałszywém i niegodném“ (1).

Nie silimy się dowodzić, ile zawiści mieszczą w sobie te oszczercze wyrazy, ale to pewna, że i dostojnicy zakonni dopatrywali w liście Jagiełły chęć zniesławienia W. mistrza w obec Zygmunta i zgromadzonego w Konstancyi soboru, a dlatego téż pewno zadecydowali bronić honoru krzyżackiego rzuceniem najczarniejszych potwarzy na Jagiełłę, rehabilitować W. mistrza obelgami rozsiewanemi o Jagielle, a tak na dyplomatyczną relacyą króla odpowiedziano ze strony przeciwnéj ohydnym paszkwilem.

Nie dziw téż, że właśnie w owéj chwili, kiedy obie strony tak wrogie w obec siebie zajęły stanowisko, kiedy antagonizm między Polską a krzyżactwem z podwójną wzbujał gwałtownością, ukazał się pamflet, wystawiający w najczarniejszych rysach charakter i czyny króla polskiego, a wymierzony bezsprzecznie ku temu, by w obec opinii publicznéj oczernić Władysława Jagiełłę, poddać go w pogardę dostojników, zgromadzonych w Konstancyi i zjednać potężniejszy zastęp książąt dla poparcia sprawy Zakonu, która w obec ostatnich postępków W. mistrza na zjeździe w Wielonie, tchnących nieprzyjaźnią i zawiścią, mało liczyć mogła zwolenników. Autorem paszkwilu był Jan Falkenberg, magister teologii i mnich klasztoru dominikańskiego z miasta Kamienia, stolicy dyecezyi tegoż nazwiska na Pomorzu.

II.

Dnia 9 Lutego 1417 r. przesyła prokurator Zakonu (2) szczegółową wiadomość W. mistrzowi o ukazaniu się pamfletu Falkenbergowego, dodając zarazem, że wywołał on straszne oburzenie w sze-

---

(1) „Noch nie hatte der Koenig seine Meisterschaft in Lüge, Arglist und Verleumdung besser bekundet, als in diesem durch und durch unwahren und unwürdigen Berichte.“

(2) Voigt: VII. 301. Daniłowicz: Skarbiec II. Nr. 1185.

rokich kołach polskich, a niektórzy biskupi upatrzyli nawet w tém piśmie wiele miejsc herezyą tchnących. Pamflet w zupełnéj całości nie dochował się nigdzie. Z motywów atoli poprzedzających wyrok wydany w téj sprawie przez sobór konstancyeński, a przytoczony w całéj rozciągłości w dziejach jagiellońskiego historyografa Długosza, dowiadujemy się, że nikczemny autor owego pamfletu w swém piśmie obryzgał Jagiełłę i Polaków jadem niecnéj potwarzy. Król otrzymał miano bałwochwalczego zwodziciela własnego ludu i zwolennika niedowiarstwa, a cały naród polski przezwany zgrają odszczepieńców i kacerzy. Ku końcowi zamieszczoną była szumna odezwa, wzywająca wszystkich książąt chrześciańskich do powstania przeciw Polsce z mieczem zemsty w ręku, dodając, że nie można pewniéj dostąpić wiecznego zbawienia, jak przez całkowite wytępienie narodu polskiego wraz z jego królem i wszystkimi możnowładcami. Zapowietrzone bowiem stowarzyszenie się Polaków z Jagiełłą na czele, jest zgubne i szkodliwe, ile kacerstwem przesiąkłe i odszczepione od kościoła. Skoro będą mogli, gotowi są broczyć się we krwi chrześciańskiéj, rozsiewać truciznę i herezyą rozszerzać, przeto książęta świata powinni nieodzownie mściwym orężem wyciąć wszystkich Polaków z ich królem, a książąt i możnowładców polskich wywieszać na szubienicach przeciw słońcu (1).

Oto treść, oto główna tendencya pamfletu.

Nie pierwszy to jednak utwór literacki Falkenberga. Przebywając jeszcze jako magister teologii w klasztorze dominikańskim w Krakowie, wystąpił z twierdzeniem, że teologiczne dzieło, wyszłe w zupełności prawie z pod pióra biskupa wormackiego Mateusza, mieści w sobie zapatrywania heretyckie, że je jako takie potępić należy i że on podejmuje się zdania swego publicznie dowieść (2).

Ów biskup Mateusz, liczony w Czechach do najwcześniejszych zwolenników reformy duchownéj, zaszczycany najprzód biskupstwem wormackiém, a w końcu godnością kardynalską, był wedle twierdzenia Józefa Muczkowskiego (3) opierającego się na najdawniejszych świadectwach, pochodzenia krakowskiego, a stąd też łatwo sobie wytłómaczyć, że Krakowianie uważali za swój obowiązek,

---

(1) Długosz Hist. instruxit Ign. Żegota Pauli, cura et inpressis Alexandri Przeździecki. T. IV. 199. Do tego wydania odnoszą się wszystkie nasze cytaty.

(2) Mathaei de Cracovia Episcopi Wormat. Notificatio de Johanne de Falkenberg. Anno 1405. Rp. Wiszniewski: Hist. l. pol. III. 134. n. 91.

(3) Wiadomość o założeniu uniwersytetu krakowskiego. Kraków 1849. str. 96. Szajnocha: Jadwiga i Jagiełło t. IV. str. 372, przyp. do str. 154:

bronić honoru swego współziomka, słynnego z tak świetnéj karyery. Pobyt przeto Falkenberga w Krakowie stał się odtąd niemożliwym. Uchodzi on do Prus, skąd po kilku latach przybywa do Konstancyi.

Tu zajmowano się w tym czasie t. z. „propozycyami“ Jana Parvusa (Jean Petit), „dra teologii“, a wymownego zwolennika i obrońcy księcia Jana burgundzkiego, za którego poduszczeniem na bruku paryskim napadnięto i zamordowano księcia Ludwika orleańskiego. Na publicznėm zgromadzeniu, w którém wzięli udział nie tylko książęta królewskiego domu, ale także uniwersytet paryski i znaczna liczba mieszczan, bronił Jan Parvus księcia burgundzkiego, a w mowie pełnéj sofistycznych zwrotów wykazywał, że książe Jan zbawiennego dokonał dzieła, mordując Orleańczyka, gdyż każdemu w szczególe człowiekowi wolno zamordować tyrana podstępem lub w drodze publicznego gwałtu bez wyraźnego rozkazu przełożonéj władzy i bez uprzedniego śledztwa sądowego.

Ta zręcznie wygłoszona obrona odniosła skutek, gdyż król na razie przebaczył księciu burgundzkiemu. Wkrótce jednak potém za staraniem książąt orleańskich i uniwersytetu paryskiego złożono osobną komisyą, która naukę Jana Parvusa potępiła, a Karol VI nie tylko osobnym edyktem ten wyrok potwierdził (26 Grudnia 1414 r.), ale życzył sobie także, ażeby i sobór konstancyeński swoje votum w téj sprawie wyrzekł.

Lecz właśnie w czasie, gdy kanclerz paryski Jan Gerson, zwolennik partyi orleańskiéj, dokładał najsilniejszych zabiegów, ażeby sobór „dziewięć propozycyj“ Jana Parvusa potępił, ogłosił Falkenberg trzy traktaty (1) w obronie Parvusowych podań, wymierzone głównie przeciw Gersonowi, jednemu z najznakomitszych dygnitarzy w Konstancyi.

Pisma te bez względu na ich zasadę zyskać musiały dla Falkenberga pewien rozgłos w Polsce, w Prusiech i między uczonymi paryskimi. Złożyły one wymowne świadectwo, że autor rozporządza dostateczną zręcznością i wprawą pióra, że posiada niezwykły talent bronienia choćby najczarniejszych spraw i że bez wyrzutów sumienia odda się na usługi tego stronnictwa, które mu zapewni lepsze widoki materyalne. O pisarskiéj sumienności tego mnicha i o zmiennych, a raczéj płatnych jego przekonaniach świadczy dostatecznie fakt, że w kilka lat po ogłoszeniu owego pamfletu napisał on

(1) Quetif i Echard i SS. ord. praed. I. 760. Gersonis opp. V. 1013. Porównaj Hefele: Conciliengeschichte. T, VII. oddz. I. str. 343.

powtórną satyrę, lecz tym razem przeciw samemu Zakonowi, „daleko obelżywszą i ostrzejszą od Jagiełłonowéj“ (1).

Nie długo też potrzebowali Krzyżacy wyszukiwać pisarza, któryby w saméj Konstancyi, w obec zgromadzonych dostojników chrześciańskiego świata, zniesławił w publiczném piśmidle imię i honor największego ich nieprzyjaciela i zniechęcił Ojców kościoła przeciw Jagielle. Roboty téj podjął się kłótliwy i niespokojny z natury Falkenberg „przenajęty do tego,— jak się wyraża Długosz (IV, 199)—od krzyżaków (*a Cruciferis de Prussia fretro conductus*“).

Jest to przykład nędzoty przedajnego pisarza, jest to objaw demoralizacyi i kurupcyi, tak mocno zagnieżdżonéj w samém łonie zakonnéj braci, następstwem czego było to, że krzyżactwo niemieckie, wedle słów Szajnochy, nie zginęło na rycerskiém pobojowisku od miecza, ale skonało najpotworniéj, dławione wewnątrz nienawiścią i zdradą własnego ludu. I dość wspomniéć, że strącony z urzędu W. mistrz Henryk v. Plauen, chwilowy zbawca Zakonu podczas oblężenia stolicy Malborskiéj, stał się w trzy lata późniéj zdrajcą, nie wahając się zawiązywać tajnych porozumień z królem Jagiełłą w celu połączenia z Polską całéj ziemi krzyżackiéj.

Fałszem i zdradą tchną wszystkie karty dziejów niemieckiego Krzyżactwa, które niezdolne spoić się zdrowo w organiczną całość, lecz aż do schyłku dni swoich rozkładaniem się i ciągłem jątrzeniem trawione, odstępuje od wiary, któréj bronić miało i kończy odszczepieniem się od kościoła, z którego wzięło początek.

III.

W obronie honoru krzyżackiego, tak sromotnie Falkenbergowym pamfletem skalanego, czuje się powołanym wystąpić ojciec historyografów pruskich Jan Voigt. W swojéj „Historyi Prus,“ owém dziele z wielu względów niezmiernie ważném, lecz pełném najwybitniejszéj tendencyjności, nie waha się Voigt zadać kłam Długoszowemu podaniu o przekupienia Falkenberga przez Krzyżaków, ale wywody swoje opiéra tylko na indywidualném, stronniczém pojmowaniu archiwalnych relacyj Zakonu, a stąd téż mniemana obrona Zakonu pozbawiona objektywnych podstaw, staje się tylko tworem fantazyi, nie zaś owocem krytycznego badania.

Przyznaje Voigt, że Jan Falkenberg ułożył swój pamflet niegdyś w Prusiech, że przedłożył następnie takowy do przejrzenia

---

(1) Dług. IV. 201.

W. mistrzowi, który dał go do ocenienia proboszczowi z Brunsbergi. Pobożny recenzent oświadczyć się miał za nieprzyjęciem tego pisma, twierdząc, że niektóre jego ustępy są skandaliczne, a inne niesprawiedliwe.

Czy W. mistrz zastosował się do rady udzielonéj mu przez brunsbergskiego kapłana, w to nawet wchodzić nie potrzebujemy, ale już z samego przebiegu sprawy wysnuć da się naturalny wniosek, że W. mistrz wiedział, w którym czasie fabrykował się ów paszkwil i że przed opublikowaniem go w obec świeckich i duchownych dostojników, zgromadzonych w Konstancyi, złożono takowy na jego ręce, że przeto nikt inny tylko sam W. mistrz dał inicyatywę do napisania téj ohydnéj satyry, najàwszy ku temu pismaka, z którego przeszłéj reputacyi mógł wnosić, że pieniężne argumenta kierować będą stale jego politycznemi zapatrywaniami.

Wielbiciele wysokiéj cnoty niemieckiego krzyżactwa, odtrącający ze wstrętem Długoszowe podanie, raczą nam odpowiedzićć, czyż mogłaby w sercu Falkenberga bez żadnego powodu zawrzéć nagle złość i nienawiść ku Jagielle, Polsce całéj i wszystkim Polakom, gdyby nie zamajaczyły umysł jego obiecane grzywny pruskie. Stąd téż nie dziw, że nawet Caro (1), wcale nie grzeszący polskiemi sympatyami przyznać musiał „że za broszurą skrywał się mistrz krzyżacki“ (2).

Chciwość pomorskiego mnicha nie zdolną była oprzéć się ponęcie. Poduszczony przez W. mistrza, dominikanin nie waha się wzywać całą powszechność chrześciańską, by dla uzyskania zbawienia wiecznego, podjęła się wykorzenienia ze szczętem narodowości polskiéj. Układając owę niezaletną odezwę, czuł może sam Falkenberg, że dopuszcza się podłego czynu, że ulega inspiracyi niegodnych ludzi, czuł pewno i W. mistrz, ile fałszu i żółci rozlał mnich w swoim pamflecie może wbrew własnemu przekonaniu, ale gdzie interes tego nie wymagał, tam Krzyżak nie wglądał ani w swoje, ani w cudze sumienie.

Wszak kilkanaście lat poprzednio z obłudną zręcznością puścić śmieli Krzyżacy do koła głos o fałszywości chrztu Jagiełłowego i o krzywdzie księcia Wilhelma, a to jaskrawo ubarwione kłamstwo ściągnęło dla nich świetną pomoc francuskich i angielskich panów i rozbójniczych rycerzy z całéj Europy. Cały tłum z zagranicy przybyły wrzał zemstą przeciw „krwawemu tyranowi Jagielle,“

---

(1) Gesch. Polens. III. 466,

(2) „Dass der deutsche Hochmeister hinter der Broschure stand.“

a współczuciem „dla nieszczęśliwego Wilhelma.“ A dla czegóż nie miano i teraz rzucić nowych potwarzy na Jagiełłę, dla czegóż świeżemi oszczerstwami nie mieli Krzyżacy pozyskiwać dla swéj sprawy przychylności zgromadzonego w Konstancyi soboru?! Wszak opłaceniem ciemnego pamflecisty nie zeszczupleje pełny skarbiec zakonnéj braci!

Zeznania Falkenberga, składane nieco późniéj w sprawie owego pamfletu, nie oskarżają wprawdzie jawnie Zakonu o wspólnictwo w owéj brzydkiéj sprawie, ale mimo to zdaniem Augusta Kotzebuego (1), jest rzeczą wprost niemożebną zatrzéć wszelkie podejrzenie, gdyż nasuwa się samo przez się pytanie, z jakichżeż powodów naraziłby się Falkenberg na tyle niebezpieczeństw, na hańbę w obliczu Ojców kościoła i na zemstę oburzonych Polaków. Musiał tu działać—kończy autor dziejów pruskich — jakiś potężny wabik, musiała dlań się uśmiechać jakaś błyszcząca nagroda.

Sam zresztą Falkenberg domaga się wkrótce za wypracowanie swego pamfletu w Malborgu od mistrza Zakonu Pawła de Russdorf znacznego wynagrodzenia, lecz mistrz dał mu tylko cztery grzywny pruskie, tłómacząc się, że swoich zobowiązań dochować nie może, gdyż *satyra jego ani Zakonowi, ani mistrzowi żadnéj nie przyniosła korzyści* (2). I czyż fakt ten nie świadczy dowodnie że Falkenberga zgodzono poprzednio za pewną cenę i że dopiéro po owym targu, chwycił mnich za pióro, by z zaciekłością targnąć się na cześć króla polskiego, na sławę jego królestwa. Jest to istotnie smutny rys publicznéj moralności wieków średnich, a jéj najznakomitszym hołdownikiem był wielbiony przez Voigta Zakon teutońskiéj braci.

I nie pierwszy to już raz słynni z bogactw Krzyżacy pociągali w podobny sposób ku sobie łakomców swego czasu, którzy omamieni stosem brzęczącéj gotowizny w skarbcu krzyżackim, narzucali im się do obrony ich spraw, choćby najpoderzańszéj prawości. Wszak przed bitwą grunwaldzką zdołał Zakon przekupić polubownego sędzię Wacława, a równocześnie zakupiono sobie pomoc Zygmunta za 40.000 złł. węg., które własny sekretarz Zygmuntów, jak się sam wyraża w swoim pamiętniku, „liczyć pomagał.“ „Mam ja całą wieżę złota, — wołał zuchwały Ulryk,—a nią zawojuję dziesięć takich królestw, jak Polska.“

Przechwalał się tak płochy mistrz zakonny przed ową straszną

---

(1) Preussens aeltere Geschichte. T. III. 179.

(2) Dług. IV. 201.

katastrofą grunwaldzką. A dziś, gdy zdobyte pod Grunwaldem chorągwie powiewały już w stołecznéj katedrze polskiéj, gdy o trofeach wielkiéj bitwy brzmiały już pieśni w narodzie, dziś, o ileż gwałtowniéj parł rozgromionych krzyżaków niespokojny duch, gotowy chwycić się wszelkich środków, by tylko wyjść z cieśni i sromoty obecnéj.

I ten to wezbrany prąd krzyżackiéj ku Polsce nienawiści, gardzący wszelkiemi przestrogami rozsądku, wywołał pamflet Falkenberga, który sam spotwarzony król, uważał za owoc zakonnéj inspiracyi. Bo oto w liście do Marcina V, oskarżając Jagiełło legatów papieskich o wydany na stronę krzyżaków wyrok niesprawiedliwy przeciw Polakom, dodaje, że „nie nowa to rzecz wcale u przeciwnéj strony, iż sławę moję wszelkimi na jakie się tylko zdobyć może sposoby, usiłuje szarpać, albowiem i przez Jana Falkenberga hydzili i spotwarzali mnie, jakobym miał być wrogiem, niebezpiecznym dla kościoła i wiary chrześciańskiéj“ (1).

Pamflet ów był przeto dziełem krzyżackiéj niechęci, obliczoném bez wątpienia na to, by zaszczepić jad śmiertelnéj nienawiści przeciw wszystkiemu, co tchnęło polskością. Niczém nieusprawiedliwiona chęć wytępienia polszczyzny,—wyraża się wielbiony autor Jadwigi i Jagiełły—(2), nie opuściła wrogów nawet podówczas, gdy teutonizm krzyżacki leżał już po części zdeptany pod stopami zwycięskiéj narodowości. Owszem w téj to przedchwili zgonu tryska jego żółć najzawzięciéj. Oto cały Zakon runął już na pobojowisku grunwaldzkiem, a W. mistrz krzyżacki w liście do arcybiskupa rygajskiego, pieści się jeszcze myślą o czasie, w którymto „stary obyczaj polski i złość polska zostaną wytępione z gruntu i wykorzenione w ten sposób, iżby się nigdy więcéj zazielenić nie mogły“ (3).

Zdaniem Szajnochy powołał téż w istocie teutonizm odezwą wściekłego Falkenberga całą Europę do tego dzieła wykorzenienia, głosząc w owym paszkwilu, że „jest to obowiązkiem wszystkich książąt powstać z mieczem zemsty przeciw Polakom, ileże nie masz pewniejszéj zasługi około wiecznego duszy zbawienia, jak przyczynić się do zupełnéj zagłady ludu polskiego, wraz z jego królem i szlachtą.“ Są to słowa kapłana, słowa niemieckiego zapowiadacza ewangelii miłości i braterstwa w ziemiach słowiańskich!

---

(1) Dług. IV. 224.
(2) T. II. 36 i 37.
(3) Schreib. d. HM. an d. Erzbischof v. Riga, Voigt. VII. 175. n. 2 i 3.

IV.

W drugiéj połowie r. 1414 dążyły poważne grona świeckich i duchownych dostojników wszystkich narodowości z papieżem i cesarzem na czele, na zwołany sobór w Konstancyi. W całym ciągu wieków średnich nie spotykamy się z liczniejszém i świetniejszém zgromadzeniem kościelném. Cały świat chrześciański pokładał swe najpiękniejsze nadzieje w soborze, powołanym nie tylko do usunięcia powstałéj w łonie papiestwa schizmy, nie tylko do uchwalenia powszechnéj reformy kościoła co do głowy i członków, nie tylko do wytępienia nowych z katolickimi dogmatami sprzecznych nauk, lecz nie mniéj do ułagodzenia wszystkich sporów politycznych, zakłucających ogólnie pożądany w świecie chrześciańskim pokój. Sobór konstancyeński nabiérał tedy cechy europejskiego kongresu, na którym za wspólném porozumieniem i pośrednictwem Ojców kościoła i państwa, miano załatwić cały szereg kwestyj religijnych i politycznych.

W Europie nie było mocarstwa, nie było kraju cieszącego się podówczas pokojem. Wśród wewnętrznego rozdarcia i wojennych zapasów przebywały państwa pierwszego rzędu ciężki peryod w swoim historycznym rozwoju. Nie dziw téż, że prąd owéj powszechnéj burzy dolecieć musiał i do Polski, gdzie od lat tylu rzucone zarzewie niezgody z niemieckiém Krzyżactwem, teraz w coraz żywszy roztlewało pożar.

Mimo bezustannych wojaków dyplomatycznych, mimo ciągłych zjazdów i układów z Polakami o pokój dalszy, trwają zbrojne najazdy w obu krajach, a oręż polski w granicach pruskich zadaje zakonnéj braci nowe ciosy. Pilnym, poufnym korespondencyom W. mistrza, nie mniéj może asygnacyom wydawanym z jego kancelaryi do skarbca krzyżackiego przypisać należy, że i tym razem podjął się Zygmunt Luxemburczyk interwencyi dyplomatycznéj, wysyłając do króla Władysława list z wezwaniem, by natychmiast wycofał swe wojska z Prus i spór swój poddał rozstrzygnięciu konsylium konstancyeńskiego. Na tę samę drogę odesłano i W. mistrza, a w ten sposób złożono akta, dotyczące prusko-polskiego sporu, na stole zgromadzenia w Konstancyi.

Z wielkim przepychem i przyborem wyznaczeni dla popierania sprawy królewskiéj posłowie polscy, rozjechawszy się w Niepołumicach z królem Władysławem, wjeżdżają w licznym i okazałym orszaku do Konstancyi. Głównymi reprezentantami polskimi, którzy

na soborze wybitne zajęli stanowisko, byli prócz świeckich, specyalnych delegatów króla Władysława w sprawie spornéj z Zakonem, Janusza z Taliszkowa, kasztelana kaliskiego i rycerskiego Zawiszy Czarnego z Garbowa, jeszcze najwyżsi dygnitarze kościoła polskiego, jak: arcybiskup gnieznieński Mikołaj Trąba, biskup kujawski Jan z przydomkiem „Kropidło,“ biskup płocki Jakób Kurdwanowski i Andrzéj Laskary z Gosławic herbu Godziemba, krakowski dziekan, biskup-nominat poznański. Przedstawicielem uniwersytetu krakowskiego był ówczesny rektor Paweł, syn Włodzimierza, herbu Dołęga, doktór dekretów, kanonik i kustosz katedralny krakowski.

Nieco późniéj, bo dopiéro w Sierpniu 1416 r. przybyli jeszcze do Konstancyi i Piotr Wolfram, licencyat prawa kanonicznego, kantor kolegiaty wiślickiéj, Jan Rzechowski, arcybiskup lwowski i Piotr, biskup wileński, a ze świeckich panów: Grzegorz Godygold, starosta podolski i Jerzy Bolimin Nadpobiowicz, Litwini, wreszcie Mikołaj Sępiński szlachcic polski (1).

Wjeżdżającym do Konstancyi posłom wyszedł naprzeciw, wedle Długoszowego podania, „mnogi poczet kardynałów i prałatów, którzy ich z radością witali, a dla wszystkich była podziwem liczba tak wielka i okazałość poselstwa.“ Złożywszy kardynałom i ojcom kościoła zalecające swe listy od króla Władysława, zostali posłowie polscy wcieleni do zgromadzenia świętego soboru i weszli w skład narodu germańskiego.

Załagodzeniem sprawy polsko-pruskiéj zajął się cesarz Zygmunt „to—zdaniem Szajnochy—najkrotofilniejsze zjawisko, jakie tylko wydać mógł zwietrzały już romantyzm XIV stulecia w połączeniu z lichym charakterem indywidualnym i również niepochlebnymi żywiołami narodowości teutońskiéj.“(2) Za jego to wpływem wybrano d. 11 Maja 1415 r. odrębną komisyą pod prezydencyą Franciszka de Zabarellis, która miała dokładnie rozpatrzéć akta, dotyczące sporu prusko-polskiego (3).

Nie wiele jednak śladów czynności tejże komisyi da się dojrzéć, ba nawet w ogóle sprawę polsko-pruską zepchnięto na czas jakiś z porządku dziennego. Głównym tego powodem jest nie-

---

(1) Ob. rozprawkę M. Kanteckiego: Sprawa polsko-pruska na soborze konstancyeńskim, w lwowskiem czasopiśmie literackiem „Tydzień.“ Pamfletowi Falkenbergowemu poświęca autor króciutkie wzmianki.

(2) Jadwiga i Jagiełło. II, 58.

(3) Hermann v. der Hardt: Conc. constantiense. T. IV. 164.

obecność samego Zygmunta, który 21 Lipca 1415 r. wyjechał z Konstancyi, mając zamiar wpłynąć osobiście na papieża Benedykta IX, by dobrowolnie abdykował, a następnie uproszony przez Karola VI wyjechał do Paryża, celem zjednania pokoju między Francyą a Anglią. Do Paryża też zawezwał Zygmunt posłów polskich i pełnomocników zakonnych, chcąc sprowadzić przedłużenie rozejmu pod murami Brodnicy zawartego.

W stolicy Francyi dla okazania za granicą uszanowania kraju swego dla nauk i dla mężów uczonych, a nie mniéj pragnąc podwyższyć sławę i znaczenie królestwa polskiego, wyprawił Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński wspaniałą ucztę, na którą sprosił wszystkich mistrzów szkoły paryskiéj, doktorów, uczniów i podwładnych. Ta solenna uczta dana na cześć korony polskiéj, jest dla naszego opowiadania z tego względu ważną, gdyż na niéj to podać mieli doktorowie paryskiéj wszechnicy naukowéj gospodarzowi Falkenbergowy pamflet do przejrzenia.

Dokładne tedy oznaczenie czasu, w którym ta uczta się odbyła, jest potrzebném, gdyż z niego będzie można wysnuć wniosek, w którym mniéj więcéj czasie, został ów pamflet ułożonym. Pewną jest przedewszystkiém rzeczą, że uczta paryska urządzoną była *w r. 1416*, bo nietylko, że sam Długosz pod tym rokiem o niéj wzmiankuje, ale nadto już 27 Stycznia 1417 r. wrócił Zygmunt z Paryża wraz z Mikołajem Trąbą napowrót do Konstancyi (1). W obec tego nie może też ulegać wątpliwości, że w r. 1416 najpóźniéj wypracował Falkenberg swoję satyrę. I odtąd dziwić się wypada, dla czego Daniłowicz w swoim „Skarbcu dyplomatów“ (II. N. 1221) twierdzi, że paszkwil sam ukazał się w początkach r. 1417. Być może, że wtedy podany był do publicznéj wiadomości polski jego przekład, sporządzony według świadectwa Długoszowego z polecenia Jagiełły.

Jesteśmy jednak w stanie oznaczyć nawet z całą dokładnością i dzień, w którym gnieźnieński arcybiskup ucztę w Paryżu wyprawił. Poprzednio atoli musi się skonstatować, kiedy do Paryża posłowie polscy przybyli; a to tém więcéj, ileże twierdzenia w téj mierze są bardzo różne. W rozprawie przed kilku miesiącami ogłoszonéj: „Sprawa polsko-pruska na soborze konstancyeńskim,“ twierdzi p. M. Kantecki, opiérając się na Hardta aktach soborowych (IV. 36), że posłowie polscy przybyli do Paryża przed d. 4 Marca, gdyż

---

(1) Aschbach: Regesten und Itinerar K. Sigmund's in „Gesch. K. Sig.“ II. 480.

w tym dniu wręczono arcybiskupowi gnieźnieńskiemu na wyprawionéj przezeń uczcie pamflet Falkenberga. P. Kantecki oparł atoli swoje twierdzenie tylko na jednéj wzmiance w Hardta, gdy tymczasem napotykamy tam kilka do téj kwestyi odnoszących się doniesień. I tak wedle Hardta (IV. 1091) był Mikołaj „*iussu concilii semper comes itineris*“ Zygmunta, co popierałoby doniesienie Długosza, że arcybiskup wyjechał z Konstancyi razem z Zygmuntem. Lecz w innem miejscu według Hardta (IV. 606) zanosi Mikołaj Trąba jeszcze 13 Lutego 1416 r. wraz z resztą posłów do soboru skargę na Krzyżaków, a 4 Marca odbyć się miała według Hardta (IV. 36) owa uczta w Paryżu.

Te tak sprzeczne ze sobą wiadomości wskazują, że co do wyjazdu Mikołaja Trąby do Paryża, nie możemy się opierać bezwarunkowo, ani na Długoszu ani na Hardtcie. Hardt co do samego soboru, który go głównie zajmuje, podaje pewno niemylną datę, że 13 Lutego 1416 r. Mikołaj Trąba bawił w Konstancyi, a stąd téż dziwną nam się wydaje ta nagłość wyjazdu arcybiskupa, tak szybki jego przyjazd do Paryża i natychmiastowe wyprawienie uczty. O wiele tedy prawdopodobniejszém jest, że ucztę dał arcybiskup uczonym paryskim na pożegnanie d. 4 Grudnia 1416 r., a twierdzenie to opieramy na tak zwanym Kalendarzu krakowskim, który pod tym dniem wspomina, że Mikołaj Trąba wyprawił uniwersytetowi w Paryżu wspaniałą biesiadę (1).

Szajnocha (2) wspomina wyraźnie, że wzmianka powyższa znajduje się w Kalendarzu pod d. 4 Grudnia, a przekonać się o tém można z podobizny całego Kalendarza, jaką posiadał ś. p. Bielowski; dopisek powyżéj cytowany o urządzonéj uczcie z niewiadoméj przyczyny opuścił Ks. Żętowski w swojém wydaniu Krakowskiego kalendarza przy IV-tym tomie katalogu biskupów.

W obec tego można tedy z całą dokładnością orzec, że pamflet ułożył Falkenberg przed d. 4 Grudnia 1416. Że zaś musiało koniecznie trochę czasu upłynąć, zanim wiadomość o tym pamflecie doszła do Paryża, przeto przypuszczać mamy prawo, że pamflet sam ułożony został niepóźniéj, jak w drugiéj połowie r. 1416. Tém więcéj też można się brzydzić dyplomacyą W. mistrza, który wiedząc o fabrykującym się pamflecie i całą duszą solidaryzując się z jego

(1) „Fecit in Parisiis magnam solempnitatem toti universitati stadii, sumptus magnificos faciendo, invitata tota praedicta universitate ad prandium solempne pro regni honore.“

(2) Jadwiga i Jagiełło. IV. str. 372. dop. do str. 155.

treścią, maskuje obłudnie swoję politykę, zapewniając 10 Lipca 1416 r. w osobném piśmie zgromadzenie konstancyeńskie, że zakon niczego bardziéj nie pragnie, nad zawarcie stałego sojuszu z Polską (1).

Że zaś broszura Falkenberga kursowała w uczonych kołach paryskiego społeczeństwa, tłómaczyć można tém, iż barbarzyńskie i zuchwałe jéj teorye miały wiele podobieństwa do zdrożnych zasad, wygłaszanych przez Jana Parvusa o „dowolném mordowaniu tyranów.“ Głośném i wstrętném zresztą być musiało we Francyi imię autora niniejszéj satyry, boć ten sam Falkenberg, wypracował owe trzy traktaty w obronie podań Parwusowych i śmiał obelżywie wystąpić przeciw kanclerzowi uniwersytetu paryskiego, osobistości sławnéj i w Paryżu poważanéj.

V.

Potwarcze pismo Falkenberga wywołało w Konstancyi istny skandal. Wielce oburzony przywiózł je tu arcybiskup Trąba i na jego żądanie uwięziono natychmiast Falkenberga, a pamflet jego przekazano do rozpatrzenia komisyi, roztrząsającéj sprawy dotyczące wiary. Rzeczona komisya uznała, że pismo Falkenberga jest sprzeczne z wiarą i dobremi obyczajami, podburzające, bezbożne, ubliżające i kacerskie, poczem reprezentanci narodów i kolegium kardynałów d. 7 Czerwca 1417 r. potępiając paszkwil skazali tegoż autora na karę wiecznego więzienia (2).

Ogłaszając ów wyrok kardynał florentyński Franciszek w te słowa odezwał się do Falkenberga: „Zaiste rozum cię odbieżał, gnuśny, płochy i wszystkim obmierzły mnichu, gdy się ośmielasz ze smrodliwéj skrzyni skalanego twego sumienia, ciskać najszkaradniejszy paszkwil na męża najcnotliwszego i rzadkiéj dzielności króla? Odważasz się plamić takiego monarchę i człowieka, jakiemu podobnego, co do skromności, wstrzemięźliwości, hojności i ludzkiéj uprzejmości, nietylko nasze, lecz i przeszłe nie wydały wieki,—nad którego nikt po Apostołach nie pozyskał tyle ludów dla chrześciaństwa i jak sądzę nie przyniósł tylu korzyści!

---

(1) Hardt. IV. 872—874.

(2) Hardt. IV. 1091. Schelstrat. Comp. p. 53.—Dlug. IV. 200 - 201.—Aschbach: Gesch. K. Sigd. II. 318 n. 16.

„Wiedz cuchnąca poczwaro, że w obronie spotwarzanego niewinnego monarchy, występuję w szranki. Nie tylko prałaci jego królestwa i najuczeńsi mężowie, lecz i wszystkie chrześciańskie stany i ludy, patrz, jak obrażoną cześć królewską poczytują za swą własną! Nieskażone bowiem królewskie obyczaje, słyną w całym chrześciańskim świecie! Wierz mi, że twe oszczercze kłamstwa, już są wyjaśnione przez prawdę, przełamany zuchwały upór, obnażona głupota, ku wiecznéj twéj ohydzie. Zbrodnie, jak wnoszę, spaczyły do tyle twój bezbożny i niecny umysł, że nadymając się wyuzdaną gadatliwością, nie wzdrygnąłeś się czernić, obmawiać, uwłaczać, wymyślać zbrodnie i wszelkiém bezeceństwem plamić króla, nie będąc sam niczém więcéj, jak z poświęcenia kapłanem, a z powołania mnichem.

„Nie ma nikogo między dostojnymi senatorami, owszem między średnimi i najniższymi stanami, ktoby cię sądził godnym oglądać światło, cieszyć się wzrokiem, błąkać się po tym świecie, jako złośliwa poczwara, wzgardzona od Boga i ludzi. Odbierz tedy zasłużoną za swe zbrodnie nagrodę, będąc przez nas skazany na wieczne i brudne więzienie. Tam osiwiejesz, aby twa szkarada nie uszła przykładnéj kary.“ (1).

Tegoż samego zaś roku w czasie powszechnego soboru Dominikanów w Strasburgu, odbytego d. 30 Maja pod przewodem magistra zakonu Leonardo de Datis, zapadł w téj saméj sprawie wyrok téj treści: „Ponieważ Ks. Jan Falkenberg z prowincyi polskiéj dopuścił się wielu gorszących postępków, a brnąc coraz gorzéj, wydał w Konstancyi pismo potwarcze, od złego natchnione ducha przeciwko najjaśniejszemu królowi polskiemu i jego królestwu, tém samém też wystawił zakon nasz na zgubę, przeto wedle ustaw naszych na wieczne skazujemy go więzienie“ (2).

Na podstawie znanych nam materyałów nie da się atoli żadną miarą dośledzić przyczyny, dla któréj uchwała kongregacyi narodów i kardynalskiego kolegium na publicznéj sesyi soboru bezpośrednio nie uzyskała potwierdzenia. Może słusznie domyśla się Aschbach, że zakon używał wszelkich środków, by bronić swego klienta i całą sprawę aż do wyboru nowego papieża odroczyć.

Skandaliczna sprawa Falkenberga odniosła atoli bezpośredni skutek korzystny, że przywiodła na pamięć zgromadzeniu Konstan-

---

(1) Daniłowicz: Skarbiec dypl. II. str. 1215.
(2) Wiszniewski: Hist. l. p. III. 137.

cyeńskiemu spór polsko-krzyżacki, dotąd niezałatwiony. Za staraniem Zygmunta prolongowano tedy 14 Maja 1417 r. zawieszenie broni na rok jeden, a już 12 Lipca t. r. odbyło się pierwsze i ostatnie zarazem przesłuchanie polskich i zakonnych pełnomocników. Zygmunt zapytał najpierw obu stron, czy choć teraz uznają nad sobą zwierzchniczą władzę państwa rzymskiego. Z godnością i wielkim taktem odparli pierwsi Polacy, że ich król był od wieków i zawsze jest wolnym monarchą. Zadraśnięty niemile tą odpowiedzią Zygmunt zwrócił się do posłów zakonnych z następującą przemową: „Przeciwko wam wiele tu zaniesiono zażaleń, jakobyście się nie chcieli żadnemu poddać prawu; gdy was chcą zapozwać przed cesarza, odpowiadacie podobno, że stoicie pod juryzdykcyą papieża i kościoła; gdy chcą was oskarżyć przed papieżem, uciekacie się pod zwierzchnictwo rzeszy. Wypowiedzcież teraz jasno i bez ogródek, ażali stajecie tutaj, by się poddać sądowi kościoła, soboru i państwa rzymskiego?“ Na co jeden z pełnomocników krzyżackich odrzekł, że zakon od wieków uległy kościołowi rzymskiemu i cesarstwu posłuszny, poddaje się we wszystkiém sądowi kościoła, soboru i państwa rzymskiego, a my jego pełnomocnicy jesteśmy podwójnie umocowani stawać przed sądem waszym i przyjąć łaskawe pojednanie.

Zadowolony Zygmunt nazwał tę odpowiedź „przezorną, mądrą, świętą.“ Voigt zaś, który z pewną dumą przytacza odpowiedzi obu stron, dodaje nadto, że Zygmunt podszedł bliżéj do krzyżaków i rzekł: „Zaiste spełniliście dziś czyn, który wam więcéj przyniósł korzyści, aniżeli gdybyście wielką wygrali bitwę“ (1). Trafną téż z tego powodu uwagę czyni profesor Caro (III. 406) że lubo łatwo pojąć można, iż odpowiedź Krzyżaków podobała się pytającemu, to jednak przyrównanie onéj do wielkiego zwycięstwa jest tylko nowym dowodem, jak powierzchownie zapatrywał się Zygmunt na sprawy polityczne, gdyż nie ma śladu, aby sobór zajmował się daléj tą sprawą (2).

---

(1) Voigt. VII. 31o.

(2) „Es ist recht begreiflich, dass König Sigismund die heuchlerische Antwort der Ordensgesandten eine kluge, weise und heilige nannte; aber wenn er weiter meinte, dass sie mehr dem Orden frommen werde, als ein mächtiger Sieg, so ist dies nur ein weiterer Beitrag für die sanguinische und hohle Art Sigismunds politische Dinge zu betrachten. Denn nach dieser Verhandlung hören wir nicht wieder, das sich das Concil, als solsner mit der Streitsache beschäftigt hätte.“

VI.

Po trzechletnich prawie bezowocnych rozprawach zgromadzenia w Konstancyi, objawia się powszechne dążenie do wybrania nowego papieża, pod którego kierownictwem rychlejby rozwiązano doniosłe kwestye w dziedzinie reform kościelnych i interesów politycznych. Wybór padł 11 Listopada 1417 r. na kardynała *Ottona de Colonna*, który jako papież przybrał imię Marcina V.

Z najwyższą radością donosi prokurator zakonu W. mistrzowi o tym fakcie, dodając, że właśnie ten mąż jest jednym z najgorliwszych obrońców i orędowników zakonu i że od niego można oczekiwać wszelkich łask. Jemu to już poprzednio zalecił się biskup warmiński przez rozliczne usługi, biskup zaś rygajski pozyskał w nim drugiego ojca (1).

Zakonni też pełnomocnicy dla ujęcia sobie nowego papieża zapożyczają znaczniejszą sumę pieniężną we Flandryi, gdyż zakon z powodu niedotrzymywania terminu wypłat, stracił kredyt u kupców niemieckich i składają w darze papieżowi Marcinowi cenne przedmioty, wartujące około tysiąca dukatów. Poprzednio zaś postarano się o względy osób pozostających w przyjaznych stosunkach z Zygmuntem. Sam Voigt na podstawie aktów, z królewieckiego czerpanych archiwum, przyznaje, że Michał Küchmeister księciu Konradowi starszemu z Oleśnicy podarował najognistszego ze swéj stajni rumaka; małżonce zaś króla rzymskiego posłał kosztowny różaniec bursztynowy, podówczas najulubieńszy prezent, a arcybiskup koloński otrzymał znaczną liczbę najlepszych sokołów (2).

Sprawy też na soborze na pozór przychylnie się dla zakonu układały. Wbrew bowiem woli króla rzymskiego i mimo zabiegów kanclerza paryskiego Gersona, zajął nowy papież w sprawie Falkenbergowego pamfletu jawnie stanowisko stronnicze. Żadną miarą nie można go było skłonić, by oszczercze pismo i tak uchwałą kardynalskiego kolegjum potępione, uznał za „przeciwne wierze“ i publicznie potępił.

Podobne zachowanie się papieża zadziwiało mocno reprezentantów polskich, gdyż około rozkrzewiania Chrystusowéj wiary na Wschodzie Europy największe zasługi położył właśnie król Jagiełło. Porzuciwszy wiarę pogańską z tym większym zapałem gromadzić

---

(1) Schreib. d. Proc. d. Kostnitz. Voigt. VII. 312.
(2) Voigt. VIII. 309. przyp. 2) 3) 4).

się starał zwolenników pod sztandar Chrystusowego krzyża. Sam zresztą Marcin V wstąpiwszy na stolicę apostolską przyznał, że król Władysław, zostając na krańcach chrześciańskiego świata, częste przedtém toczył wojny z narodami dzikimi, nieprzyjaznymi chrystyanizmowi, w celu rozszerzenia między nimi prawdziwéj wiary, i że namowami, przekonaniem i usilną pracą wiele nawrócił do owczarni pańskiéj. Temi też względami powodowany nietylko osobną bulą potwierdził nowy papież w całéj osnowie dane królowi polskiemu przez poprzedników swoich przywileje, łaski i indulty, ale nadto mianował Jagiełłę i Wksięcia Witolda wikaryuszami rzymskiego kościoła, upoważniając arcybiskupa gnieźnieńskiego i biskupa wileńskiego do odebrania od nich zwyczajnéj przysięgi (1).

Ta tedy tak żywo królowi polskiemu objawiona przychylność ze strony stolicy apostolskiéj, dziwnie niezgodną była z uporczywém oszczędzaniem pomorskiego pamflecisty. Być może, że w tym wypadku wchodziły w grę względy czysto politycznéj natury. Równocześnie bowiem domagali się i francuscy pełnomocnicy potępienia na publicznéj sesyi soborowéj nauk Jana Parwusa, a papież przeczuwał, że potępieniem satyry Falkenberga wyrządzi przykrość Krzyżakom, a potępieniem Parwusowych propozycyj nieprzychylnie usposobi dla siebie wpływową rodzinę burgundzkich książąt we Francyi.

Niezdecydowane to stanowisko Marcina V w obec tych obu pism gorszących, dało powód Gersonowi do zwrócenia uwagi na odmienną politykę, jakiéj się jęła Stolica apostolska w obec Czech (2). „Czesi—mówił kanclerz uniwersytetu paryskiego—mogą się słusznie żalić, że ich sprawę traktowano stronniczo i ze szczególną surowością, gdyż o wiele niebezpieczniejsze i błędniejsze nauki, aniżeli te, jakie głosili Hus lub Hieronim, nie ulegają zasłużonym karom.“

Rozdrażnienie posłów polskich wzmogło się do najwyższego stopnia, gdy pomiędzy ustawami synodalnemi wydawanemi polskim inkwizytorom d. 22 Lutego 1418 r. nie znaleźli wymienionego paszkwilu Falkenberga. Oburzeni zapowiadali też głośno, że jeśli ich słusznym żądaniom papież zadosyć uczynić nie zechce, natenczas założą w téj sprawie apelacyą do przyszłego soboru. W odpowiedzi

(1) Raynald: Annal. Eccles. T. XVIII. N. 18.
(2) Joh. Gersonis Dialog. Apolog. in Op. T. V. p. 1014.

niejako na te pogróżki, ogłosił Marcin V 10 Marca t. r. konstytucyą, zakazującą wszelkich apelacyj przeciwko wyrokom papieskim (1).

Niczém atoli niezrażeni posłowie polscy podnieśli tę samę sprawę na 45-téj, a zarazem ostatniéj generalnéj sesyi soboru w d. 22 Kwietnia 1418 r. Przebieg tego burzliwego posiedzenia opisuje naoczny świadek temi słowy: „Skoro jeden z kardynałów na rozkaz papieża zawiadomił zgromadzenie, że dziś jeszcze rozwiązaném zostanie, wówczas Mikołaj Trąba arcybiskup gnieźnieński, Jakób biskup płocki, Piotr Bolesta protonotaryusz apostolski, Paweł Władimiri kanonik i kustosz krakowski, Jan z Tuliszkowa kasztelan Kaliski i Zawisza Czarny starosta Gurski, przez usta Gaspara de Perusio adwokata konsystorskiego, prosili uprzejmie papieża, by pewną książkę, rzucającą czarne obelgi na króla polskiego, jakiegoś zakonnika Jana Falkenberga, jawne i obrzydliwe herezye zawierającą i już dawniéj potępioną, jako heretycką, synod nim się rozwiąże wszem w obec za potępioną uznał. Zaraz więc powstał Jan patryarcha konstantynopolitański i Jan patryarcha antyocheński, obaj rodem Anglicy, a po nich braciszek Zakonu Dominikanów Hiszpan, twierdząc, że taka książka u nich nie bywa potępianą, jako heretycka. Tym zadali kłam Szymon de Theramo i Augustyn de Pisis, zastrzegając się, że to co ich poprzednicy mówili, nie mówili w imieniu narodów, ale z siebie i za siebie tylko.

„Wszczęła się więc kłótnia i krzyki. Polacy wielce rozdrażnieni, przedkładali następnie dokumenta poświadczające, iż nietylko deputowani narodów, ale sam papież, będąc jeszcze kardynałem podpisał wyrok potępienia na ów potwarczy pamflet. Wtedy odparł Marcin V, iż niczego w rzeczach wiary nie potępi bez poprzedniéj uchwały całego soboru.

„A gdy się uciszono wystąpił w półśrodek Paweł de Wladimiri, zabrał głos i począł czytać, co miał sobie od posłów polskich poleconego, lecz skoro mu papież nakazał milczenie, wówczas wskrzyknęli Polacy, iż nie mogąc znaleść sprawiedliwości u papieża, apelują niniejszém do przyszłego konsylium i żądają, by odwołanie to zostało po protokółach skonstatowaném.“ (2).

Sprawozdanie atoli prokuratora Zakonu przesłane W. mistrzowi wyjaśnia, że apelacya taka stała się zbędną. Papież bowiem po

---

(1) Hardt. IV. 1532.

(2) Protestatio Ambassadorium Regis Poloniae. Hardt. IV. 1560. Dług. IV. 211 i 212. Voigt. VII. 320—322.

kilku dniach w obec rzymskiego króla udzielił Polakom audyencyi, a gdy ci z całą stanowczością oświadczyli, że sumienie nakazuje im w niniejszym wypadku wytrwać przy swojéj apelacyi, wówczas Marcin V oddał do przejrzenia raz jeszcze ów oszczerczy pamflet osobnéj komisyi, z trzech kardynałów złożonéj.

VII.

Ojcowie kościoła, obdarzeni przez papieża zupełnym odpustem, opuścili Konstancyą. Król Władysław wybrał się sam na powitanie wracających z soboru wysłanników Polski i stanął w Gnieźnie, gdzie już z rozkazu jego czekali nań zgromadzeni w znacznéj liczbie prałaci i panowie polscy. W ich obecności, pisze Długosz, kazał król przeczytać pisemko satyryczne Jana Falkenberga w języku polskim, aby wysłuchawszy jego treści osądzili, czy w obronie sławy króla i królestwa, nie należałoby uczynić co więcéj nad to, co posłowie królewscy zdziałali w Konstancyi.

Po krótkiéj naradzie zapadła uchwała, iżby pismo to fałszu i kłamstwa pełne, król Władysław obojętnie mimo siebie puścił i nie wiele na nie zważał, jako na płód nikczemny człowieka pogardy godnego, zwłaszcza, gdy szerzone pismo wyrokiem kościoła potępione, a wydawca jego należycie ukarany. Gdyby zaś podobało się królowi przeciw temu pismu wypowiedzieć co silnie i dowodnie, wówczas niech zleci innemu mnichowi, podobnie junackiemu, stoczenie walki z rzeczonym Janem Falkenbergiem.

Z Gniezna udał się Jagiełło do Pobiedzisk, gdzie chcąc uczcić powracających posłów, wyszedł na ich przyjęcie wraz z swą nową małżonką i z licznym orszakiem dworskim, a po serdeczném powitaniu złożył im publiczne podziękowanie za gorliwą, pełną poświęcenia działalność dla królewskiéj i polskiéj sprawy. Przychylając się téż do wniosku konstancyeńskich posłów, zapowiedział Jagiełło na dzień 24 Lipca powszechny zjazd magnatów polskich w Łęczycy, gdzie powtórnie naradzano się, coby uczynić należało z Falkenbergiem, niesumiennym oszczercą króla i narodu polskiego.

Po długich i wyczerpujących rozprawach przeważyło zdanie, iżby sam Jagiełło napisał do papieża Marcina V list z uprzejmém żądaniem, aby potępionego wyrokiem synodu Jana Falkenberga wydał w ręce władz świeckich dla spalenia go razem z jego satyrą (1).

---

(1) Dług. IV. 216.

Całe jednak lata mijały a nie nadchodziła rezolucya papieska w sprawie pamfletu Falkenbergowego. Przypisać to należy zdaniem naszém ówczesnym zaburzeniom Husyckim tém bardziéj, gdy ówczesna opinia publiczna wiązała z niemi imię Jagiełły. Wieści, jakoby król sprzyjał reformatorom czeskim, nabiérały tak szerokiego rozgłosu, że papież w osobnym liście r. 1420 zaklina go, aby się nie sprzysięgał z nieprzyjaciołmi wiary i nie splamił téj sławy, która dotąd między chrześcianami nieposzlakowaną jest (1).

Ten rewolucyjny ruch w Czechach, podsycany polityczno-religijnemi prądami, znalazł rozgłośne echo w ówczesném społeczeństwie europejskiém. Promienie płonącego stosu, na którym zgorzały zwłoki Husa, przedrzéć się musiały i do Polski pobratanéj z Czechią przez podobieństwo obu języków i przez rozległy wpływ uniwersytetu praskiego, gdzie znaczny zastęp polskiéj młodzieży kończył swe studya naukowe.

Chciwi nowości, goniący za coraz szerszemi swobodami, powracali młodzi Polacy dumni wiadomościami za granicą nabytemi, stając się w Polsce może pierwszymi apostołami religijnéj reformy, mającéj zatrząść dogmatami katolickiemi kościoła. W umysłach ogółu nurtowały nowatorskie dążenia, szeroko rozlewać się zaczyna po polsce Husytyzm, a w jego obronie podnoszą się nawet głosy w murach akademii krakowskiej. Urzędowe nawet z tego czasu edykta konstatują, że „trucizna wcisnęła się przez polską granicę,“ że „zaraza straszna szerzy się po kraju.“

Tém gorzéj jeszcze było na Litwie. Na dworze Witolda już w r. 1417 obiegał do koła głos, że Husa niesprawiedliwie potępiono i spalono. Bystry i wrażliwy umysł Witolda, szerokie przestrzenie ogarniający, zainteresował się żywo nowym ruchem, a stosunki jego powiązane z rewolucyjném stronnictwem czeskiém, nie były nawet osłaniane tajemnicą w obec stolicy apostolskiéj. Mocno téż żali się papież w częstych listach pisanych do Jagiełły i Witolda na tę chęć sprzyjania kacerzom, a szczególnie niezadowolony z tego, że bratanek Jagiełłów Zygmunt Korybutowicz z posiłkami udał się do obozu czeskiego, złączył się z kacerzami i tymże aż dotąd sprzyja.

To tedy podówczas jeszcze niedające się wyjaśnić stanowisko Jagiełły w obec czeskiego Husytyzmu, było niewątpliwie powodem,

---

(1) Zbiór pamiętników Niemcewicza, T. I. str. 325. Daniłowicz: Skarb dyplom, II. Nr. 1311.

że papież nie spieszył się z potępieniem broszury Falkenberga, pomawiającéj króla polskiego „O rozsiewanie trucizny i rozszerzanie herezyi.“ Dopiéro gdy własny sekretarz Jagiełły w obec kardynałów i mnóstwa przytomnego duchowieństwa, zaręczył papieżowi, że Zygmunt Korybut pomimo i wbrew woli królewskiéj, podżegany tylko chęcią panowania złączył się z potępionymi heretykami w Czechach, gdy na synodzie łęczyckim zastanawiano się nad środkami wytępienia podnoszącéj głowę herezyi, gdy w końcu sam Jagiełło pragnąc swą pobożność wyraźniéj udowodnić, prosił papieża o przysłanie mu kilku Kartuzów, dla rozszerzania w królestwie tego zakonu, z Czech wyciśnionego przez fakcyą Żyszki, wtedy dopiéro Marcin V polecił kardynalskiéj komisyi, ustanowionéj jeszcze w r. 1417 do zbadania sprawy Falkenbergowéj, załatwić co rychléj tę czynność.

Po siedmiu tedy latach uznali kardynałowie owo pismo za niecne, błędne, podburzające i bezbożne, poczem papież nie wahał się osobną bulą w całéj osnowie ten wyrok potwierdzić. Bula papieska, datowana jak podaje Voigt (1) 10 Stycznia 1424 r., zawiera cały wyrok potępienia wydany przez kardynałów i przytacza przebieg toczonego w téj sprawie śledztwa.

Falkenberg pozostał w więzieniu w Rzymie, aż dopiéro za zezwoleniem króla Władysława wypuszczono go na wolność po uroczystém odwołaniu przez siebie oszczerczego pisma. Dokument, w którym Falkenberg swoje błędne wywody odwołuje leży bez daty w archiwum królewieckiém, a początek tegoż wedle podania Voigta brzmi: „Ja Jan Falkenberg zakonu kaznodziejskiego, ś. teologii mistrz niegodny, który niegdyś na żądanie nieprzyjaciół ułożyłem oszczerczo i spisałem ręką własną pewien paszkwil czyli pisemko potwarcze na pokrzywdzenie, wyszydzenie, pohańbienie i poniżenie wiary, czci i sławy i z ciężkiém niebezpieczeństwem oświeconego i katolickiego monarchy, pana Władysława króla Pol. i powszechności polaków, w którém to pisemku między innemi krzywdzącemi potwarzami, szyderstwami i niedorzecznościami kłamliwemi napisałem i pismem mojem twierdziłem i t. d.“ (2).

---

(1) VII, 323, uw.: „Romae apud s. Petrum quarto Idus Januar. papatus nostri anno septimo.

(2) „Ego Johannes Falkenberg ordinis fratrum praedicatorum sacrae Theologiae magister indignus, qui dadum ad quoundam emulorum instantiam quendam libellum seu tractatulum Jamosum in injuriam, contu meliam, dedecius, sugiliacionem fidei, honoris

W ogóle oświadczył Falkenberg, że pismo jego przepełnione jest błędami i potwarzami, że takowe odwołuje i szczerą skruchę przyrzeka. Zadziwiać może jednak na pozór, dla czego w chwili tak głębokiego swojego poniżenia, nie wymienił Falkenberg krzyżackiego mistrza, jako wspólnika w téj niecnéj sprawie. Lecz przewrotny pamflecista wstrzymywał się złożyć kompromitujące Zakon zeznania, wiedząc, że w takim razie odmówiłby mu skarbiec krzyżacki wszelkiéj nagrody.

Mnich spodlony zdąża według świadectw Długosza wprost z więzienia do mistrza Zakonu krzyżackiego, domagając się odeń przyrzeczonéj sowitéj nagrody. Fiasko atoli, jakie sprawił w całym chrześciańskim świecie ów paszkwil, było pewno powodem, że Paweł Russdorf czterma tylko grzywnami obdarzył najętego pismaka, tłómacząc się, że ani Zakon, ani mistrz nie odnieśli żadnéj z jego pisma korzyści.

Gniewem uniesiony rzucił Falkenberg pieniądze w oczach mistrza na ziemię, miotając obelgi na niego i na Zakon. Mistrz skazał go za to na utopienie w Wiśle i tylko przy pomocy mieszczan toruńskich zdołał on umknąć do Kamienia, gdzie wypracował nową satyrę na mistrza i Zakon pruski. Z nią téż pospieszył do Bazylei, chcąc ją ogłosić zebranym na soborze dostojnikom kościelnym, lecz przyjaciele mistrza i komturów napadli go około Strassburga, złupili i wydarli rzeczoną satyrę. Przebiegły mnich zdołał jednak i tym razem ujść zasłużonéj karze, a umknąwszy do Lignicy, opuszczony, samotny, podejrzany, wzgardzony, zakończył tamże swój nędzny żywot.

Pamflet Falkenberga spłynął jako kał w zdemoralizowane warstwy ówczesnego społeczeństwa. I jeżeli ma on w historyi jakieś znaczenie, to właśnie z téj tylko strony, że jest owym rozpaczliwym krzykiem, wywołanym powodzeniem polskiego oręża, krzykiem zastępu, który przed chwilą dążąc do stargania i podeptania swéj zawisłości, runął wśród zapasów na polach grunwaldzkich. Pamflet ów, to symptom zgnilizny, przekupstwa i zepsucia ówczesnéj epoki.

Przez oplwanie, przez kłamstwo i potwarz, chciał szpetny pisarz zniesławić w obec świata imię Jagiełły i jego królestwa, chciał

---

et famae atque grave periculum illustris et catholici principis domini Wlad. regis Pol. et universitatis Polonorum calumpriose composui et manu mea scripsi. In quo libello inter ceteras calumpniosas iniuriis contumelias et insanias falsas scripsi et scriptis meis asserui etc.

obelgami i bluźnierstwem, rzucaném z świadomością fałszu na Jagiełłę, bronić machinacyi jego przeciwników, lecz rzecz dziwna, że dół, który on tak skrzętnie kopał królowi i koronie rozwarł się pod nim samym i pod tymi, którzy go do tak sromotnego najęli rzemiosła. Chlubą jednak pozostanie dla polskich reprezentantów na soborze konstancyeńskiem, że z odwagą bronili czci swego króla, chlubą dla Jagiełły, który z całą usilnością domagał się, by sam papież w osobnéj buli zadał publicznie kłam fałszom i potwarzom, szerzonym przez pomorskiego mnicha.

Michał Chyliński.

MYŚL W CZYNIE

STUDYUM PSYCHOLOGICZNE NAD PRACĄ.

I.

W dziele równie głębokiém co do treści, jak jasném co do formy, które Alfred Espinas, młody myśliciel francuski, wydał obecnie o psychologii porównawczéj, spotykamy następne zdania: „Psychologowie dziwnie się łudzą względem czynności naszego umysłu. Od czasu kiedy Arystoteles zanalizował rozumowanie, wzięli oni sylogizm za jego wyłączną formę, za typ jedyny naszego kojarzenia myśli wnioskujących, i zdają się nie chcieć wiedzieć o tém, że myśli nasze kojarzą się także i innemi sposobami. Od dwóch wieków jednakże powstają wątpliwości co do tego przesądu scholastycznego. Według Kartezyusza prawda otrzymuje się jedynie za pomocą długich szeregów rozumowań, bardzo łatwych i prostych, które idą jedne za drugiemi, wychodząc z jednéj zasady. Pascal za to zrozumiał, że ludzie przekonywają siebie i innych daleko łatwiéj bez tych długich łańcuchów rozumowań, niż za ich pomocą. Światło prawdy oświeca nas nietylko jako zakończenie długiego szeregu zwierciadeł, rozstawionych w sposób odpowiedni, ale także oświeca nasz umysł nagle, niespodzianie, za każdym razem i przy każdém zdarzeniu w imię jakiéjś nowéj zasady. Często się także zdarza że te zasady rozrzucone w naszéj świadomości rzucają na nasze myśli światło, którego źródło zostaje nam nieznaném, i nie koniecznie te myśli, które widzimy jasno, najbardziéj nas przekonywają, ale raczéj myśli które sięgają daleko głębiéj, i których przeto nie mamy ciągle na oku. Wnioski jakie z nich wyprowadzamy nie są przeto mniéj

uzasadnione. Ten rozbiór głęboki naszego zwykłego sposobu myślenia nie miał zwolenników we Francyi, ale w tych ostatnich czasach został on odnowionym w Anglii. Herbert Spencer uznaje że sylogizm, ze swojém mnóstwem zdań wyrażonych i wygłoszonych, używa się tylko do sprawdzenia wiadomości nabytych, że umysł niewyraża prawie nigdy zdania ogólnego, będącego główném założeniem, i przez to jakby węzłem sylogizmu, nareszcie że umysł przechodzi także od zdania szczególnego do drugiego szczególnego bez żadnego pośrednictwa zdań ogólnych.

Fakta zdają się potwierdzać ten sposób widzenia rzeczy. Nie należy zapominać, że myśl ma zawsze cel jakiś, w którym się urzeczywistnia. Wszystko co zachodzi pomiędzy spostrzeżeniem ruchu zewnętrznego, a odpowiedniém mu poruszeniem dowolném: uogólnienie, klasyfikacya, indukcya, sylogizm, nie mają żadnéj innéj przyczyny istnienia, jak tylko przygotowanie na przyszłość czynów stosowniejszych za powtórzeniem się tego samego zjawiska, a tym sposobem ułatwia zarządzenie środków rozleglejszych, dokładniejszych i różnolitszych. *Rozmyślanie nie może być sobie samemu celem*" (1).

Są to bardzo ważne myśli, zwłaszcza ze względu na pojęcie, które je kończy, są one ważnemi nie dla medytacyi nad prawami myślenia, ale dla praktycznego zastosowania i powinnyby się wbić w umysły zajmujących się wychowaniem młodzieży. Brać sylogizm za wyłączną formę rozumowania, i analizę za jedyny sposób rozwijania umysłu nie tylko jest błędem logicznym i psychologicznym, ale także przyczyną bardzo błędnego wychowania. Każda działalność umysłowa samodzielna, początkująca jest syntezą, analiza jest tylko rozmysłem krytycznym nad nabytą wiadomością. Przymuszać umysły młode do zbyt drobiazgowych rozbiorów, nietylko jest rzeczą nieużyteczną, gdyż nie można krytykować wiadomości jeszcze nie nabytych, ale szkodliwą. Oskarżenia wywodzone przeciwko Arystotelesowi z powodu scholastyki, chociaż właściwie niesłuszne, zasadzają się jednak na téj podstawie faktycznéj, że szkoła średniowieczna, więziła umysł nie tyle jeszcze ograniczając jego swobodę, ile poddając każde poruszenie umysłu pod drobiazgowy rozbiór. Osławiane formularze podręczników logiki, ze swojemi formułami na pół algebraicznemi, zamiast wprawiać do rozumowania, budzą niewiarę w samą użyteczność rozmyślania, i każą wątpić

---

(1) Des Societés Animales. Etude de Psychologie comparée, Paris. Gernièr Baillère 1878.

o możliwości pogodzenia go z jędrną i czynną myślą. Zdaje mi się że nie tylko studenci, ale znaczna większość ludzi światowych wątpi, czy jaki profesor filozofii może być kiedy człowiekiem rozumnym, (1) a przynajmniéj czy potrafi użyć swego rozumu w sposób praktyczny.

Przesąd ten przeciwko profesorom filozofii, że nie powiem filozofom, jest do pewnego stopnia uzasadniony. Świat szuka zawsze tego, co mu się zdaje użyteczném, a jeżeli nie może powątpiewać o użyteczności Galileusa, Lavoisiera, Bunsena, Liebiga, zasługi Platona, Arystotelesa albo Kanta nie wydają mu się być tak oczywistemi, gdyż ci ostatni nie sprowadzają żadnych zmian bezpośrednich w materyi, a tylko przygotowują umysły do jéj owładnięcia. Wprawdzie filozofia umiała dotąd oznaczyć tylko prawa myślenia, o ile ono się wyraża zapomocą rozumowań wygłoszonych, to jest tylko prawa myśli w słowach wyrażonéj; ale już Bakon a po nim John Stuart Mill umieli oznaczyć różne formy rozumowania indukcyjnego nie wyrażające się w zręcznéj i próżnéj dialektyce, ale w porządkowaniu faktów i zjawisk w taki sposób, że one objawiają nam ważne i użyteczne prawdy. Nie wątpię, że z czasem dojdziemy także do uporządkowania i oznaczenia praw myśli, o ile ona się wyraża w działalności użytecznéj. Naturalnie podobne poszukiwania nad myślą nie doprowadzą nigdy do posiadania podręczników logiki technicznéj, rodzaju Organu Arystotelesa, zastosowanego do sztuk i rzemiosł, ale doprowadzić mogą do używania takiéj metody w szkołach ludowych i technicznych, która będzie w stanie jak najbardziéj pobudzić myśl do zajęcia się rzeczywistością i zużytkowania téj rzeczywistości dla celów ludzkich.

Nie należy jednakże oskarżać filozofii o to, że się dotąd nigdy nie zajęła myślą w czynie, myślą użyteczną, gdyż wszyscy jesteśmy daleko wrażliwsi na myśl, wyrażoną w słowie i lepiéj widzimy jéj potęgę w wymowie, albo w działalności literackiéj aniżeli w czynie i w działalności przemysłowéj.

Rozwój myśli jest tak zależnym od rozwoju słowa, że w czasach pierwotnych myśl i słowo są nierozłącznemi. W pierwotnéj historyi myśli na każde nowe pojęcie, byle tylko było ono jasne i ścisłe, znajduje się natychmiast wyraz. W starożytności i w średnich wiekach jedno mięszało się z drugiém, i dla tego téż logika starożytna i średniowieczna nigdy nie była swobodna od śladów retoryki i gramatyki, które nic nie mają wspólnego z samą myślą, ale tylko

(1) W znaczeniu tego słowa francuzkiém, to jest sprytnym.

z jéj wyrażeniem w głosie ludzkim, w słowie. Dzisiaj jeszcze wielu znakomitych myślicieli, nawet wśród tych, którzy się mienią pozytywistami, niezawsze zdaje sobie sprawę z różnicy pomiędzy myślą, zjawiskiem subjektywném w naszéj świadomości, a jéj okazem, lub znakiem w głosie lub piśmie; John Stuart Mill, kiedy mówi o naiwności średniowiecznych nominalistów, mięsza pojęcia z ich nazwami.

W naszych czasach bardzo mamy ułatwione rozróżnienie myśli od słowa, z powodu niesłychanéj ważności jakiéj nabrały inne sposoby wyrażenia myśli, różne i niezależne od słowa, to jest utwory sztuki i przemysłu.

Wprawdzie sztuki i przemysł, były zawsze objawami myśli, gdyż przemysł nawet najprostszy wymagał zawsze urządzenia i pokierowania środków ku danemu celowi, ale tylko przemysł naszego wieku opiéra się na zastosowaniu prawd naukowych wielkiéj doniosłości, do działalności ekonomicznéj. Maszyny parowe, telegrafy, galwanoplastyka, fotografia z jednéj strony objawiają nam tajemnicze prawa istnienia, z drugiéj strony służą nam w sposób skuteczniejszy niż jałowe wyrazy.

Nasza niesprawiedliwość względem pracy jako sposobu wyrażenia myśli, jest o tyle dziwniejszą, że ma swoje wyjątki, i że są wypadki, w których praca jest uważaną za jedyny sposób wyrażenia myśli, jak w intelligentnéj robocie zwierząt, albo za najwznioślejszy jéj wyraz, jak w pracy artysty, w któréj myśl nadaje formę materyi, niweczy jéj znaczenie, i sprawia, że nawet pracę ręczną rzeźbiarza uważamy tylko za wyrażenie myśli.

Pierwszy wyjątek ztąd pochodzi, że myśl jest nam znaną bezpośrednio, tylko w formie subjektywnéj, to jest, że każdy człowiek słusznie powiedziéć może *znam wyłącznie tylko myśl moję.* Ludzie mają środek odpowiedni na wyrażenie myśli a jest nim słowo, lecz słowo jest zawsze tylko objawem, znakiem, przedstawicielem myśli; możemy zawsze się omylić i wziąść gadułę za człowieka zdolnego, albo komedyanta za człowieka wielkiego uczucia. Tymczasem u zwierząt, zwłaszcza jeżeli mają inny ustrój członków, poszlaki życia myśli, rozpoznajemy tylko z objawów zewnętrzych. Nasze bezpośrednie przeświadczenie o ich życiu umysłowém, nie pochodzi wcale z uznania odpowiedniéj budowy systemu nerwowego, ale z większéj lub mniejszéj ilości objawów, ich roztropnéj pracy. Tym sposobem uznajemy wyższość umysłowego życia pszczoły albo mrówki nad wężem lub rybą.

Przyczyną która nas skłania do uważania pracy artystycznéj za najwznioślejszy wyraz myśli jakkolwiek to dziwnie wygląda, jest zu-

pełne jéj podobieństwo do pracy roztropnéj zwierzęcéj, to jest że ona pochodzi z działalności samodzielnéj, popędowéj (instynktowéj) a nie rozmyślnéj.

Z małéj liczby faktów, które fizyologii udało się zbadać w zjawiskach odnoszących się do życia dusznego, niewątpliwie wnosić możemy, że trzy momenta zjawiska psychicznego, są funkcyami trzech przyrządów specyalnych: wrażenie zmysłowe (proces dośrodkowy) odbywa się za pośrednictwém nerwów czujących; rozróżnienie roztropne wrażeń zmysłowych (jako koniec procesu dośrodkowego) i roztropny wybór pobudek, (jako początek procesu odśrodkowego) odbywa się w organach środkowych (w węzłach nerwowych, i w mózgu); i nareszcie wypełnienie chęci (proces odśrodkowy) odbywamy za pomocą przyrządów ruchu. Niektórzy naturaliści, wychowani pod wrażeniem teoryj zmysłowych przeszłego wieku, nie mogą sobie przedstawić zjawisk psychicznych inaczéj jak w zupełnéj zależności od procesu dośrodkowego; jego zaś czynność uważają za zależną od świata zewnętrznego; ale doświadczenie pokazuje, że każdy z tych trzech przyrządów może funkcyonować niezależnie od innych. Tym sposobem złudzenia zmysłowe, jako zjawiska psychiczne, są czynnością samodzielną przyrządów zmysłowych, gdyż nie są one oddziaływaniem na wpływy świata zewnętrznego; poruszenia lunatyka są także podobną czynnością samodzielną przyrządów ruchu, nie stoi zatém nic na przeszkodzie, żeby i przyrząd środkowy nie mógł działać samodzielnie. Jednakże, ponieważ działalność samodzielna przyrządów zmysłowych i ruchowych, (złudzenia i konwulsye) ma charakter chorobliwy, a działalność środkowa, (roztropne rozróżnienie), przyczynia się do uporządkowania wszystkich zjawisk psychicznych, nie mamy żadnego środka odosobnionego doświadczania téj działalności, pozostaje nam tylko dokładny rozbiór filozoficzny, który wskazuje ich możliwość, w tym mianowicie rodzaju myśli, które filozofowie dosyć niezręcznie nazywają *a priori*. U zwierząt możemy postrzegać tę samodzielną działalność środkową, objawiającą się w ruchach dowolnych, zależących od wyboru i rozróżnienia, a nie będących zgoła oddziaływaniem na wrażenia zmysłów, ani wynikiem potrzeb organicznych, co widzimy w żartobliwych poruszeniach wszystkich młodych zwierząt szkieletowych. Żart u człowieka jest objawem twórczości myśli tak obfitéj, że aż nawet nieużytecznéj, u zwierzęcia jest pierwszym objawem swobodnego życia umysłowego i warunkiem jego dalszego rozwoju.

Pomiędzy objawami samodzielnéj działalności myśli, które uważać można za przyjemne wprawianie się jéj przyrządów, niektó-

re zmieniają pierwotny porządek zjawiska psychicznego, takiemi są działania pochodzące z ciekawości. W pierwotném zjawisku psychiczném, ściągnienie jest skutkiem rozdrażnienia, poruszenie—skutkiem wrażenia zmysłowego, ciekawość zaś chce *znać* i *czuć*, żeby poznać, i wywołuje poruszenie, żeby się poddać wrażeniom zmysłowym. Pierwszym stopniem ciekawości jest *uwaga*, to jest zwrócenie jéj działania ku światu zewnętrznemu, drugim stopniem jest *rozmyślanie*, kiedy myśl przegina się, że tak powiem, ponieważ chce poznać siebie samę. Okres ten życia psychicznego kończy się tak samo dla rodzaju ludzkiego, jak i dla indywiduum, kiedy ono zaczyna używać zaimka osobistego, gdyż wtedy dopiéro zaczyna postępować *rozmyślnie*, to jest ma zupełne samopoznanie. Proces jednakże rozwoju psychicznego wcale się na tém nie kończy, gdyż samopoznanie znajduje w myśli i rozmyślaniu narzędzia ciągłego doskonalenia, ciągłego postępu, i zamienia się w sumienie, to jest w samopoznanie istoty rozumnéj. Nie jedno tylko samopoznanie doskonali się myślą i rozmysłem, ale także i objawy myśli samodzielnéj popędowéj. Ślady, jakie każde zjawisko psychiczne, każda myśl zostawia w przyrządzie nerwowym, ułatwiają powtórzenie się tego samego czynu i sprawiają, że działania, które pierwotnie wymagały wielkiego wytężenia uwagi i rozmysłu odbywają się popędowo, albo nawet mechanicznie. Poruszenia palców podczas pierwszych lekcyj muzyki są bardzo trudne, a z czasem mogą się i przez sen wykonywać. Zjawisko to codzienne tłómaczy nam działanie pamięci, a także i tę okoliczność, że ślady myśli w przyrządzie nerwowym mogą się stać dziedzicznemi i tym sposobem tworzą naturalne, popędowe usposobienie do danych myśli.

Prawdopodobnie dziecko trzyletnie odbywa i streszcza wiele tysięcy lat rozwoju myśli i samopoznania, zaimek JA wydaje mu się być myślą prostą, pojedyńczą, pierwotną.

Dojście do stopnia samopoznania, na którym możemy już poprawnie używać zaimka pierwszéj osoby, wcale nie jest dowodem, że wszystkie nasze czynności odbywają się rozmyślnie. Jeżeli niektóre nasze czynności odbywają się nie tylko nierozmyślnie, ale nawet bez najmniejszego śladu myśli, a inne wymagają znowu największego wytężenia i rozmysłu, możemy pojąć także istnienie działań wymagających myśli, ale nie rozmysłu; to jest myśli, które w nas powstają ani w skutek ani obok zdań, *ja myślę*, *ja chcę*, *ja wolę*. Wszystkie nasze myśli nowe, to jest każda twórczość w dziedzinie myśli, przejawia się w téj formie, to jest jako przyjemne ćwiczenie przyrządów myślenia, jako *żart* ludzki, zupełnie podobny do poru-

szeń niespowodowanych potrzebą, ani wrażeniami zmysłowemi u zwierząt.

Samodzielna twórczość myśli powstaje w skutek samorzutnego działania przyrządu środkowego. Ponieważ działalność jego ogranicza się do roztropnego rozróżniania (byt, nie byt, skutek, przyczyna i od nich pochodzące czas, przestrzeń, forma, odległość, ruch, ilość) jeżeli więc wyobraźnia nie dostarczyła mu, albo pamięć nie zachowała dość materyału zmysłowego, tworzy on matematykę. Jeżeli znajduje w swojéj samowiedzy materyał zmysłowy, tworzy z niego świat idealny, zmyślony, który wyraża, jako formę doskonałą w przestrzeni, w rzeźbie, albo jako wrażenie światła na źrenicy w malarstwie, albo porządkując martwą materyą, okazuje jak czuje jéj prawa w architekturze, albo też zachowując temu materyałowi zmysłowemu charakter pojęć, wyraża je w słowie i tworzy poezyą.

Mnogość powikłanych myśli potrzebnych do pracy artystycznéj nie jest żadnym dowodem przeciw jéj instynktowości, gdyż działalność ta instynktowa stosuje się tylko do tworzenia, wykonanie może, a nawet musi się odbywać z rozmysłem. Jeden tylko rozmysł pochodzi od naszéj osobistości, od naszego ja, uznają to już wszystkie prawodawstwa kryminalne, więc o artystach, gdy tworzą, nie możemy powiedziéć, że myślą, ale że się w nich myśli. Wszyscy filozofowie od Platona i Plotina aż do Schopenhauera zgodnie ten fakt pojmują, tylko, że pierwsi uważają za przyczynę myśli nieosobistéj, zstąpienie w duszę artysty jakiegoś ducha powszechnego, duszy świata, Schopenhauer zaś, nie zupełnie porzucając mistyczne wywody tego zjawiska, uważa je za działalność mózgu tak potężnego, że tworzy on myśli nie tylko w służbie woli. W historyi filozofii włoskiéj interesujące są pod tym względem pisma samych artystów, naprzykład pamiętnik Benvenuto Cellini. Fakt ten, że twórczość artystyczna zależy od śladów zostawionych w organizmie przez myśli poprzedników, i od mózgu, który funkcyonuje samodzielnie, tłómaczy wiele zjawisk estetycznych, zacząwszy od faktu zasadniczego od idealnéj strony miłości i uwielbienia dla piękności, aż do kwestyi często odnawianéj, o ile postęp nauk pomaga lub szkodzi rozwojowi sztuki. Ponieważ twórczość artystyczna nie godzi się z zupełnym rozmysłem, a nauka go bardzo potrzebuje, pokolenie, które wiele zrobiło dla nauk, nie może tyleż zrobić dla sztuki, ale potrzeba ażeby rozmysł konieczny do rozwoju nauk zostawił najprzód ślady w organizmie, żeby produkcya myśli tego rodzaju stała się usposobieniem naturalném, żeby weszła w krew. Kiedy rozum potrzebował rozmyślnego wysilenia, żeby zrozumiéć co jest telegraf,

lokomotywa, wszystkie te dobrodziejstwa nowoczesnéj cywilizacyi zdawały się spłaszać twórczość artystyczną, ale powoli zaczynamy rozumiéć, to jest tworzyć ich poezyą. Sławny napis na grobie Franklina, i nie mniéj sławny posąg Juliusza Monteverde, wiele z poezyi Heinego i Jozuego Carducci i romanse Juliusza Verne są początkami przyswojenia sobie przez sztukę rezultatów nauki nowoczesnéj.

Zdaje się, że są szczególniejsze organizmy umysłowe, u których każda prawda, czy to przez nich samych odkryta, czy wyuczona, przechodzi zaraz w krew, w organizm, i przez to najwznioślejsze prawdy naukowe nie są w nich nigdy *erudycyą*, która zamraża każdą twórczość artystyczną, ale uczuciem, usposobieniem, popędem. Tacy tylko ludzie zasługują na miano geniuszów. Cztery imiona przedstawiają tego rodzaju geniusze w historyi myśli ludzkiéj: Homer, Dante, Shakespeare i Goethe, gdyż przedstawiają jednocześnie i popęd myśli i cały zbiór wiedzy swojego czasu.

Myśl artysty czysto popędowa, nie rozmyślna, nie ma wcale charakteru myśli osobistéj, nie ma już tam jakiegoś *ja*, które myśli, lecz bezpośrednio układ atomów i sił, których artysta jest, jak mówi litanija o Matce Boskiéj, *naczyniem wybranćm*. Myśl, która wcale nie pochodzi od jego *ja*, sprawia, że twórczość artysty traci charakter wszystkich zjawisk, dziejących się w przestrzeni, albo w samowiedzy, i przenosi nas w świat, w którym znika różnica między przedmiotem i podmiotem, pomiędzy tém co nazywają materyą, a tém co mianują duchem, i materya objawia się nam myślącą. Sposób ten zapatrywania się na twórczość artystyczną może się pogodzić z metafizyką spirytualistyczną, ale dla tych, którym przyczyna istnienia świata, przedstawia się jako wynik czyjéjś woli osobistéj, twórczość artystyczna przedstawia się jako natchnienie téj woli. Zjawisko to jest dalszym ciągiem tworzenia, więc musi być po stronie *naturae naturantis* nie zaś *naturae naturatae*.

W pracy użytecznéj nic podobnego nie widzimy. Nie chodzi tu już o swobodny rozwój swego usposobienia, ale o działalność, która w sposób mniéj lub więcéj pośredni, zwraca się do organizmu ażeby mu służyć, o działalność, która nie traci nigdy cechy funkcyi organicznéj. Wszystkie operacye handlowe, które są potrzebne, ażeby jeść ryż lub świeże pomarańcze w Warszawie, mają prawie to samo znaczenie co uchwycenie myszy przez kota. Dla tego téż aż do ostatnich czasów, żaden naturalista ani psycholog nie dostrzegał zjawiska psychicznego, w roztropném rozróżnieniu przez zwierzę rzeczy potrzebnych mu do życia; potrzeba było działalności

bardzo roztropnéj i bardzo skomplikowanéj mrówek, potęgi przywiązania psa albo konia, i wykwintności uczuć ptaków, żeby zwrócić uwagę psychologów, na istnienie zjawisk psychicznych u zwierząt. Działalność użyteczna człowieka tem się różni od zwierzęcéj, że obecność rozmysłu umożliwia, a według niektórych wymaga koniecznie (1), obecności egoizmu, jeżeli człowiek nie ma jakiéjś wznioślejszéj myśli, nad zadowolenie swych potrzeb. Jednakże twórczość w dziedzinie myśli może się przejawiać tylko w formie swobodnego wyłonienia się sil umysłowych, a zatém albo w zupełnéj bezmyślności, albo przy takim rozwoju samowiedzy, że wypełnienie obowiązków staje się przyjemnością, nagrodą sobie samemu. Pierwsze ma miejsce w krajach południowych i katolickich, w krajach uczucia, sztuki i sumień mniéj samodzielnych, potrzebujących pośrednictwa osób trzecich, ażeby myśléć o zbawieniu duszy; drugie ma miejsce w krajach protestanckich, rozwoju indywidualnego sumień, i rozwoju sztuk użytecznych.

Ażeby myśli zwróconéj ku użytecznościom dać popęd i siłę potrzebną dla twórczości, potrzeba albo takiego rozwoju sumienia, że ono znajduje przyjemność w pełnieniu obowiązku, albo nadania pracy użytecznéj charakteru szlachetniejszego, niż dążność do polepszenia bytu materyalnego. Człowiek nie jest tylko istotą organiczną, ale także okiem rozumném świata na planecie ziemi, i wszystko co mu jest użyteczném, podziela z nim godność wcielenia się rozumu. Najwspanialsze prace naszego wieku, bez téj myśli przewodniéj, byłyby tylko ulepszeniami w mrowisku ludzkiém, a któż w przebiciu tunelu przez Mont Cenis, w przekopaniu międzymorza Suez nie widzi raczéj podbicia, owładnięcia materyi przez myśl ludzką?

II.

Filozofia dotąd mało rozmyślała nad pracą jako objawem myśli, nie było to jedynie skutkiem pogardy dla pracy, ale zależało także od tego, że dotychczas mało były oznaczone prawa myśli realnéj, to jest myśli zwróconéj do poznania świata rzeczywistego. Przyczyny tego są bardzo proste i zależą od stanu nauk w ogóle. Atom, z którego myśl tworzy sobie wiadomości o świecie zewnętrznym, jest wrażeniem zmysłowém, które nam się przedstawia jako

---

(1) Wszyscy ekonomiści angielscy od Adama Smith'a aż do John Stuart Mill'a.

działalność przyrządów po większéj części mikroskopijnych i tak skomplikowanych, że nie można powiedzieć, iż nauka doszła do dokładnego oznaczenia działalności wszystkich przyrządów zmysłów. I co szczególniejsza, że z dokładniejszą znajomością tych przyrządów i w ogóle anatomii i fizyologii systemu nerwowego, wzrasta także świadomość o ważności organu środkowego dla myślenia, a zmniejsza się znaczenie organów peryferycznych. Locke i Condillac co dzień mniéj mają powagi, a samodzielna działalność rozumu okazuje się coraz ważniejszą od prostéj bierności zmysłów.

Przedewszystkiém trzeba zauważyć, że to co Niemcy nazywają naiwnym realizmem, przeszkadza nawet osobom wykształconym rozumiéć psychologiczne znaczenie zmysłów. Przeświadczenie, że to, co nazywamy przymiotami zmysłowemi ciał, kolor, dźwięk, zapach, smak, ciepło, lub inne przymioty, odnoszące się do dotykania, nie są własnościami przedmiotów, ale zjawiskami fizyo-psychologicznemi, nastającemi w naszych nerwach, nie wyszło dotąd z bardzo ciasnego kółka ludzi naukowych. Promienie słońca działając na źrenicę wydają światło, działając zaś na nerwy dotykania sprawują wrażenie ciepła. Elektryczność, która działa na cały ustrój nerwowy, jest przyczyną bolu dla dotykania, światła dla wzroku, dźwięku dla słuchu, zapachu dla powonienia, a także smaku dla przyrządów tego zmysłu.

Dla rozumu nie ma żadnych innych własności przedmiotowych jak tylko forma i ruch ciał i molekuł. Fizyka, badając zjawiska światła, dźwięku lub ciepła, przedstawia rozumowi te zjawiska jako pewnego rodzaju ruchy.

Kiedy Galileusz zwrócił pierwszy uwagę na znaczenie czysto subjektywne przymiotów zmysłowych, dał już zarodek pojęcia jedności sił fizycznych, którą *a posteriori* dowiedziono dopiéro w ostatnich czasach.

Działalność psychiczna, która stroi rozmaite rodzaje ruchu i formy, w kolory, dźwięki, zapachy, smaki i stopnie ciepła nazywa się wyobraźnią.

Co do dotykania łatwo nam się jest przekonać, że przyczyną rozmaitych jego wrażeń są formy i ruchy oprócz jedynego wrażenia ciepła, dla tego téż dotykanie przedstawia *minimum* działalności wyobraźni. Wrażenie pierwotne dotykania jest wrażeniem oporu, z różnych jego stopni i rodzajów, powstają wrażenia miękkości i twardości, następnie szczegóły formy tego oporu, dają nam wrażenie szorstkości, gładkości. Ciepło jest jedynem wrażeniem dotykania, które potrzebuje badania naukowego, ażeby być zrozumiałém jako rodzaj ruchu.

Formy molekuł oswobodzone przez rozpuszczenie w płynie, albo przez parowanie, tworzą dla nas smaki i zapachy. Okoliczność jednakże, że zwierzęta żyjące w wodzie mają przyrządy powonienia może nas skłaniać do mniemania, że nie ma pomiędzy temi dwoma zmysłami żadnéj zasadniczéj różnicy, tylko że powonienie czuje cząstki bardziéj rozrzedzone, i że wrażenie smaku zwiększa się początkiem asymilacyi.

Wrażenie słuchu daje nam czuć wibracye powietrza, przyczém, działaniem ściśle mechaniczném możemy czuć jego szybkość, a może i formę fal dźwięcznych. Podobnemi wibracyami eteru są spowodowane wrażenia wzroku.

Nie mamy zwykle całéj świadomości działania wyobraźni, gdyż skoro jéj działanie poddaje się rozumowi, przeskakujemy od razu od skutku do przyczyny i uważamy te zjawiska nerwowe za przymioty ciał. Do przeświadczenia o działaniu wyobraźni, dochodzimy dopiéro wtedy, kiedy to działanie nie jest wywołaném bezpośrednio przez zjawiska zewnętrzne, albo téż kiedy nie odpowiada ono tym zjawiskom w zwykły sposób. Każda działalność nerwu optycznego daje nam wrażenie światła, a nerwu akustycznego—wrażenie dźwięku, ale wtedy dopiéro nabiéramy przeświadczenia o wartości subjektywnéj działalności tych nerwów, kiedy ona zostaje wywołaną przez sztuczne zjawisko mechaniczne, albo przez nienormalne krążenie krwi. Jednakże zdarzają się wypadki, że wieśniacy twierdzą, iż poznali swych napastników w ciemności przy świetle iskier wywołanych ich pięścią; albo że dzieci pytają u osób obecnych czy słyszą dzwonienie w ich uszach. Jesteśmy także przeświadczeni o wartości czysto subjektywnéj wyobraźni, przy powtórzeniu jéj działalności w nieobecności przedmiotu, który ją pobudził, co właściwie nie jest działaniem wyobraźni, ale pamięci.

Estetycy i krytycy sztuki dają zwykle nazwę wyobraźni nie tyle prostemu powtarzaniu jéj działania, jak dowolnéj kombinacyi jéj żywiołów w sposób taki, że te żywioły tworzą świat zmyślony. Jeden tylko Taine, który jest więcéj psychologiem niż krytykiem, rozumie działanie wyobraźni, nazywając czyn poznania świata zewnętrznego *une hallucination vraie*, gdyż w tém wyrażeniu obejmuje subjektywne znaczenie téj działalności naszéj, która *opory* przekształca na kolory, dźwięki i t. d.

Pochwały, oddawane przez wielu ludzi żywości wyobraźni, nie zawsze są oznaką uznania dla téj naszéj działalności, która przenosi wszechświat w mały światek naszéj świadomości, gdyż chwaląc ją głównie zd ją się zwracać uwagę na jéj działanie wtedy, kiedy ona się pozbawia pomocy rozumu. Zapewne większość przyznaje

nieznanemu autorowi „Tysiąca i jednéj nocy“ potężniejszą wyobraźnię niż autorowi „Pana Tadeusza,“ gdyż on, nie poddając wyobraźni działaniu rozumu, nie nadaje swoim utworom cechy rzeczywistości. W życiu umysłowém nie należy działalności wyobraźni uważać za przeciwstawienie działaniu rozumu, gdyż właściwie jest ona zawsze tąż samą działalnością rozumu, nieograniczającą się do rozróżniania i analizowania, ale tworzącą sam materyał myśli.

Świat zewnętrzny działa na nasz ustrój nerwowy i tworzy w nim pewne zjawiska; zjawiska te przechodzą w naszą świadomość jako wrażenia zmysłowe, które z jednéj strony jako podrażnienie wywołują w nerwach ściągnienia, i wtedy w samowiedzy naszéj budzą wstręty i pociągi, z drugiéj zaś strony przedstawiają się one rozumowi jako znaki, jako przymioty zjawisk świata zewnętrznego. Wrażenie zmysłowe jest jakby atomem myśli; żywioł jego uczuciowy, który tworzy wszystkie pociągi i wstręty naszéj woli, doprowadza się w naszéj świadomości do porządku, zasadami rozumu praktycznego w stosunku do obowiązku, do pojęcia dobrego i złego; żywioł zaś wyobrażający porządkuje się władzą rozumu do rozróżniania (byt nie byt, przyczyna, skutek), które to rozróżnianie, filozofowie nazywają zasadami czystego rozumu. Dla tego filozoficzny sensualizm można nazwać atomizmem myśli, idealizm zaś jéj dynamizmem.

Możemy powiedzieć, że żywioł wyobrażczy we wrażeniu zmysłowém jest tém, co się w tém wrażeniu przedstawia rozumowi, ale ponieważ wrażenie umysłowe jest zawsze działalnością naszą nawet wtedy kiedy nie jest samodzielną ale wywołaną przez świat zewnętrzny, więc nazwać go możemy działaniem umysłu, zwróconym do świata rzeczywistego, przy którém potrzebnym jest udział przyrządów zmysłowych. Wychowanie zatém umysłu, co do nabywania wiadomości realnych, musi zależeć na wykształceniu wyobraźni i zmysłów.

Dotykanie daje nam poznać tylko przymioty mechaniczne ciał, nie możemy więc powiedzieć, że w działanie jego wchodzi wyobraźnia, oprócz wrażeń ciepła i zimna. Wychowanie zatém dotykania zależy tylko na zachowaniu drażliwości skóry, w tych miejscach mianowicie, które są jakby przyrządami właściwemi dotykania, to jest na końcach palców. Dotykanie ma naturalnie daleko ważniejsze znaczenie kiedy musi zastępować brak innego zmysłu, lecz wtedy uwaga skoncentrowana na pozostałe zmysły sama je doskonali. Są zajęcia, które wymagają biegłości w szybkiém oznaczeniu drobnych różnic formy, jak wiele robót kobiecych, inne które wymagają szybkiego ocenienia małych różnic ciężaru.

Co do wrażeń powonienia i smaku, to żywioł wyobrażczy tak się w nich męsza z czuciem, że na określenie wrażeń powonienia nie mamy innych wyrazów jak te, które zarazem oznaczają przyjemność lub nieprzyjemność (zapach, smród), co do wrażeń smaku żywioł wyobrażczy zaznaczamy w wyrażeniach, słodki, gorzki, kwaśny, słony, ale nie ma prawie przedmiotów, w których by te wrażenia występowały zupełnie jasno i nie możemy ściśle oznaczyć smaków najpospolitszych chleba, mięsa. Największa ilość smaków nie może być wyrażaną w owych czterech jego kategoryach, ale się one muszą oznaczyć przedmiotem znanym, który ma smak podobny, równie jak i zapachy. Mówimy smak i zapach trufla, poziomki, mając głównie na myśli przyjemność towarzyszącą tym zapachom. Okoliczność ta pokazuje, że te wrażenia zmysłowe małe mają znaczenie jako przedstawiciele zjawisk świata zewnętrznego, a wielkie jako sprawcy rozkoszy, *pokusy do złego, i bólu co płoszy dobro* (1). Ponieważ nerwy, które się kończą pod skórą, na skórze dają wrażenie dotykania, a pod skórą bolu, więc te trzy zmysły mają to podobieństwo, że ich wykształcenie zależy na tém, żeby się im nigdy nie poddawać, ale owszem ich samych owładnąć rozumem. Wykształcenie tych zmysłów odnosi się szczególniéj do skutków moralnych i dla tego powinno mieć charakter odpowiedni obowiązkom. Tak od mężczyzny wymagamy pogardy dla bolu i rozkoszy, a przynajmniéj obojętności na smaki i zapachy, i to mu nawet w niektórych zajęciach, jakoto: żołnierza, lekarza, marynarza staje się koniecznėm; u kobiéty za to zbyteczny w tém stoicyzm jest nie na miejscu, wrażliwość smaku i powonienia traci u niéj ten charakter czułostkowéj drobiazgowości jaki ma u mężczyzny, a nabrać może znaczenia idealnego, jako objaw dbałości i starania o dobro kółka domowego, jako zamiłowanie porządku.

Zmysł słuchu ma o wiele więcéj znaczenia od poprzednich, gdyż porządkuje, organizuje głos ludzki, tym sposobem słuch równie jak przyrząd głosowy tworzy mowę, ten potężny środek cyrkulacyi myśli jakim jest język.

Ale tak jak środek cyrkulacyi ekonomicznéj piéniądz, nie jest wcale jedynėm bogactwem, tak samo i słowo nie jest jedynym przedstawicielem myśli. Wiele bardzo myśli nie może być wysłowionemi, i właściwie te tylko myśli wyrażają się w słowie, które przeszły przez alembik abstrakcyi, to jest pojęcia oderwane, w słowie myśl traci całą wartość konkretną.

---

(1) Wyrażenie Platona z Tineusza.

Bardziéj nieoznaczonym sposobem wyrażania myśli, ale o wiele więcéj się do niéj zbliżającym jest muzyka, właściwie wyraża ona wiele myśli niewysłowionych. Wprawdzie są niektórzy co z przodkami naszymi z zeszłego wieku mniemają, że muzyka jest naśladowaniem głosu ludzkiego podnieconego namiętnością. Helmholtz jednakże już dowiódł, że rzeczy się mają wprost przeciwnie, że uporządkowanie głosu ludzkiego zależy od empirycznych znajomości praw harmonii, i że samogłoski są doskonałemi akordami. Muzyka nie może być naśladowaniem mowy ludzkiéj, gdyż muzyka, to jest sztuczne tworzenie tonów czystych, zapewne jest dawniejsze od mowy. Fakt ten tłómaczy się w sposób prosty, poznanie bowiem harmonii nie odbywa się przez działalność świadomą umysłu, ale przez działanie mechaniczne fal powietrza na przyrząd słuchu. Działania mechaniczne harmonii przeczuwane już przez Tartiniego, oznaczone zostały ściśle przez Helmholtza i innych, a obecnie spopularyzowane przez P. Blacerna (1) i wykazują dostatecznie, że muzyka nie mogła powstać jako naśladownictwo mowy, chociaż źródło ich jest wspólne, to jest możliwość ocenienia asonansów i disonansów. Jakkolwiek poszukiwania te fizyków są głębokie i ścisłe pod względem naukowym, jakkolwiek harmonia przedstawia nam muzykę jako naukę ścisłą, a to pomimo zarozumiałości niektórych kompozytorów niemieckich, którym się wydaje, że są tylko harmonistami; harmonia jednak wyraża tylko przyjemność, miłe połechtanie ucha, muzyka zaś jako wyrażenie uczucia i myśli, polega na innéj właściwości tonów, daleko trudniejszéj do oznaczenia, gdyż jest ona jednocześnie własnością fizyczną i psychiczną.

Każda wibracya powietrza, która jest zdolną zmusić do podobnego wibrowania jedną ze strón przyrządu *Corti*, znajdującego się w naszém uchu (2), oprócz tego, że daje nam wrażenie dźwięku, daje jeszcze podobnie jak inne wrażenia zmysłowe, żywioł uczuciowy, przyjemność lub nieprzyjemność, które w samowiedzy naszéj przedstawiają się jako nasze ogólne usposobienia, formą zaś jego najogólniejszą jest wesołość, lub smutek. Zjawisko to zapewne ma miejsce z powodu położenia przyrządu słuchowego w sąsiedztwie, a nawet w samym mózgu. Zapewne wibracye przyrządu słuchowe-

---

(1) La teorie del suono (Biblioteca scientifica internationale Milano Dumolard). W przekładzie francuskim Paris Germere Baillere.

(2) Kto niema czasu i ochoty poszukiwać go sobie w teatrze anatomicznym może go zobaczyć na str. 186 dzieła Bernstein Les sens. Bibliotheque Scientifique Internationale Germere Baillere 1877.

go udzielają się bezpośrednio tym cząściom mózgu, które wydają takie uczucia przy podobném jego wibrowaniu; tym sposobem i wibrowanie spowodowane działaniem mechaniczném dźwięku, przedstawia się w samopoznaniu jako uczucie i jest rzeczywistém złudzeniem zmysłu wewnętrznego. Tony więc muzykalne i ich połączenia objektywnie są ruchami powietrza, dla słuchu są wrażeniami dźwięcznemi, w samowiedzy zaś naszéj wywołują uczucia, i to w sposób tak ściśle dający się oznaczyć, że kompozytor i Dyrektor Konserwatoryum Paryskiego Hektor Berlioz, mógł zanalizować wszystkie tony wszystkich instrumentów muzycznych, a ta jego praca może służyć za rodzaj słownika efektów muzykalnych (1).

Kiedy ton muzyczny jest pojedynczy, sam jeden, złudzenie zmysłu wewnętrznego nie jest zupełném; mamy czas opamiętania się i przypomnienia sobie, że prawdziwą przyczyną tego co nam się wydaje uczuciem była tylko wibracya dźwięczna, ale kiedy następstwo tonów naśladuje następstwo zmian uczucia w sposób taki, że może przedstawiać jego rozwój, złudzenie jest zupełném. Otóż melodya w muzyce jest właśnie tém naśladowaniem rozwoju uczuć i namiętności za pomocą następstwa tonów. Im prostsza i swobodniejsza melodya tém wyraźniejszém jest to jéj znaczenie. Piosenki neapolitańskie, i wiele mazurków Chopina są zupełnemi dźwięcznemi monografiami jednego uczucia lub namiętności.

W melodyi kompozytorów dawniejszych zwracano więcéj uwagi na harmonią nawet w następstwie tonów, jak na wyrażenie prawdy psychicznéj, i dla tego wiele melodyj Cimarosy, Belliniego, Donizettego i Rossiniego ckliwemi nam się dziś wydają.

Te własności słuchu i wrażeń dźwięku sprawiają, że słuch może być najważniejszym zmysłem w wychowaniu. Ponieważ wrażenia dźwięku są w stanie wywoływać dowolnie uczucia, mogą więc być użyte do wywoływania uczuć dobrych. Dzieje pełne są podań o téj potędze muzyki, podanie o Saulu i mnóstwo anekdot o Pitagoresie i Empedoklesie pokazują nam, że chociaż prawa tego działania muzyki nie były znane, była ona często empirycznie używaną do budzenia dobrych uczuć. Działanie muzyki jest czysto mechaniczne, odbywa się bez pośrednictwa pojęć ani myśli, nietylko zatém musi być skuteczniejsze od tych środków, które wymagają myśli i pojęć, ale nie wymaga nawet rozwiniętego rozumu a tylko uszów i mózgu. Muzyka działa nie tylko na niemowlęta, ale

---

(1) Tłómaczenie włoskie Maestro Mazzucato, Dyrektora szkoły muzycznéj w Medyolanie jest wzbogacone jeszcze dodatkami.

nawet prawdopodobnie na dzieci jeszcze w żywocie matki będące. Należy jednak zwrócić uwagę na to, że ta mechaniczna potęga muzyki robi z niéj najniebezpieczniejszą sztukę, gdyż uczucia, które ona pobudza w samowiedzy, przedstawiają się dopiéro wtedy, kiedy zaczynają nią władać i brakuje nam zupełnie sposobu przekonania się o ich exystencyi pierwiéj, aniżeli już być może zapóźno, żeby ich się pozbyć, należy zatém być bardzo ostróżnym w wyborze melodyi dla młodzieży, gdyż nie zawsze uczucia najprzyjemniejsze są także najlepszemi. Pod tym względem instynkt poprzedził wiedzę, i mamy podania o istnieniu w Sparcie cenzury muzycznéj, zapewne muzyka Offenbacha, a może nawet wiele melodyj autora Cyrulika Sewilskiego, nie mogłyby się ostać przed owym sądem.

Znaczenie to psychologiczne muzyki wskazuje kompozytorom konieczność zwracania uwagi nie tylko na prawa harmonijne tonów, ale i na wartość ich psychologiczną, to jest na to co dotąd z pogardą nazywano efektami. Wagner nie jest ani pierwszym, ani jedynym w dążności zmuszenia muzyki do wyrażenia myśli, Beethoven, Weber, Schumann, Mendelsohn—Bartholdy w Niemczech, Felicyan David i Hektor Berlioz we Francyi, a Verdi i Boito we Włoszech wprowadzają tę zasadę w życie. Szczególniéj Verdi w historyi swojéj osobistéj pokazuje, jak muzyka coraz bardziéj od przyjemnego kojarzenia tonów przechodzi do wyrażenia myśli.

Cecha charakterystyczna najnowszéj muzyki, to jest jéj upodobanie do fantastyczności poezyi niemieckiéj (Wagner, Gounod, Boito, Maszenet) pochodzi właśnie z wzrastającéj świadomości swych celów i środków, gdyż fantastyczność niemiecka wyraża w sposób zawikłany i rozmyślny, to co muzyka wyraża po prostu i bezpośrednio. Fantastyczność niemiecka pochodzi z wywoływania przed siebie namiętności, uczuć a nawet rozumowań z nadawania im istnienia objektywnego i osobistości. Faust, pomimo formy dramatycznéj, jest tylko lirycznym monologiem, w którym jego własne pokusy i rozumowania stają się osobami. Muzyka jest do niego wybornym komentarzem, gdyż tworząc nam bezpośrednio te same wrażenia co osoby do tego dramatu wchodzące, redukuje te wrażenia do wartości ich rzeczywistéj.

Jednakże muzyka ani się ogranicza, ani może się ograniczać do ilustrowania téj mitologii psychologicznéj niemieckiéj, podziela ona ze wszystkiemi sztukami coraz wyraźniejszą dążność do wyrażenia rzeczywistości, ma zatém przed sobą coraz nowe i coraz trudniejsze zadania. Najprzód melodya, jako monografia uczucia, musi charakteryzować charakter osobisty, ztąd powstaje konieczność dla

muzyki dramatycznéj używania tylu motywów melodyjnych, wiele jest osób głównych w dramacie, a że naturalnie istnieje konieczność połączenia ich harmonijnego, więc także trudniejszemi stają się i zadania harmonii.

Oprócz tego dążność do realizmu nowe jéj przedstawia zadania. Wprawdzie muzyka ma swoje właściwie środki tworzenia wrażeń, wywołując w nas uczucia bezpośrednio, mechanicznie, ale prawie wszystkim zjawiskom, które mogą na nas sprawiać wrażenia towarzyszą dźwięki, powstaje zatém konieczność naśladowania tych dźwięków naturalnych, uszlachetnionych prawami harmonii. Kompozytor niemiecki Weber najpierwszy użył tego żywiołu naśladowczego na wielką skalę, nie zapominając jednak nigdy, że muzyka ma własne środki i że to uciekanie się do asocyacyi wyobrażeń, do naśladownictwa, jak w Karnawale Weneckim, nie jest zawsze godném muzyki. Trzeba także oddać tę sprawiedliwość Wagnerowi, że pomimo dążności do realizmu, kiedy chce muzykalnie przedstawiać zjawiska (1) przedstawia je zawsze *ab intra*, to jest wywołując uczucia, które te zjawiska budzą, a nie dziecinném jedynie naśladowaniem dźwięków rzeczywistych.

Jeżeli jednak naśladowanie dźwięków naturalnych jest dowodem niemocy i zepsucia smaku, jest pewien rodzaj kompozycyi, w którym się niedosyć poddano tym wymogom realizmu, tym rodzajem muzyki jest muzyka dramatyczna. Dźwiękiem, towarzyszącym położeniu dramatycznemu jest mowa ludzka. Filozof angielski Herbert Spencer (2) który pomimo prac Helmholtza powtarza jeszcze za Diderotem, że muzyka jest naśladowaniem mowy ożywionéj, ażeby wzmocnić myśl swą ulubioną, rozbiéra zmiany głosu z powodu żywéj i nagłéj zmiany w uczuciach i namiętnościach. Zmiany te i modulacye głosu nie pochodzą z chęci poddania głosu prawom harmonii, któréj winniśmy powstanie mowy, ale z kontrakcyi przyrządu głosowego, spowodowanéj przez nagłe uczucie. Dla muzyków niesłychanie byłoby ważném rozbieranie tych zmian głosu i muzykalne ich wyrażenie w operze. I właśnie dla tego, że muzyka nie jest wcale naśladowaniem mowy, bardzo mało się zrobiło w tym kierunku. Verdi tylko w *Ballo in Maschera*, w *Rigolleto* i w *Forza*

---

(1) Poranek w Lohengrinie.

(2) Origine et Fonction de la musique. Oryginalnie wydane w Mac Millan Magasine Październik 1857 w tłomaczeniu francuskiém z innemi pracami w tomie pod tytułem: Essais de Morale de Science et d'Esthetique. Paris 1877.

del Destino z całą świadomością robi muzykalnemi nie tylko wykrzykniki, ale i delikatniejsze zmiany głosu.

Słuch, który w nas mechanicznie wytwarza uczucia, ma dla naszego życia wewnętrznego największe znaczenie, wzrok za to, który zdaje się bezpośrednio *czuć* formę, jest niezmiernie ważnym dla nabycia wiadomości, odnoszących się do wszechświata.

Wzrok jest niezależnym od *przyjemności* i *nieprzyjemności* zmysłowéj, gdyż świetne i czyste kolory ożywiają tylko poznanie, a ciemne i nieczyste utrudniają go, inne zaś przyjemności zmysłowe, które wzrok nam dać może, stają się takiemi, tylko przez pośrednictwo rozumowania, jako nadzieja innych nastąpić mających przyjemnych uczuć. Nie można powiedziéć, że bezpośrednie wrażenie zmysłowe wzroku wytwarza w nas poznanie formy, ale wrażenia wzroku dostarczają rozumowi najwięcéj materyałów do utworzenia sobie pojęcia o niéj, gdyż wzrok jest jedynym zmysłem, dającym wiele wrażeń współczesnych i nieprzerwanych, za pomocą których rozum sobie porządkuje i *buduje*, że tak powiem formę. Zwyczaj odziedziczony sprawia, że praca ta umysłowa tworzenia staje się natychmiastową i kształt zdaje się nam bezpośrednio poczutym. Powszechném jest mniemanie, że wzrok może mieć wrażenie formy od samego rzutu ciał na źrenicę, że tylko przeświadczenie głębokości i wypukłości tworzy się za pomocą nie równego światła, skróceń i perspektywy, że nareszcie znaczniejsze różnice w trzecim wymiarze zależą od wrażeń przyrządu muskułowego oka w miarę większéj lub mniejszéj rozwartości kąta, znajdującego się pomiędzy promieniami optycznemi. Fakt obrazu rzuconego na źrenicę mógł doprowadzić do przekonania, że dwa wymiary: szerokość i wysokość daje nam wrażenie zmysłowe bezpośrednie, stuczne zaś środki sprawiają nam złudzenie trzeciego wymiaru, *światłocień*, perspektywa i stereoskopy przekonywają wszystkich dostatecznie, że rozum tworzy przeświadczenie trzeciego wymiaru. Tymczasem niedawne obserwacye nad niewidomymi od urodzenia, którzy w wieku dojrzałym wzrok odzyskali, uporządkowane przez Ernesta Naville, rzucają na to zadanie nowe światło (1). Obserwacye, które najwięcéj dostarczyły materyałów były robione przez Doktora Dufour na niewidomych przez niego operowanych i ogłaszane w Bulletin de la Societé Medicale de la Suisse romane. Obserwacye robione nad Noem W. dwudziestoletnim Sabaudczykiem, przedstawiają nam wychowanie wzroku i przyzwyczajanie go do poznawania formy. Aże-

---

(1) Ernest Naville. Theorie del la vision. Revue Scientifique 31 Mars 1877.

by rozróżnić kawałek kartonu okrągłego od kwadratowego musiał on w początkach poddawać ich pod zmysł dotykania. Dziwniejszém jeszcze jest to, że nawet rozróżnienie ruchu nie odbywa się za pomocą bezpośredniego wrażenia wzroku, ale musi być nauczaném.

„Oczywiście (pisze doktór Dufour) obraz poruszanego ciała zmienia miejsce i na źrenicy, lecz ta zmiana w rozdrażnieniu rozmaitych części źrenicy, nie daje sama przez się pojęcia ruchu. Gdyby pacyent stale śledził okiem przedmiot poruszany, wtedy przez świadomość ruchu oka, możeby miał i świadomość ruchu. Wyjąwszy ten wypadek, nie widzę innego sposobu rozpoznania ruchu, jak tylko porównanie z innemi wiadomościami, nabytémi już przez doświadczenie.“

Powierzchowny sąd o tych badaniach zdawałby się dawać słuszność Condillacovi, który uważał dotykanie za zmysł zasadniczy, dający nawet bezpośrednio poczucie formy, ale uważniejszy ich rozbiór dowodzi i potwierdza myśli Kanta o czasie i przestrzeni, a mianowicie, że nasze wiadomości, odnoszące się do czasu i przestrzeni, nie są wynikiem działania zmysłów, lecz rozumu. Sprawdzenie wrażenia wzroku wrażeniem dotykania, ażeby rozróżnić czworokąt od koła, wcale nie oznacza zamiany wrażenia wzroku na wrażenia dotykania, ale tylko szukania znanych sobie danych, ażeby módz oznaczyć formę w przestrzeni. Zmysł dotykania jest tak mało czutkim, że nie zawsze może czuć wielość. Jeżeli się dotykamy dwóma końcami cyrkla albo nożyczek do ramienia albo do pleców mięszamy zupełnie dwa wrażenia w jedno, przy dość znacznéj nawet rozwartości, tak że punkt dla dotykania w niektórych częściach ciała, ma więcéj jak cal kwadratowy. Jedyne miejsce gdzie dotykanie jest cokolwiek czulszém, są końce palców, ale mają one tak małe rozmiary, że tylko bardzo drobne ciała obejmować mogą jednocześnie w ich całości. Nie możemy mieć inaczéj świadomości formy za pomocą dotykania, jak ruszając palcem lub ręką według rozmiarów przedmiotu w około niego, gdyż wtedy zbieramy właśnie dane do oznaczenia formy przez rozum. Że nie dzieje się to wcale skutkiem świadomości wrażenia ściągni przy ruchu, przekonywa nas ta okoliczność, że wiadomość będzie równie zupełną, jeżeli ręka lub palce w zupełnym są spoczynku a przedmiot, którego formę mamy oznaczyć będzie przez innych poruszanym.

Nie tylko świadomość formy ale każde jéj rozróżnienie jest wynikiem działalności środkowéj mózgu nie zaś powierzchniego wrażenia zmysłu. Jest sposób nie tylko oznaczenia téj działalności, ale nawet czasu na nią potrzebnego. W obserwatoryach astronomicz-

nych są czynności rozpoczynające się od chwili dostrzeżenia sygnału, bez potrzeby rozróżnienia koloru sygnału ani jego formy; w tym wypadku różnica czasu rozpoczęcia czynności, od czasu potrzebnego do rozróżnienia koloru i formy sygnału wyrazi prędkość działania środkowego rozumu w mózgu.

Jeżeli zatém słuch, który tworzy mechanicznie uczucia, jest głównem źródłem owych myśli *głębokich, których nie widzimy*, to we wzroku koncentrujemy wszystkie rozumowania potrzebne do oznaczenia formy i przedstawia on nam jasno szybką działalność życia umysłowego.

Formy znowu jako określające i ruch, są prawdziwym rozumem przedmiotowym wszystkich zjawisk, i geometrya opisująca jest prawdziwą logiką przedmiotową realną, a wykształcenie oka do szybkiego oznaczenia form, jest wykształceniem rozumu i przyzwyczajeniem go do bezpośredniego *czucia* racyonalności świata rzeczywistego. Że zaś dla czynu nie chodzi tylko o wyrażenie w słowie swoich wiadomości, ta więc logika przedmiotowa formy, powinna wychować także i *rękę, ażeby rozumowi była posłuszną*. Nauka rysunku zatém, dla wiadomości realnych i pożytecznych, ma to samo znaczenie, co nauka filozofii, dla wiadomości idealnych i spekulacyjnych.

To co nazywają rysunkiem liniowym szczególniéj ma to znaczenie.

W pierwszém dzieciństwie, kiedy nie można jeszcze zacząć rysunku, oczy powinny się przyzwyczajać do widoku form regularnych, jako prawdziwych kategoryj przedmiotów. Zbiór tych form regularnych w rodzaju tych, które robią do pomocy nauki stereometryi i krystalografii, powinien być pierwszą zabawką dziecka, wszystko zaś co pobudza oko dziecinne do zajmowania się temi zabawkami, zwiększa ich skuteczność. Najużyteczniéj robić je przezroczyste z kryształu, gdyż wtedy oko uczy się *czuć* bezpośrednio prawa matematyczne rzutu, skróceń, perspektywy. Wartość tych form regularnych byłaby jeszcze powiększoną, gdyby różność kolorów nie tylko powiększała przyjemność oka, ale pomagała do klasyfikowania tych form, przez użycie jednego koloru do form które mają jakieś podobieństwo. Kiedy nauka rysunku już się rozpoczyna, można ją zacząć od rysowania tych form, gdyż wtedy oprócz korzyści rysunku liniowego, budziłoby się zajęcie, oko uczyłoby się przedstawiać rzeczy istniejące; od czystych form regularnych należy przejść do ozdoby, to jest form już nie zupełnie regularnych, ale takich, w których symetrya, to jest jedność w rozmaitości, stanowi naturalne przejście do realnych nieregularności, przyczém daje się

wyborną wprawę wyobraźni, przedstawiając jéj, że pewne przedmioty konieczne są dla zapełnienia danych form.

Sztuka starożytna, a mianowicie sztuka ornamentacyi przedstawia przestronne pole dla takiego wykształcenia oka. Nie jest tu miejsce rozbierać całą doniosłość wyrażenia Kanta, że wykrzyk *vestigia rationis video* jest cechą wrażenia estetycznego. Niemcy nadużyli tego zdania, żeby jak ateusze zaprzeczać wszelkiego znaczenia piękności naturalnéj, ale można je sobie tłómaczyć jako dowód, że wykształcenie estetyczne oka, przyczynia się do objawiania nam racyonalności bytu. Główne pojęcia Galileusza znajdują się już w pismach Leonarda da Vinci, a rozwój nowoczesny nauk biologicznych, zawdzięcza daleko więcéj poszukiwaniom morfologicznym niż chemiczno-fizyologicznym, pochodzi zaś od Goethego i jego zamiłowania w formie. Szkoda, że estetycy zamiast poszukiwać skromnie piękna we wszystkich jego objawach, poszukują najodleglejszych jego przyczyn. Pomiędzy nimi tylko francuz Karol Blanc (1), woli iść w ślady Leonarda da Vinci i Leonbattista Alberti, i zamiast przenosić czytelnika w mgliste dziedziny metafizyki, przyczynia się do rozwoju dobrego smaku, który jest zarazem poczuciem racyonalności istnienia.

III.

Wrażenie zmysłowe jest raczéj atomem myśli niż myślą. Jako zjawisko subjektywne ma ono tak mało znaczenia, że w niektórych wypadkach można się nań zapatrywać jako na ruch, to jest jako na zjawisko fizyczne, towarzyszące wrażeniu. Naprzykład: jeżeli powiem ton A pierwszéj oktawy violinu fortepianu, to moje wyrażenie może oznaczać zarazem wrażenie słuchu—zjawisko subjektywne, i ruch powietrza wibrującego z oznaczoną szybkością na sekundę. We wrażeniu zmysłowém bardzo jest łatwo pomięszać stronę podmiotową z przedmiotową i uważać myśl i ruch za zupełną tożsamość. Takie pomięszanie myśli z ruchem, we wrażeniu zmysłowém, nazywa się materyalizmem, a jest tylko niezręczném wyrażeniem i prowadzi do nierozwikłanych trudności, chociaż nauka w ostatnich czasach doszła do przeświadczenia, że wszystkie myśli, wszystkie zjawiska podmiotowe, przedstawiają się przedmiotowo jako ruchy.

---

(1) Charles Blanc, Grammaire des arts du dessin Paris Revonard 1876.

Kiedy myśl przekopania Międzymorza Suez powstała i rozwinęła się w mózgu Ferdynanda Lesseps'a, przedstawiała się ona objektywnie, jako drganie fibr jego mózgu; ale uważać wszystkie ruchy ludzi, zwierząt i maszyn, które były potrzebne do urzeczywistnienia téj myśli, jako skutek tych drgań, jest niepodobieństwem mechaniczném.

Wrażenie zmysłowe jest to *minimum* naszéj działalności umysłowéj. Chaos kolorów, dźwięków, smaków, zapachów i przymiotów dotykalnych nie przedstawia wcale znajomości wszechświata. Same te wrażenia, ażeby być czemś więcéj jak naszym stanem, ażeby nas czegoś nauczyć i stać się przymiotami rzeczy, muszą być uporządkowane świadomością przyczyn, ażeby z tych wrażeń sformować znajomość przedmiotów, udział rozumu musi być jeszcze znaczniejszym. Wszystkie rozumowania, wszystkie działania umysłowe, jakich wymaga to uporządkowanie, są tak pierwotnemi, że poprzedzają utworzenie się naszéj samowiedzy i stają się popędowemi, kryją się przed naszą ciekawością i nawet nie mogłyby być wyrażone w słowach.

Wrażenia zmysłowe nie mogły mieć nazwy w mowie, dopóki wyższy rozwój życia umysłowego, nie pozwolił rozłożyć zmysłowego przedstawienia rzeczy, na składające je wiadomości. Jest to prawdą tak oczywistą, że gramatycy dają za przykład imienia oderwanego *białość*, *słodycz*.

Jednakże każde silniejsze wrażenie zmysłowe, mianowicie jeżeli obfituje w żywioł uczuciowy, jest zarazem podrażnieniem i może tworzyć ruchy mimowolne przyrządu głosu, lecz wtedy zpowoduje krzyki ale nie słowa; to jest, dźwięki nie uporządkowane i nie będące przedstawicielami myśli, które mogą być objawami myśli ale nigdy jéj wyrażeniem.

Co się tyczy pracy uważanéj za objaw i przedstawicielkę myśli, za taką pracę, uważać możemy tylko zbiór poruszeń, skierowanych ku temu, ażeby sprawić żądaną i przewidzianą zmianę w zjawiskach zewnętrznych; ruchy wywołane bezpośrednio przez wrażenia zmysłowe, nie są dowolnemi, a zatém bez kierunku i bez porządku, i dla tego nie zasługują na nazwę pracy.

Znajomość szczegółowych przedmiotów, *przedstawienie* ich sobie, wymaga cokolwiek większéj ilości pracy umysłowéj, i taki jéj stopień przedstawia praca czysto extrakcyjna, polowanie, rybołówstwo, szukanie produktów naturalnych. Cokolwiek wyższy stan rozwoju myśli i większą ich ilość, przedstawiają zajęcia, przysposabiające materyą samę do użytku, jak naprzykład wszelki przemysł

przygotowujący pokarmy. Jeszcze wyżéj stoi przemysł, zmieniający formę materyi, ta kategorya przemysłu jest najobszerniejszą i obejmuje sztukę prządki, która nadaje pewną cienkość fibrom organicznym z nieoznaczoną długością, i sztuką haftarki, która za pomocą tych nici urzeczywistnia utwory swojéj wyobraźni, wyroby fabrykanta zwykłych butelek szklanych, artystę weneckiego, który ze szkła robi arcydzieła i optyka, który szkłom swoim nadaje formę ściśle matematyczną.

Ze wszystkich rodzajów przemysłu nadających nową formę materyi, te które wyrabiają narzędzia i w ogóle przedmioty służące do dalszéj produkcyi, mają właściwe sobie stanowisko, gdyż przy użyciu tych wytworów pracy, myśl nie zostaje bezczynną, ale żyje i pomaga robotnikowi. Narzędzie nie jest wcieleniem jednéj tylko myśli, ale całego szeregu spostrzeżeń i indukcyj, koncentruje ono w sobie prawo ogólne, każde zaś użycie narzędzia jest zastosowaniem szczegółowém tego prawa, jakby wnioskiem sylogistycznym, natychmiastowym, bezwiednym.

Nóż jest wcieleniem prawdy, że ciała cienkie i twarde są ostremi, to jest, że z łatwością dzielą i krają ciała miększe, każde użycie noża jest wnioskiem z tych pierwszych danych, które pracą umysłu rozpoznali nasi przodkowie z epoki kamiennéj.

W maszynach znika prawie zupełnie znaczenie materyału, a myśl znaczy wszystko; podobne są one do tych pojęć oderwanych, które zachowują bardzo mało śladów swojego pochodzenia od zmysłów. Fabryka maszyn ma, dla myśli w czynie, zupełnie to samo znaczenie, co system filozofii, który miał wpływ jakiś na swoje czasy.

Ciągle wzmagające się użycie maszyn, i stosowanie praw naukowych do przemysłu, zmienia jego znaczenie. Przemysł garbarza, który przerabia tylko materyą, nie nadając jéj nowéj formy, uszlachetnia się przez wielką ilość wiadomości naukowych, których wymaga.

Nie możemy sobie nawet wyobrazić jakie zmiany jeszcze nauka może wprowadzić w pracy. Gdyby wiedza mogła naprzykład pochwycić od zieleni roślin (chlorophylle), tajemnicę osadzania węgla z kwasu węglowego atmosferycznego w postaci jadalnéj (cukier, mączka, tłuszcz, alkohol), przemysły, przysposobiające pokarmy, stałyby się zastosowaniem najtrudniejszych do określenia praw chemicznych, a człowiek niepotrzebujący niszczyć innych organizmów dla zachowania własnego życia, zapewne mógłby się doskonalić w innym kierunku.

Przemysł budowania maszyn wymaga takiego przygotowania naukowego, że ci co mu się oddają nie są już rzemieślnikami, ale uczonymi, inżynierami, że zaś ich nauka w czyn się zamienia, są prawdziwymi przedstawicielami znaczenia idealnego pracy, jako myśli w czynie.

Jest rzeczą naturalną, że Ferdynandowi Lesseps oddają się honory winne panującym, gdyż nikt lepiéj od niego nie wyraża panowania rodzaju ludzkiego nad globem ziemskim. Kiedy inżynier jest zarazem architektem, istnieje w nim wielkie podobieństwo do tych geniuszów co w sztuce słowa, w poezyi, przedstawiają zarazem potęgę popędu myśli i zbiór wszystkich wiadomości swojego czasu.

Takimi byli nieznani wynalazcy trzech porządków architektury greckiéj, i wielcy architekci włoscy z XV i XVI wieku: Brunelleschi, Bramante, Palladio. Zdaje się, że oni tak silnie czuli prawa statyki, jak młodzian zakochany czuje bole i rozkosze swojéj ulubionéj.

IV.

Jeżeli badanie myśli objawiającéj się w pracy, może przedstawiać zajęcie i użyteczność, nie mniéj ciekawém może być badanie nad wpływem, jaki znowu na myśl praca wywierać może. Już z tego co przedstawiłem wnosić można, że jeżeli sztuki piękne są swobodném wyłonieniem myśli artysty, sztuki użyteczne panują nad rzemieślnikiem, a przez to dają swoję cechę jego myślom. Nie potrzeba zbyt subtelnego rozbioru żeby zrozumiéć, że perukarz i kowal po kilkudziesięciu latach pracy rzemieślniczéj przedstawiać będą wiele różnic w charakterze i umyśle, zależących jedynie od zwykłych w swojém rzemiośle myśli. Nauka oczekuje od statystyki kryminalnéj wielu objaśnień co do zjawisk tego rodzaju. Jéj dane nie są tak nieoznaczonemi jak się na pozór wydaje. Wyraża ona wpływ negatywny rodzaju pracy przez *maximum* danego przestępstwa, i pozytywny przez *minimum*. Owo *maximum* przedstawiać może warunki, które ułatwiają popełnienie jakiego przestępstwa, albo rodzą szczególne do niego pokusy, albo wreszcie nie są zdolne przełamać niektórych złych instynktów. *Minimum* zaś przedstawia nie tylko brak tych okoliczności, ale także siły, które im się opierać mogą.

Dla dojścia do prawdziwych wniosków, potrzeba mieć dane statystyczne z bardzo długiego szeregu lat, rzecz to bardzo trudna,

gdyż mało sprawozdań statystycznych układa się dla takich naukowych celów, jednakże wielu urzędników policyjnych, na drodze czystéj empiryi, przyszło już do oryginalnych bardzo rezultatów.

Interesującém byłoby także wiedzieć, o ile znany romansopisarz francuski Emil Zola, który zaznacza tak dosadnie straszny wpływ nędzy na serce ludzkie, był świadomym w oznaczeniu psychologicznego wpływu rzemiosła. W tragicznéj budowli z łez i błota, którą przedsięwziął wystawić ten pisarz, nędza ma znaczenie Fatum starożytnego. Ale jak Fatum w tragedyach starożytnych, występuje wyraźnie tylko w niewielu tragedyach Eschyla, a zwykle straszna jego konieczność przybiéra oznaczone formy jako namiętność kazirodcza w Mirze i Fedrze, jako konieczność zemsty w Oreście, lub nienawiści braterskiéj u synów Edypa, tak samo i nędza, jako siła zewnętrzna, która ciąży na woli ludzkiéj, fatum nowoczesne, wyraża się jeszcze jako wpływ rzemiosła na umysł i charakter. Niedogodności zajęć i rzemiosł były już nieraz używane jako żywioł konieczny, ale trzeba było całéj świadomości potęgi warunków ekonomicznych, jaką się odznaczają nasze czasy, ażeby nadać temu żywiołowi efekt tragiczny, do jakiego niezaprzeczenie dochodzi romansopisarz francuski. Jego pozorny spokój, pogodzenie się z całą ohydą nędzy, wyrażone w nadużyciu *de la langue verte*, więcéj uderza aniżeli najsardoniczniejszy *humour* angielski, a témbardziéj jak filantropijna fizyologia tego rodzaju romansopisarzy.

Pomiędzy ścisłością jaką nadać może poszukiwaniom tego rodzaju statystyka kryminalna, a dowolnością subjektywną powieści lub romansu, rozbiór psychologiczny, zajmuje miejsce pośrednie, i do pewnego stopnia może oznaczyć wpływ zajęcia na umysły i charaktery.

Znanym powszechnie jest fakt, że w zajęciach, w których siły natury mają wielkie znaczenie, człowiek, czując własną od nich zawisłość, staje się religijniejszym niż w innych zajęciach. Rozbiór psychologiczny idzie dalej i rozróżnia, czy zajęcie zależy na pomocy danéj siłom naturalnym, ażeby otrzymać dany produkt, czy téż na walce z siłami przyrodzonemi. Pierwsze ma miejsce w rolnictwie w którém religijność objawia się pozytywnie jako modlitwa i rezygnacya, drugie w żegludze, gdzie się objawia w bluźnierstwie i przekleństwie: *goddam* jest narodowym wykrzyknikiem jednego z najreligijniejszych narodów.

Rybak, do dwóch tych zależności od sił przyrodzonych, łączy jeszcze wiele żywiołu czysto losowego, to jest zależność od przypadku, który musi tworzyć w jego umyśle najdziwaczniejsze i najkapryśniejsze przypisywanie przyczyn skutkom, to jest najśmie-

szniejsze zabobony; wiara w *jettaturę* musiała powstać między rybakami.

W ogóle żywioł losowy, czy to pochodzący z nieobrachowalnych sił przyrodzonych, jak poszukiwanie kruszców i kosztownych kamieni, czy też z powikłań różnych woli ludzkiéj, jak kaprysy mody, lub zmiany kursów na giełdzie, żywioł ten losowy wywiéra wpływ fatalny na umysły i na charaktery i wydaje ludność Kalifornii, i klasy dwuznaczne i podejrzane miast wielkich.

Jeżeli ten żywioł losowy może ulegać rachubom rozumu ludzkiego, rozwija on roztropność, i to właśnie ma miejsce w handlu w ogóle, ale najbardziéj w bankierstwie. Handel nie jest materyalną produkcyą, lecz jego ostatecznym celem, jest zrównanie ilości produktów na globie ziemskim, zapobieżenie zbytkowi ich w jednym punkcie, a brakowi w drugiém; wymaga zatém ze strony tego, który się poświęca handlowi na wielką skalę,' zawsze zwróconego oka na miejsca, w których być może brak lub zbytek.

Jeżeli zatém wielka ilość myśli współcześnie mieszczących się w czyjéj głowie, jest dowodem zdolności umysłowéj, handel wymaga jéj a szczególniéj interesa bankierskie, gdyż one przedstawiają właśnie najbardziéj tę stronę rozumową handlu.

Handel nic nie produkuje, dla bankierstwa zaś przedmioty materyalne zupełnie są obojętne. Rulony złota nawet dla bankiera mają tylko znaczenie przedstawicieli wartości. Przy olbrzymich przedsiębiorstwach nowoczesnych, kapitały zbiorowe nabrały bardzo wielkiego znaczenia. Kredyt, który oddziela wartość od przedmiotów materyalnych, pozwala użyć ich znaczenia ekonomicznego, ich wartości, w najkorzystniejszém miejscu i czasie, ułatwia nagromadzenie ich w danym punkcie. Jeżeli handel dąży do zrównania produktów globu, to kredyt i interesa bankierskie dążą do porównania bogactwa. Za ich pomocą, niema kraju tak odległego, któryby, jeżeli tylko zasługuje na zaufanie, nie mógł korzystać z cudzych kapitałów, dla rozwijania własnych sił produkcyjnych. Gra giełdowa, interesa różnicowe, mają to samo znaczenie w czasie, jakie ma handel w przestrzeni, to jest zapobiegają one zbyt wielkim różnicom w cenach; ale że zawierają w sobie wiele żywiołów losowych, szczególniéj dla osób nienależących do stanu bankierskiego, i nie będących w stanie obliczyć sobie wszystkich prawdopodobieństw operacyi, noszą one na sobie charakter wszystkich zajęć, poddających życie człowieka wypadkowi.

Rozwój rozumu potrzebny w handlu sprawia, że społeczeństwa które mu się oddają, dochodzą bardzo wcześnie do wysokiéj cywilizacyi, ale i do równie szybkiego upadku. Współczesność wielu

myśli, która jest dowodem zdolności, objawia się tylko jako przytomność umysłu, nie towarzyszy jéj nigdy to szczególniejsze zamiłowanie do jakiéjś myśli, które jest przyczyną roztargnienia uczonych, roztargnienia, sprawiającego że nie ma dwóch zajęć mniéj z sobą zgodnych jak handel i nauka. Oprócz tego zbytek i niedostatek, które się równoważą przez handel, wyrażają się jako taniość i drożyzna, a zysk, ten jedyny cel operacyi handlowéj, musi mieć szkodliwy wpływ moralny.

Istnieje kwestya ekonomiczna bardzo ważna, która nawet u ekonomistów nie traci swojego znaczenia psychologicznego, a mianowicie pytanie: jaki wpływ mają maszyny na umysł robotników? Maszyny są wcieleniem myśli w materyą, ale tém się różnią od innych wyrobów, że myśl działa w automatycznéj pracy maszyny, i przez nią, praca umysłowa samego robotnika staje się zbyteczną. Pochodzić ztąd musi, że ci robotnicy, którzy potrzebują być podbudzani do myślenia, to jest mają mało zdolności umysłowych, przestają myśléć, a ci co nie potrzebują pobudek, mają wiele sił umysłowych nieużytych w robocie.

Jeżeli robotnicy mają wiele siły moralnéj, albo oko dostatecznie wykształcone, mogą zużytkować ten nadmiar sił umysłowych, na robienie coraz nowych ulepszeń w robocie; jeżeli zaś nie mają ani jednego, ani drugiego, nudzą się, robią projekta, układają systematy filozofii nędzy. Zapewne, nie sama tylko nędza sprawia peryodyczne rozruchy między robotnikami, ale i rozwijające się ich zdolności, gdyż widzimy innych wielu żyjących w daleko gorszych warunkach, a siedzących spokojnie. Nauka rysunku jest pod tym względem bardzo korzystną dla robotników, nie tylko dla tego, że przyzwyczaja ich do interesowania się formą, ale przez bezpośredni wpływ moralny jaki na nich wywiera.

Złudzenia psychologów, na które zwróciliśmy uwagę z powodu rozumowań, daleko jeszcze są widoczniejsze w stosunku do uczuć. Nauczywszy się oznaczać te tylko rozumowania, które są analitycznemi, myślą oni że każda działalność myśli przybiera tę formę.

Jeżeli jednakże sposób ten analityczny nie obejmuje wszystkich naszych rozumowań, nie może on mieć nic zgoła wspólnego z naszemi uczuciami, gdyż te ostatnie, jako pobudki woli, mają swoje własne formy, zupełnie różne od rozumowania.

Dowiedzenie logiczne, według wszystkich zasad szkoły, że cnota jest lepszą od występku, nie poprawiło nigdy nikogo, a to z powodu swoich własnych przymiotów *logicznych*, zupełnie odmiennych od tego rozwoju myśli, które mogą opanować naszą wolę. Wychowanie moralne, ażeby być skuteczném, musi się bardzo mało

zwracać do rozwagi, ale dawać dobre wrażenia i dobre przyzwyczajenia. Wielki wpływ muzyki na umysł ludzki, pochodzi właśnie z wpływu jéj czysto mechanicznego. Muzyka nas porusza o tyle o ile wstrząsa naszym mózgiem. Wpływ formy nie jest tak potężnym, gdyż nie jest mechanicznym, ale zawsze potężniejszym od rozumowania, gdyż pobudza wielką ilość rozumowań natychmiastowych, przy minimum działania umysłowego rozmyślnego.

Kontemplacya estetyczna zależy na oglądaniu przedmiotów nie dla naszéj przyjemności lub użytku, ale dla nich samych. Przedmioty pięknością swoją zachęcają nas do podobnego ich oglądania. Pięknemi zaś są przedmioty, które jak najdoskonaléj wyrażają cel własny. Jest pięknėm naczynie greckie, ze swą okrągłą wydętością, która mi przedstawia jego znaczenie, jest piękną kolumna, któréj forma jest tak logicznie połączona z ozdobą, że mi wyraża w niéj stosunek podpory do ciężaru, pięknym jest koń, którego kształty mówią wyraźnie rozumowi, że są kształtami koniecznemi biegu-na. Umysł przyzwyczajony do doskonałéj przedmiotowości, musi mieć koniecznie wpływ i na wolę. Goethe opowiada w swych pamiętnikach, że kiedy pierwszy raz poszedł odwiedzić galeryą Drezdeńską, za powrotem do domu zamiast zasiąść do przygotowanego obiadu, zaczął się rozpatrywać w zastawionym stole, myśląc, że widzi przed sobą obraz Van Ostada. Jaki zaś stosunek mieć może ten pogląd objektywny z naszemi uczuciami moralnemi, pouczy nas proste zwrócenie uwagi na to, że uczynki, które nauka chrześciańska nazywa uczynkami miłosiernemi, mogą się wszystkie pomieścić w zasadzie: działaj z każdym według tego czém jest, to jest działaj objektywnie.

V.

Narody nowożytne, zdają się dawać wykształceniu estetycznemu charakter artykułu zbytku, nie tylko w tém znaczeniu, że uważają je za zbyteczne, ale że nadają mu cechę zadowolenia próżności, bez żadnego głębszego znaczenia. Wyraża się to w zupełnym prawie upadku architektury, która nie tylko jest najstarożytniejszą ze sztuk pięknych, ale która jest kluczem do wszystkich objawów piękna; a to dla tego, że jeżeli malarstwo i rzeźba mogą znaleść w przyrodzie typy piękności, architektura musi je sobie tworzyć sama, poczucie zaś piękna w architekturze jest najdelikatniejszém, mało przystępném, i ze wszystkich efektów, które może wyrazić architektura, efekt piękności jest najtrudniejszym do osiągnienia.

Oko barbarzyńskie daleko łatwiéj rozpozna malowniczość gotycką, bizantyńską albo maurytańską, chociażby najniedorzeczniejszą, aniżeli prostą piękność świątyni greckiéj, lub pałacu florenckiego. Trudność ta poczucia piękności architektonicznéj, zależy od okoliczności, które się mięszają z zasadniczemi pierwotnemi kwestyami poczucia piękna, a które jeszcze przez Platona zostały tak jasno postawione, że lepiéj będzie przedstawić je jego słowami z Hipijasza starszego (Rozdział IX i X).

„*Sokrates.* Nie pytał się on wcale jakie rzeczy są piękne, ale co jest piękno?

Hipijasz. Rozumiem przyjacielu, a ja mu odpowiem co jest piękno, i nic nie znajdzie na odparcie mojego zdania. Ja myślę, że wiesz Sokratesie, że prawdę mówiąc pięknem jest ładna dziewczyna.

Sokrates. Doprawdy dobrze mówisz Hipijaszu, oto piękna i sprytna odpowiedź, ale jeżeli i ja mu odpowiem w ten sposób, nie będzie miał mi rzeczywiście nic do zarzucenia.

Hipijasz. Jakże chcesz Sokratesie, żeby nie uznał tego co uznają wszyscy; wszyscy twoi słuchacze przyznają ci słuszność.

Sokrates. Otóż dobrze! Niech tak będzie, ale rozważ ze mną razem co mówisz. Ten, coby mi zadawał te pytania, powiedziałby: powiédz mi Sokratesie, wszystkie te rzeczy, o których mówisz, że są piękne, są nimi dla tego, że jest w nich coś takiego co na tę nazwę zasługuje? a ja na to mam odpowiedzieć: są piękne, gdyż pięknem jest ładna dziewczyna.

Hipijasz. Jakże chcesz żeby powiedział, że nie jest pięknem to co jest pięknem, robiąc te trudności wystawiłby się na śmieszność.

Sokrates. Ale on je robić będzie, jestem tego pewny. Fakt to udowodni, chcę żebyś słyszał jeszcze co on mi powié.

Hipijasz. Mów więc.

Sokrates. Jakże jesteś niedorzeczny Sokratesie, powiedziałby, czyż nie jest także pięknem i piękna klacz, którą chwaliło bóstwo w jednéj swojéj wyroczni? Cóż mu na to odpowiemy o Hipijaszu, czyż możemy zaprzeczyć, że to co jest pięknem, nie jest nim.

Hipijasz. Masz słuszność Sokratesie, bóstwo to powiedziało, i doprawdy nasze klacze są bardzo piękne.

Sokrates. Jeszcze daléj, a lira nie jestże także piękną? Możemyż i to przyznać Hipijaszu?

Hipijasz. Zapewne.

Sokrates. On jednak daléj w ten sposób dowodząc powie, jestem tego pewny, o kochany przyjacielu, a piękny garnek jeżeli jest piękny, nie jest téż pięknem?

Hipijasz. Cóż to za jeden będzie ten grubianin co ośmieli się odezwać z takiém nikczemném słowem przy tak poważnym przedmiocie.

Sokrates. On téż jest taki człowiek bez żadnéj delikatności i o nic na świecie się nie troszczy, tylko o prawdę. Jednakże trzeba mu będzie odpowiedzieć, a ja wypowiem moje zdanie. Jeżeli zatém garnek będzie zrobiony przez dobrego garncarza, dobrze wytoczony, wygładzony i wypalony, jak się trafiają pomiędzy garnkami o dwóch uchach, mające wielkie sześć miar i rzeczywiście bardzo piękne, jeżeliby mówił o takim garnku, trzeba będzie przyznać, że piękny.“

Ze zwykłą sobie zręcznością dyalektyczną i dramatyczną zarazem, Plato zaczyna tu od prawdy estetycznéj, dostępnéj nawet ludziom zupełnie zmysłowości podległym, ażeby dojść do prawdy o tyle wyższéj od umysłu słuchacza, że nie jest on w stanie jéj rozbierać, ale ją musi zostawić tym *grubijańskim umysłom*, które o nic innego nie dbają jak tylko o prawdę.

Żeby daléj prowadzić ten rozbiór trzeba sobie przypomnieć, że wyrażeniu: „estetyczne“ (piękno, brzydota) przeciwstawia się „zmysłowe“ (apetyczne, obrzydliwe). Co do ładnéj dziewczyny, zmysłowość może być uszlachetniona miłością i przedstawiać się w samopoznaniu jako chęć poświęcenia. Zmysłowość nietylko nie niweczy wrażenia estetycznego, ale je wzmacnia, łączą się one razem, ażeby wydać najpotężniejsze uczucie ludzkie. Z drugiéj strony ci nawet, którzy zupełnie zależą od zwierzęcéj zmysłowości, są w stanie ocenić piękność dziewczyny, gdyż jéj formy przedstawiają tożsamość jéj celów objektywnych, z celami subjektywnemi tych, którzy na nią patrzą. Celowość klaczy jest tak prosta, że możemy także odkryć łatwo *skuteczność*, to jest piękność jéj form. Co do liry, jest ona połączeniem symetryczném linij krzywych i prostych w celu jedności matematycznéj (symetryi) i jedności organicznéj (swojego przeznaczenia), i może nam tém łatwiéj dać wrażenie estetyczne, że będąc narzędziem muzyczném nie może nam przypominać żadnego apetytu ani wstrętu. Przeciwnie garnek, z jednéj strony jest formą zbyt prostą, żeby wywołać silne estetyczne uczucie, z drugiéj strony przypomina on nam nizką zmysłowość, która nie może być nigdy uszlachetnioną; żeby módz estetycznie osądzić piękność garnka potrzeba mieć oko bardzo czułe na piękno, a zarazem niedostępne żadnym zmysłowościom.

Ten sam garnek, który tak zgorszył Hipijasza, jako podany przykład wrażenia estetycznego, dzisiaj zostałby zapewne tak samo osądzonym przez każdego stojącego na równym poziomie rozwoju umysłowego. My barbarzyńcy nowocześni nie umiemy, albo może

nie dbamy o to, żeby naszym garnkom nadawać formę piękną, i różnią się one od form naczyń greckich, które obok wyższéj estetycznéj wartości, nie przypominają nam jeszcze nic apetycznego, ani wstrętnego, jakie wrażenia zwykle jadło wywołuje. Budowle nowożytne mają to samo znaczenie co garnek Platona i nie powinniśmy się dziwić, że w podobny sposób są traktowane przez współczesnych Hipijaszów. Architektura starożytna miała cechę piękna, które Kant nazywa pięknem nieoznaczoném (pulchritudo vaga), to jest była formą bez żadnego oznaczonego stosunku do jakiejś treści. Architektura egipska jest zupełném wcieleniem w granit form rozumowych, matematycznych; świątynia grecka nie jest wprawdzie czystą formą matematyczną, ale jeszcze jéj treść nie leży w celu budowli. Jako budowla jest prawdziwą zabawką bez celu, jéj forma jest oznaczoną tylko przez materyał, z którego jest albo powinna być wystawioną, jak te domki, które dzieci z domina wystawiają. Wszystkie motywy ozdoby architektonicznéj, wyrażają tylko rozkład materyału i stosunek ciężaru do podstawy. Architektura rzymska wzbogaciła się łukiem i krzywizną i przez to skomplikowała formy architektoniczne w taki sposób, że trudno bardzo ażeby nasze oko czuć mogło piękno prostoty greckiéj, gdyż wprowadzenie krzywizn doprowadziło budownictwo do wyrażania efektów nie tylko obcych ale wprost przeciwnych jego celom.

Wrażenie materyi bez ciężaru, jakie nam daje kościół gotycki, nie przestaje być niedorzeczném chociaż wywołuje działanie wyobraźni do takiego stopnia, że wydaje się być wrażeniem estetyczném. Oprócz tego styl o linijach krzywych (gotycki, bizantyński, maurytański) wprowadza do architektury to, co jest szczytem złego smaku, to jest ozdobą nieuzasadnioną, i mógł on przyzwyczaić oko do pojmowania piękna w architekturze jako ozdoby i jako maski.

Budownictwo nowoczesne jest zawsze użyteczném. Dzisiaj najwspanialszemi budowlami są stacye, magazyny, giełdy, fabryki. Ponieważ budynki te budzą nasze apetyty do miljonów i wstręty do bankructwa, myślimy, że jedynym sposobem upiększenia ich jest zamaskowanie, przedstawienie ich tém czém nie są, przyczepianiem niedorzecznych ozdób. Piękność giełdy paryzkiéj albo teatru opery jest podobną maskaradą. W sztukach, które przedstawiają formy istniejące w naturze, to jest w malarstwie i rzeźbie, działalność artysty jest zawsze swobodną, to jest dana kompozycya, żeby być rzeczywiście artystyczną, musi być rzeczywistém wyłonieniem jego myśli, a nie myślą narzuconą mu przez innych, ani przez działanie własnego rozmysłu. Co do stosunku zjawisk psychologicznych, któ-

re artysta przedstawiać może w utworze sztuki, nie można go wyrazić w formie oderwanego prawa ogólnego, ale tylko jako przedstawienie pojedyńczych wypadków.

Zjawiska towarzyszące kompozycyi muzycznéj nie mają nic wspólnego z innemi objawami działalności artystycznéj. Jeżeli twórczość w poezyi lub w sztukach formy jest popędową, bez rozmysłu, twórczość muzykalna zajmuje jeszcze niższy szczebel w rozwoju samowiedzy, jest funkcyą organiczną, i to jeszcze funkcyą nie normalną, chorobliwą. Wyrażenie Shelleya:

„They teach in soffering, they learn in song."

jest prawdziwém literalnie.

Znaczenie psychologiczne muzyki zależy od tworzenia w mózgu, przez wibrowanie powietrza, zjawisk podobnych do tych, które się tworzą przy rozwijaniu się uczuć. Słuchanie muzyki jest już rodzajem złudzenia, w którém dźwięki są uważane za uczucia; w kompozycyi muzykalnéj rzecz się ma przeciwnie i uczucia uważają się za dźwięki.

Jeżeli kompozytor jest tylko metodystą, ciągłe poddawanie się temu złudzeniu, po pewnym przeciągu czasu, ma wpływ najfatalniejszy na jego systemat nerwowy i może wywołać wszystkie odcienia chorób nerwowych od prostéj drażliwości aż do konwulsyi, paraliżu i obłąkania z dziwacznemi zjawiskami moralnemi. Jeżeli kompozytor jest harmonistą, konieczność porządkowania dźwięków, które mu na myśl przychodzą, zmusza go do porządkowania uczuć, które są mechanicznemi skutkami tych dźwięków i przez to bywa on zmuszonym do bardzo głębokich rozmyślań; żadna téż sztuka nie wykształca tylu dziwacznéj natury waryatów i myślicieli zarazem, jak muzyka.

Józef Deskur.

DWIE ELEKCYE.

(Ciąg dalszy).

Drugiego kandydata na osieroconą przez zgon Pełki katedrę krakowską szukać musimy daleko na północy, w stolicy onego Mazowsza, któremu niepodejrzany o stronność głos spółczesnego Sandomierzanina przyznawał „dzielność w zamysłach i męstwem ożywione rycerstwo.“ Ciągła groza ze strony bliskich pogan zmuszała tam do nieustającéj gotowości wojennéj; każdy mąż był żołnierzem, biskupi prowadzili nieraz szyki zbrojne, a nawet niewiasty męskim tchnęły tam duchem i zaczajonych w lesie najeźdźców chwytać w niewolę umiały.

Zbliżającemu się do Płocka w cztery wieki później „flisowi“ zapowiadał poeta, że ujrzy

„....na szkucie przez górę zaiste
Krzyże złociste.
Płocko wesołe na lądzie wysokim
Oglądasz, będąc pod brzegiem głębokim,
Chcesz li wierzch ujrzeć stamtąd kościołowy,
Zdejm kołpak z głowy.“

Krzyżów złocisłych na początku XIII wieku nie było: o takim przepychu nikt wtedy nie marzył nawet (1). Gród mazowiecki nie

(1) Pozłocenia krzyżów i globów na wieżach tumu płockiego dokonał biskup Gębicki w 1655 r. (Krzyżanowski, Katedra Płocka, str. 11—12). Widok katedry gnieźnieńskiéj z roku 1374 przedstawia wieżę nawet bez krzyża; pozłocenie gałki i krzyża w Gnieźnie 1513 r. kosztowało 300 czerw. złotych węgierskich (Polkowski, Katedra Gnieźnieńska, str. 10 i 17.

miał wcale téj świetności, jaką według dosyć pospolitego a wielce przesadzonego mniemania, miały się rzekomo odznaczać miasta średniowieczne; dalekim był od sprostania Krakowu lub Wrocławiowi. Mimo to, Płock był już wtedy osadą niepoślednią, skoro kronikarz powiada o nim z pewnym naciskiem, że jeśli nie da się ukryć światło pod korcem, tém mniéj „miasto na górze stojące." (1). Naczelną jego ozdobę stanowiły „bazyliki," przez biskupa Aleksandra wzniesione, oprócz których istniały inne domy boże, jak klasztór norbertanek i starodawny kościół św. Wawrzyńca, będący może pamiątką głośnego zwycięstwa, które Krzywousty odniósł nad Pomorzanami. Wisła dostarczała zajęcia i żywności siedzącym pod zamkiem rybakom, a spław na rzece nadawał grodowi znaczenie handlowe. Mieszkali tu więc i żydzi „przepełnieni złotem i srebrem," jak się stary kronikarz czeski wyraża, którzy z powodu ucisku uchodzili z jego ojczyzny i chronili się ze swemi bogactwy pod łagodniejsze rządy w Polsce. W XI wieku już tu oni handel niewolnikami prowadzili, w XII posiadali dobra ziemskie, a następnie, dzierżawiąc od książąt mennice, mnożyli swe kapitały; wypożyczali je na lichwę, biorąc w zastaw od marnotrawnych ziemian grunta, a od hulaszczych kleryków—kielichy, księgi i inne ozdoby kościelne, czém, jak słuszność wyznać nakazuje, bawili się czasami i chrześcianie, wbrew najsurowszym zakazom kościoła. Obyczajem średniowiecznym, żydzi płoccy mieścili się zapewne w osobném przedgrodziu czyli podzamczu, posiadali bowiem oddzielną studnię, która od nich nazwę swą wzięła.

Przedewszystkiém jednak, Płock był stolicą obojéj władzy, świeckiéj i duchownéj, książęcia i biskupa, którzy tu mieli bezpieczne siedlisko wśród umocnionych „osiekami" ścian grodu. Jak zamki krakowski i sandomierski, jak wszystkie ówczesne zamki, tak i stołeczny gród Mazowsza był „budowaniem" drewnianém, potrzebującém częstéj naprawy, którego to obowiązku dopełniała cała ludność krajowa, stawiając ten jednę, ów po dwie „izdbice," to jest zręby, z łacińska *stubellae*.

Témci wspanialéj obok drewnianego zamku odbijały kamienne mury „tumu" czyli katedry biskupiéj, zwanéj urzędownie „kościołem Panny Maryi większéj na Mazowszu." Materyalna różnica dwóch sąsiadujących budowli uwydatniała naocznie stosunek praktycznéj

---

(1) Gdy mistrz Wincenty mówi: „sub modio tamen lucerna abscondi non potest, nedum civitas supra montem sita" (MPh. II. 335), można w tém widzieć wyraz naocznie doznanego wrażenia.

zabiegłości dwojga władz, z których jedna z okiem zwróconém w przyszłość budowała mury, urągające burzom i klęskom, gdy druga żyła z dnia na dzień, nie kłopotając się myślą o jutrze. Do pewnego stopnia daje się ta nieoględność usprawiedliwić, gdyż i na zachodzie Europy murowanie kościołów poczęło się i rozpowszechniło wcześniéj aniżeli budownictwo twierdz murowanych. Wśród duchowieństwa zakonnego i świeckiego pielęgnowano tradycyjnie sztukę mularską, i gdy przyszło z czasem stosować ją do budowli świeckiego przeznaczenia, trzeba było szukać techników między klerykami. Jakoż pierwszymi naszymi budowniczymi są duchowni: w roku 1228 muruje ściany zamku Opolskiego ksiądz Wierzbięta, późniejszy przełożony klasztoru w Staniątkach, a w półtora wieku potém, kiedy wielki murarz grodów polskich, Kazimierz budował zamek we Włodzimierzu, prowadził mu tę robotę Wacław z Tęczyna, również kapłan.

Uwagi powyższe atoli, objaśniając istnienie drewnianéj twierdzy w Płocku, wykazują jeszcze dobitniéj, że hierarchia duchowna górowała nad społeczeństwem świeckiém siłą organizacyi, płodnością pracy, i że była wtedy piastunką wszelkich zadatków kultury. Kiedy na murowany zamek w Płocku nie mogło się wzdobyć wiele pokoleń książęcych (1), katedrę „rozpoczął od fundamentów i dokonał" jeden kapłan już w połowie poprzedniego stulecia, a świątynia jego, niby mury cyklopów, pomimo siedmiuset lat wieku, stoi do dziś dnia niewzruszona. Twórca tego dzieła, biskup Aleksander „kapłan i żołnierz zarazem," nie zaniedbał niczego co do wzmocnienia bezpieczeństwa i podniesienia świetności kościoła przyczynić się mogło. Z jego zlecenia zrobione zostały drzwi pobite blachami z miedzi, przedstawiające obrazy religijne, które dziwnemi kolejami losu dostały się do Nowogrodu, gdzie pod nazwą „drzwi korsuńskich" stanowią celną ozdobę cerkwi św. Zofii.

Mazurowie pysznili się swą katedrą; mówiąc o niéj, gotowi byli posunąć się do najzuchwalszych porównań. Święcicki, lubo nigdy zapewne nie był w Rzymie, zapewnia, że katedra płocka „kształt kościoła watykańskiego posiada," dzisiejszy zaś monografista téj świątyni równie stanowczo, a nie więcéj trafnie, utrzymuje, że zbudowana jest „w stylu bizantyjskim i ma wielkie podobieństwo z kościołem św. Marka w Wenecyi." Nie będziemy się tedy dziwić, że

---

(1) Opasanie Płocka murem przedsięwziął Kazimierz W. dopiéro w 1353 (kod. Mazow. 64), ale na zamku były już mury wzniesione przez Bolesława, niewiadomo którego (MPh. II. 626, w odmiankach tekstu).

pisarzowi XIII stulecia, gdy mówi o wystawieniu tumu płockiego, gdy podziwia jego wspaniałość, przychodzi na myśl budowa świątyni Salomona. Jestto gmach długi na 231, szeroki na 89 stóp polskich, wsparty na szesnastu słupach kamiennych; powiedzielibyśmy, że go wzniesiono w stylu romańskim, gdyby w ogólności mogła o stylu być mowa w budowli, która wielokrotnym przeróbkom w następnych wiekach podlegała.

Biskupem w téj katedrze był od niedawna Giedka albo Gotka Sosinowic, więcéj z rodu aniżeli z charakteru znamienity. Był to jeden z tych chłodnych samolubów, którzy korzyści doskonale umieją obliczać, którzy wiedzą kiedy potrzeba zrobić z czegoś ofiarę i nieochybnie ją składają: nakażą miłości własnéj milczenie, gotowi działać wbrew swym przekonaniom i sympatyom. Tacy ludzie nie podnoszą walki dla żadnéj zgoła „idei,“ jeśli z nią korzyść osobista ściśle się nie splata. Giedka nie będzie walczył z zasady przeciw reformie kościelnéj, lubo mu ona wcale sympatyczną nie jest. Daleki od fanatyzmu w tym lub owym kierunku, ale bystro widzący rzeczy, potrafi dopatrzyć zyski materyalne, jakie mu reforma przynieść musi, wyzwalając duchowieństwo z pod władzy świeckiéj. Dla tego ujrzymy go na kilku synodach i zjazdach, i przyjmie on chętnie wywalczone przez nowatorów dla duchowieństwa przywileje. Sybarytę, lubiącego żyć i używać życia, mało obchodzić będzie rzucenie klątwy na opornego przywilejom kościelnym księcia lub na kolegę biskupa; ufny w swój rozum nie obawia się podobnego losu dla siebie. Znosząc w milczeniu dumne pretensye arcybiskupa, tém bardziéj na cierpienia innych zostanie obojętnym i nie potrafi ochronić swych owieczek od niszczących najazdów pruskich, jak to dzielni jego poprzednicy niegdyś czynili. Siedmnaście lat patrzał na mury biskupa Aleksandra, sam żadnego nie wzniósł kościoła: nie znamy ani jednéj jego fundacyi; ciągnąc dochody z fortuny iście książęcéj, nie zostawił żadnego zapisu na instytucye pobożne. Wprawdzie pod koniec życia ustąpił dochody z ziemi Chełmińskiéj na rzecz założonego tam nowego biskupstwa, nie stanowi to wszelako dowodu hojności, gdyż zrzekał się praw nie swoich własnych, lecz przywiązanych do urzędu, praw przytém idealnych tylko i nieprzynoszących mu pożytku. Ziemię Chełmińską zajmowali wtedy poganie pruscy, biskup płocki nie miał z niéj w rzeczywistości żadnych dochodów, owszem, sąsiedztwo pogan zagrażało spustoszeniem majętnościom biskupim w innych nawet częściach dyecezyi. Ustępstwo przeto Giedki nie było żadną ofiarą, jeno dobrze zrozumianym interesem, gdy zrzekając się praw umorzonych, zabezpieczał prawa istotne.

Ciągnąc z reformy korzyści, wymaganiami jéj nie będzie się Giedka krępował, krocząc dawnym lubo już zakazanym torem. W tym względzie opór biskupa płockiego okaże się rzeczywistym, ale milczącym, niehałaśliwym. Na zjeździe Mstowskim, gdzie arcybiskup zagroził duchownym klątwą za wydawanie tajemnic kapitulnych, nie znajdujemy Giedki, lubo się tam pięciu zjechało pasterzy. Pojmując jednak dobrze ducha czasu, potrafi on swoję mowę dostroić zawsze na ton panujący w danéj chwili i broniąc swéj sprawy, nawet w Rzymie nie zdradzić się dyssonansem, chociaż w sprawie fałszywa struna brzęczała. Biskup płocki w całém swém postępowaniu zachował tyle zręczności, że gdyby nie sprawa dopiéro wspomniana, nie podobna byłoby domyśléć się w jakim istotnie zostawał stosunku względem stronnictwa nowatorskiego. Tylko że dwulica polityka ma w sobie tę fatalność, iż prędzéj lub późniéj zdradzić się musi koniecznie. Oględny biskup nie będzie mógł ani śmiał wymówić się od pewnych ustępstw; cofając się krok za krokiem znajdzie się nareszcie tam, gdzie nie zamierzał, a widząc się zagrożonym w tém, co mu najmilsze, w korzyściach materyalnych, w spokojném używaniu, czy nadużywaniu doczesnych zbiorów, w osobie krewniaków, w uczuciu dumy rodowéj, utraci zwykłą flegmę, wybuchnie gniewem i narazi na proces skandaliczny.

W końcu, nie można zaprzeczyć Giedce pewnéj zalety: był po swojemu przywiązanym do krewnych a popleczników swoich od krzywd bronił. Zresztą, zaleta owa była mu potrzebną i pożyteczną.

Wszyscy późniejsi pisarze zaliczają go do Gryfitów, a lubo całkiem błędną kreślą dlań genealogią, dzięki atoli szczęśliwemu ocaleniu kilku spółczesnych pomników piśmiennych, możemy błędy sprostować i rzeczywiste podać fakta. Ród Gryfów był tak potężnym i starożytnym, że spokrewniano go z książętami Pomorza i Słowian brandeburskich, a niektórzy nie wahali się wywodzić go od Jaksy, jednego z owych legendowych stryjów, których Popiel Gnuśny miał pomordować. Ale i nie sięgając w czasy bajeczne, musimy przyznać temu rodowi dawność znaczną, skoro przodków biskupa płockiego napotykamy na wydatném stanowisku już za panowania Władysława Hermana. Sam Giedka powiada nam, że pradziadem jego był Wojsław, pan licznych włości. Nic nie przeszkadza nam przyjąć, że on to właśnie był tym znanym z dziejów komesem Wojsławem, który zaprawiając Bolesława Krzywoustego, jeszcze wyrostka, do rycerskiego rzemiosła, otrzymał przy dobywaniu Międzyrzecza „znak waleczności“—ciężką ranę w czoło, z któréj go tylko „operacya zręcznego lekarza,“ przez wydobycie strzaskanych

kości, uleczyła. Zostawał on w pokrewieństwie z wszechwładnym wtedy wojewodą Sieciechem i dla tego może powierzano mu ważne obowiązki ochmistrza przy młodym księciu, którego pierwszemi krokami kierował, sprawując w jego imieniu rządy Szląska (1). Lubo popadł chwilowo w podejrzenie o zmowy z Sieciechem, nie umniejszyło to znaczenia jego w następnych latach. W słynnym akcie legata Idziego dla benedyktynów Tynieckich, Wojsław zajmuje pierwsze miejsce po wojewodzie Skarbimirze, znajdujemy go též w liczbie dwunastu najznakomitszych panów, którzy, niby owych dwunastu radców otaczających niegdyś Chrobrego, najbliżéj stali tronu przy Krzywoustym, a w zamian za ofiary, uczynione przy założeniu klasztoru Lubińskiego, poleceni byli wiecznym modłom mnichów i zapisani czerwoną farbą w rejestr bractwa klasztornego, dzieląc ten zaszczyt z rodziną książęcą. Katedry krakowska i wrocławska miały w Wojsłowie dobrodzieja: pierwszéj skarbiec wzbogacił, drugiéj darował dwie wsie pod Żmigrodem szląskim. Wojsław dwukrotnie wstępował w związki małżeńskie: raz—z córką Kiełcza, a ta urodziła mu dwóch synów Janusza i Trojana, których biskup Giedka nazywa „swymi dziadami"; z drugiego małżeństwa z Dobiechną, córką Kiliana, Wojsław „gdy nie miał potomstwa i mieć go nie spodziewał się", obyczajem podżyłych wdowców, wchodzących w powtórne śluby, darował Dobiechnie mnogie wsi z prawem dowolnego niemi rozrządzenia. Pomimo téj darowizny, synom Wojsława, Januszowi i Trojanowi, pozostały jeszcze obszerne dziedziny mianowicie na Kujawach. Janusz wraz z żoną Sulisławą trzymał nadto, nadany mu przez synów Krzywoustego zamek Wyszogród, ważne stanowisko pograniczne od strony Pomorza, ujścia Brdy do Wisły broniące. Był to magnat ile bogaty tyle pobożny; zbudował w Trzemesznie kościół dla kanoników regularnych, a zaprosiwszy na uroczystość poświęcenia książąt, arcybiskupa, biskupów i „całe rycerstwo," nie poskąpił z żoną i bratem, znacznych posiadłości na uposażenie klasztoru.

Ojciec Giedki miał imię Sasin. W r. 1161 znajdujemy Sasina z krewniakami w poczcie panów, którzy zjechali z książętami do

---

(1) Komarnicki w notach do kroniki Galla (str. 227) wyróżnia dwóch Wojsławów: jednego „na niższym względzie dworskim," rannego pod Międzyrzeczem, a drugiego ochmistrza przy Bolesławie. Kronika do tego wyróżnienia nie daje żadnego powodu; podrzędnych osób, choćby i odznaczających się walecznością kronikarz nigdy po imieniu nie nazywa, zaś *dapifer* jest dość stosownym tytułem dla karmiciela, kormilca, qui puerum Boleslaum nutriebat (MPh. I. 438).

Łęczycy na obrzęd poświęcenia tamtejszego kościoła. Uroczystości tego rodzaju sprowadzały w te wieki tłum gości różnego stanu, zwykle bowiem z poświęceniem kościoła łączono gody weselne, a lubo zdarzały się przy tém nieraz bójki i morderstwa, lubo ktoś popadł w obłąkanie, a nowożeńcy, jak się to zdarzyło w Rudzie, po takich bezbożnych godach nawet roku z sobą nie przeżyli,—zawsze jednak poświęcenie kościoła nie obywało się bez zbiegowiska, do którego jednych wiodła pobożność, drugich zamiłowanie w biesiadach, hulatykach i polowaniu.

Sasin posiadał na Kujawach wieś dziedziczną Otłóczyn nad brzegiem Wisły: tu obok góry zwanéj Rienza, która dzieliła tę majętność od sąsiedniéj wioski Brzozy, miał dwór, którego ślady wskazywano jeszcze w wiele dziesiątków lat po śmierci Sasina. Giedka odziedziczywszy po ojcu Otłóczyn, zamienił tę wieś z szlachcicem Klementą, od którego wziął za to Latowic. Giedka wszelako nie jedynym był potomkiem wspomnionego wyżéj Wojsława; miał brata Ottona, a z linii dziada Trojana zostało także potomstwo. Znany wojewoda Żyra, zawiadowca Mazowsza, powinowaty Sambora, księcia czy wielkorządcy gdańskiego, wielki bogacz, co miał dobra rozrzucone po wszystkich krainach Lechii, bo i około Chełmna, i w ziemi Wiślickiéj pod Pinczowem, i koło Maciejowic w ziemi Stężyckiéj, i w Sieradzkiém niedaleko Koniecpola i, jak się zdaje, w okolicy Sochaczewa bliskim był krewnym Giedki. Również w pokrewieństwie z Sasinowicem zostawać musiał inny komes Wojsław, żyjący na początku XIII wieku, skoro obadwa wykonywali prawo patronatu w jednym kościele. Nareszcie do krewnych biskupa płockiego zaliczyć należy trzech braci: Wojsława, Trojana i Giedkę, zmarłych pod koniec XII wieku (1). Ostatni zasiadał na katedrze krakowskiéj bezpośrednio przed biskupem Pełką. Temu to staremu Giedce zawdzięczał zapewne młody Giedka Sasinowic pierwsze swe powodzenia w karyerze duchownéj, wcześnie bowiem (już w 1189 r.) sprawował prepozyturę katedralną w Krakowie, którą objął praw-

---

(1) Wojsław, pradziad Giedki Sasinowica biskupa płockiego, żonaty był, jak wiemy, z córką *Kielcza*; owóż, gdy o Giedce biskupie krakowskim czytamy, że fundował kolegiatę w *Kielcach*, to mimowolnie nasuwa się przypuszczenie, że Kielce były posiadłością, odziedziczoną po owéj Kielczównie, co tém większego nabiera podobieństwa do prawdy, gdy widzimy, że komes Wojsław, patron jednéj prebendy w Kijach, stara się w r. 1213 o wcielenie drugiéj tamtejszéj prebendy do kolegiaty kieleckiéj; oczywiście, do ponoszenia w tym celu ofiar materyalnych mogło go skłaniać to, że kolegiatę kielecką uważał za familijną fundacyą.

dopodobnie po zmarłym za rządów starego Giedki Bogdanie, a zajmował aż do niedawnego postąpienia na biskupstwo w Płocku, gdzie miał posiadać scholasteryą.

W dziejach nie znajdujemy wyraźnéj wzmianki, w jaki to sposób Giedka Sasinowic otrzymał infułę na Mazowszu. Sam fakt wyniesienia dostojnika krakowskiego na biskupstwo w innéj dyecezyi wprawdzie nie przedstawiał nic niezwykłego w czasie, kiedy udzielanie inwestytury biskupiéj zależało jeszcze od woli księcia (tak spółczesny z Giedką kanclerz krakowski Mrekata postąpił na biskupią stolicę w Poznaniu); lecz wyniesieniu Sasinowica towarzyszyły okoliczności tego rodzaju, że trudno to przypisywać samym faworom książęcym. Okoliczności te nie były bez znaczenia w sprawie zajmującéj nas teraźniejszéj elekcyi krakowskiéj i słusznem będzie poznać je szczegółowo.

W kościele parafialnym we wsi Kijach pod Pinczowem, dziedzictwie wojewody Żyry, istniały dwie prebendy: patronat nad jedną, czyli władza podawnictwa kandydata na probostwo przeszła prawem spadku po wojewodzie na Giedkę Sasinowica, ten zaś wstąpiwszy na katedrę płocką, zrzeka się patronatu na rzecz biskupów krakowskich. Fakt dziwny;—pożytkiem kościoła wytłómaczyć go nie można, gdyż obojętną było rzeczą, czy ten lub ów prałat sprawował nad nim patronat; zresztą, niepochopnego do ofiar Giedkę pobudki tego rodzaju nie były zdolne skłonić do wyrzeczenia się nader ważnego prawa.

Patronat w ogóle był cennym klejnotem rodziny, niekiedy—jedyną pamiątką wspólnego przodka, fundatora kościoła, a zawsze—węzłem łączącym najdaléj rozrodzonych krewniaków. Czasem już własność ziemi do obcych rąk się przeniosła, a prawo patronatu świadczyło jeszcze o dawnych dziedzicach. Dzięki wspólnemu patronatowi, Odrowąże przez kilka wieków wiedzieli, że pochodzą od jednego ojca, „starego Prandoty,“ Toporczykowie umieli wskazać patryarchę swego rodu, Sieciecha. Patronat zapewniał korzyści doczesne i wieczne, pozwalał osadzać uboższych stryjców na „tłustych prebendach;“ czasem fundacya rodzinna dostarczała patronowi na pamiątkę, „na znak państwa,“ serca i trzewia zwierząt, któremi sfory psów myśliwskich karmiono. Za życia patronowie wyzyskiwali gościnność beneficyatów, nieocenioną w czasach, kiedy ani poczt, ani zajazdów nie było; po śmierci spodziewano się wiekuistéj gościny w podziemiach kościelnych. Nakoniec, żywi i umarli polecani byli szczególnie modlitwom wiernych, uczęszczających do kościoła, a za rodziny patronów odbywano corocznie egzekwie solenne. Oprócz

tego, z téj wielkiéj krynicy łask, jeśli się dało, wydobywano gwałtem zyski niegodziwe: zabierając dziesięciny, „uszczuplając to, co przodkowie nadali," gospodarując w kościele niby w swéj własności, pomiatając rektorem, jak gdyby ten był osobistym służebnikiem patrona. Z tych wszystkich powodów posiadanie patronatu pożądaném było każdemu, komesom i książętom zarówno; starano się o nie wszelkiemi sposobami. Henryk Brodaty ucieka się do paradoksów, aby wykazać, że patronat klasztoru, który kto inny buduje, jemu się z prawa należy. Utratą patronatu kościół groził za pewne występki, uważał to jako karę. Patronatu broniono od wdzierstwa, od najmniejszego uszczuplenia, przeciw każdemu, chociażby przeciw saméj stolicy apostolskiéj. Nikt się nie wyrzekał patronatu dobrowolnie. Byłżeby Giedka jedynym w téj mierze wyjątkiem? Wyjątkowych ludzi tak mało na świecie! Wypada dodać, że patronat odziedziczony stanowił przynależytość prawną majętności spadkowych, któremi w duchu zwyczajów krajowych nie wolno było rozporządzać bez zgody i zezwolenia wszystkich członków rodu. O zezwoleniu podobném ze strony krewnych biskupa płockiego zupełnie jest głucho; przeciwnie, istnieją wskazówki, że go wcale nie było. Albowiem wspomniona prebenda po pewnym czasie została przez kogoś obdarta z dochodów, a sprawcą tego, może nie bez wiedzy Giedki, musiał być który z jego krewniaków: bo obdarcia dokonano „zdradą i gwałtem," bo starań o odzyskanie dochodów podejmował się inny krewny Sasinowica, a wtedy biskup krakowski zrzekł się ustąpionego przez Giedkę patronatu. Milczenie i tym razem pokryło powody zrzeczenia i powiedziano tylko, że były one „słuszne," ale zbyt „długie" do wyjaśnienia. Taką wymówką biskup, pisarz nie lubiący lakonizmu, a za to biegły w sztuce wymijania drażliwych przedmiotów, widocznie, chciał się uwolnić od wyznań nie miłych, musiałby bowiem powiedzieć, że ustąpienie patronatu było na Giedce wymuszoném i przez krewnych nie potwierdzoném.

W ten sposób Giedka pożegnał kapitułę krakowską. Wstąpiwszy na katedrę płocką, sporządza on akt, którego osnowa niemniejsze budzi wątpliwości. Giedka opowiada tu historyą założenia jednego kościoła w Płocku. Pradziad jego Wojsław darował, jak wiemy, pewne włości drugiéj swéj żonie Dobiechnie, ta zaś po śmierci męża, „przenosząc Boga ponad pieniądze i wszystkich przyjaciół ziemskich", wybudowała świątynię Panny Maryi, zwaną „kościołem Wojsławy", uposażyła otrzymanemi od męża dobrami i nadała takowy biskupowi i katedrze płockiéj. Skreśliwszy różne koleje, które kościół pod następnymi biskupami przechodził, Giedka w końcu dodaje: „Aby zasię rzeczy te z pamięci ludzkiéj niewypadły, pi-

smem niniejszem wyznałem i wyznawam, że ja w onym kościele nie panuję jako dziedzic (gdyż ani ja, ani krewniacy moi nic nie mamy nad nim praw żadnych, takowe bowiem przelane zostały w zupełności przez Dobiechnę na biskupa i katedrę, a Dobiechna wcale nie była naszą krewną), lecz zarządzam tym kościołem jako biskup, i wszyscy biskupi, następcy moi, mogą nim swobodnie rozporządzać. A iżby po upływie dłuższego czasu krewni moi nie poważyli się praw tych pozbawić płockiego biskupa i katedrę, jak to niegdyś gwałtem usiłował brat mój Otto, pismo niniejsze stwierdzam pieczęcią.“ Gdyby polegać na oświadczeniach tego aktu, Giedka byłby przykładnym pasterzem, który wyżéj stawiał sprawę kościoła nad korzyści swoich krewniaków, i za wzór obrał sobie pobożną Dobiechnę. Ale codzienne doświadczenie ostrzega, że namaszczonym słowom nie zawsze towarzyszą uczynki pobożne, a pochwały z własnych ust wychodzące zawodną bywają rękojmią charakteru człowieka. Przestrogę tę szczególniéj mieć na baczeniu należy, mówiąc o wiekach średnich. W téj młodocianéj epoce społeczeństwa uczucia były żywe, lecz zmienne i nietrwałe, gorąca wiara nie przeszkadzała wybuchom namiętności nieokiełznanych i dzikich: jedną ręką wzbogacano kościoły darowiznami, drugą obdzierano je z bezwstydną naiwnością. Temci łatwiéj chciwość, kiedy nie mogła popuścić sobie wodzów, okrywała się szatą moralności w aktach urzędowych. Tak właśnie zapatrywać się należy na oświadczenia Giedki w powyższym akcie, przeciw którym nie brak poważnych zarzutów.

Niepotrzebnie biskup płocki zapewniał, że Dobiechna nie była jego krewną, rzecz ta albowiem w sprawie dóbr kościołowi nadanych podrzędne miała znacznie; istota pytania polegała na tém, czy Wojsław, zapisując dobra drugiéj żonie, nie pokrzywdził potomków swoich z pierwszego małżeństwa,—czy to były majętności dziedziczne, czy dorobkowe. Pytania te zmuszeni jesteśmy pozostawić bez odpowiedzi. Cóżkolwiek bądź, brat biskupa Otto uważał się za pokrzywdzonego, skoro próbował zwalić rozporządzenie pradziada; w samym akcie Giedki wyrażona jest obawa, że inni krewni mogą w przyszłości ponowić usiłowania w tym celu: sporządzenie aktu miało jakoby złemu zaradzić; zapobiedz mu jednak nie było wstanie. Akt, w którym krewniacy nie uczestniczyli, wiązać ich prawnie nie mógł, ale samemu Giedce krępował ręce nieodwołalnie, i z tego stanowiska widziany, ukazuje się dopiéro we właściwém świetle. Syn Sasina tém odrzekaniem się praw rodzinno-majątkowych po raz wtóry już płaci za wyniesienie na biskupstwo mazowieckie, jak pierwszy raz zapłacił przez zrzeczenie się familijnego patronatu w Kijach, czyni to prze-

cię nie z własnego popędu, lecz ulegając konieczności; mówimy: że płacił z konieczności, bo jest w późniejszém źródle wiadomość, że książe Konrad stawiał mu niejakie trudności. Wspomniano już, że Giedka nie dał się poznać bynajmniéj z hojności dla kościoła; z drugiéj strony wiemy, że nie zapominał o wyniesieniu rodziny. W Płocku „lepsze prebendy nadał swoim powinowatym i krewnym, urządziwszy, jak powiadano (a powiadano nie bezzasadnie) koligacyą bezbożności, tak, aby nikt uczciwy nie był do ich kościoła dopuszczony" (1). Oczywista więc, że skoro Giedka zdolny był oddać dobro kościoła na łup krewniakom, to z własnéj woli nie poświęciłby interesów rodziny, a jeśli to czynił, działał pod naciskiem okoliczności.

Jakim był kapłanem i pasterzem, daje poniekąd wyobrażenie skarga zaniesiona nań do papieża. Zarzucono mu tam: 1) że przez czas swych pasterskich rządów, to jest w ciągu lat dwunastu, zaledwie trzy razy miał kazanie do ludu; 2) że dziesięciny, przeznaczone na sprawy pobożne, zużytkował na myto dla jakichś myśliwców; 3) że czynszu należnego papieżowi, pomimo wielokrotnych upomnień wybierać zaniedbywał; 4) wicezymy na obronę Ziemi Świętéj ani sam z dochodów swych uiszczał, ani od podwładnych starał się jéj zebrać, lubo na koszta procesu w Rzymie potrafił wycisnąć kolektę czyli pobór nadzwyczajny od duchowieństwa; 5) nie troszczył się wcale o poprawę obyczajów osób mu podległych i cierpiał kanoników żonatych; 6) patrzał przez szpary na rozłączenie się małżonków prawnie zaślubionych; 7) brał datki za chrzest niemowląt; 8) świadomie przechowywał w kościele katedralnym kanoników dwużennych; 9) dziekana z pierwszéj prebendy, na którą ów wstąpił bezpośrednio po swoim ojcu, przeniósł, ku oszukaniu kanonikatu, na piątą; 10) nakoniec, jak nadmieniliśmy wyżéj, grzeszył nepotyzmem.

Długi ten szereg zarzutów, choćbyśmy, przez wzgląd na przesadę właściwą skargom, cokolwiek je złagodzili, przedstawia biskupa płockiego tak niepochlebnie, że obraz złego kapłana, który nam kreśli Marcin Polak z Opawy, zda się być niemal żywym wizerunkiem Giedki. Ceniony ten dziejopis i kaznodzieja XIII wieku późniejszym był wprawdzie do Sasinowica, mógł go jednak pamię-

---

(1) Theiner. Monum. Pol. I. 8—9.—Imię Giedka, Godko ma być zdrobniałem, według jednych, od *Gedeon*, albo jak chcą drudzy, od *Godysław, Gosław*; otóż w gronie kapituły płockiéj 1207 r. znajdujemy kanonika Gosława, który wydaje się krewnym biskupa, bo tożsamość imienia jest zwykle cechą członków jednego rodu. Toż samo powiedzieć można o dwóch spółczesnych Gunterach: dziekanie i kanoniku płockich.

tać z lat dziecinnych, a jeśli nie zaznał osobiście, to niewątpliwie słyszał o nim opowiadania osób starszych, jak kanonik Trojan, Jakób ze Skarzeszowa, lub inni. „Pasterz zły—odzywa się Marcin w kazaniu na synodzie—pasterz zły, co nie jest z pozyskanego, ale z zatraconego ludu, nie udziela żadnéj pomocy słabym i biednym owieczkom swoim, ale wszystko co ma, marnuje z ohydnemi osobami, nie pomnąc nędzny na to, że musi aż do szelążka zdać liczbę z dziedzictwa Ukrzyżowanego. Jego modlitwa i nabożeństwo są szczuplutkie, bo cały jest w tém, jak gdzie co zarwać, jak wymodlić odrwieniem. Złym przykładem i rozmową gorszy mnóstwo ludzi. Nie krzepi nawet trzody pokarmem słowa bożego, a to z przyczyny, że sam mało umie. I nie ma dziwu, tacy bowiem więcéj szyją się po dworach królewskich; więcéj słuchają Dawidka jak Dawida, bardziéj lubią zabawiać się z szachem i matem jak Mateuszem, więcéj mówią o markach (pieniądzach) jak o Marku, więcéj zajmują polowaniem i łukiem jak Łukaszem."

Satyra zbyt jaskrawemi namalowana może barwy, w gruncie rzeczy nie wymija się z prawdą. Jużci bawił się łukiem ten, kto dziesięcinami opłacał myśliwców, a wiedzieć trzeba, że polowanie ówczesne ciążyło ludowi wiejskiemu nieznośnem, „niesłychaném" jarzmem ucisku, ściągało na kraj gorzkie upomnienia z Rzymu. Niedość że biedaków zmuszano do żywienia psów i myśliwców, ale nadto do pilnowania bobrów i sokołów, a gdy te „idąc za wrodzonym duchem wolności, uszły z miejsca, gdy które z piskląt zaginęło," skazywano chłopa na opłatę, zwaną „siedmdziesiąt." Cóż to za sprawiedliwość! woła papież. „Przecież i domowe ptaki uchodzą czasem z zamknięcia, nawet z rąk stróżów, a cóż dopiéro takie sokoły lub inne, racyonalnego sensu pozbawione, nie mające wiedzy czy możności poddania się wyrokom rozporządzenia ludzkiego, które, iż tak rzekniem, nie potrzebują prosić dozorców o pozwolenie do lotu, lecz rozwinąwszy skrzydła, udają się tam, gdzie je pociąga stan przymiotów powietrza." Oto czém była zabawa Giedki.

Nie o zdobyciu Ziemi Świętéj, lecz o zdobywaniu marek srebra i złota myślał Sasinowic, kiedy wicezymy nie chciał uiszczać. Miał biskup mazowiecki sposobność słuchać do woli Dawidków, bo ich, jak wiemy, w Płocku nie brakowało. Marnotrawił dobra kościelne, kiedy je rozdawał „bezbożnym koligatom." Nie był gorliwym w nabożeństwie, ani troskliwym o trzodę pasterzem, jeżeli raz tylko na cztery lata wydzielał owieczkom obrok duchowny. Leniwym jego ustom odpowiadała ręka, nie spiesząca pewnie z wsparciem chorych i żebraków, ręka, która bez wstrętu wyciągała się po

opłatę za chrzest dzieci, nie bacząc, że napisano: „Darmoście wzięli, darmo dawajcie.“

Urywamy na tem paralelę między Satyrą a życiem Giedki. Aczkolwiek, ze stanowiska kanonicznego, skrupulat mógłby nazwać ohydném towarzystwo, w którém cierpiano kapłanów nieszanujących celibatu, nie robimy z tego zarzutu Giedce, wiedząc że reforma obyczajów kleru powolne czyniła postępy, że „doświadczenie, cnót matka,“ skłaniało na przykład biskupa Grota, w ostateczności, do przekładania dobrych kapłanów, choćby żonatych, nad kleryków których bezżenność gnała po świecie, a kościół o stratę kielichów przyprawiała. Wzmiankę o „kanonikach dwużennych“ objaśniamy przenośnią, oznaczającą posiadanie naraz dwóch beneficyów, co sobór powszechny potępił, lecz zwyczaj krajowy stale upoważniał. Chętnie dopuszczamy, że biskup nie snuł się zbytecznie po dworach książęcych, gdzie pono nie dość pożądanym był gościem. O hołdowanie grom, tak powszechnym wtedy śród kleru (1), o szerzenie rozmową lub uczynkiem zgorszenia, w specyalném znaczeniu tego wyrazu, nie posądzamy, wierząc na słowo późniejszemu pisarzowi, który przyznaje Giedce „uczciwe i poważne obyczaje,“ lubo tenże, chwaląc go zarazem za „troskliwą pieczę i staranie około dobra kościoła,“ nie wielką ufność dla słów swych budzić zdolny. Przy wszelkiéj jednak pobłażliwości sąd o biskupie płockim przychylnie wypaść nie może.

A teraz słusznie zapytać można, co przemawiało za synem Sasina, aby go promować na katedrę biskupią w Krakowie? Byłże do tyla uczonym jak mistrz Wincenty, tak oddanym sprawie kościoła jak Iwon? Ani jednéj, ani drugiéj zalety przyznać mu w tym stopniu niepodobna. Czy więc jego wierność dla rodziny panującéj tak była wypróbowaną, że dwór forytował w nim swego stronnika? czy popierali go stronnicy reformy kościelnéj, lub przeciwnie, czy mógł liczyć na głosy starowierców? To ostatnie najwięcéj zbliża się do prawdy: starowiercy nie widzieli przynajmniéj w nim wroga. Wszelako ich stronnictwo nie było dość potężném w Krakowie, a chłodnemu Giedce brakowało tego ognia, który słabszym liczebnie stronnictwom niekiedy zwycięstwo daje. Biskup płocki na czém inném opierał swo-

---

(1) O grze w szachy jako zwykłéj zabawie na dworze arcybiskupa Jarosława, mówi Janko z Czarnkowa (MPh. II. 652). Gry w kości (*ad aleam* lub *ad taxillos*) zabrania statut Grota 1331 r. tylko dla zysku, lecz nie dla zabawy (Star. praw. pomn. IV, str. 37); ale dawniéj, proboszczom nie wolno było nawet mieć kości w domu. Obacz statut Filipa Firmana 1279, caput 11 (Hube, str. 30), albo § 27 (Helcel, I. 370).

je nadzieje. Był synem domu Gryfów, a Gryfowie zajmowali zwykle najwyższe dostojeństwa i przewodzili wśród pańskich rodów w Krakowskiém. W XII wieku Janik Gryf rządził arcybiskupią stolicę w Gnieźnie; Gryfem był Jaksa z Miechowa, zwany „księciem;“ na katedrze krakowskiéj siedział wówczas inny Gryfita, imiennik płockiego Giedki; wreszcie najpotężniejszego z możnowładców, Mikołaja wojewodę, zalicza także tegoczesny badacz do Gryfów (1).

Jeśli poeta słusznie powiedział o późniejszych magnatach, że ich marzeniem było „bić cudze króle, a grozić swojemu,“ o Gryfach konieczna dodać, że nie przestawali na pogróżce. Brali oni czynny udział w przewrotach wewnętrznych i trzęśli tronem krakowskim. „Zawołanie“ swoje; czyli hasło rycerskie, które brzmiało „Świeboda“ albo „Swoboda,“ Gryfowie rozumieli po rycersku, po pańsku, po średniowiecznemu, jako swobodę nierządu, wywołując w kraju zamieszki, spiskując przeciw książętom. Jaksa stanął na czele sprzysiężenia przeciw Bolesławowi Kędzierzawemu; o wojewodzie Mikołaju wprost powiadano, „że wedle upodobania jednych książąt strącał, a drugich na ich miejsce osadzał.“ „Świątobliwy pasterz“ Giedka biskup krakowski przepowiadał ongi Mieszkowi Staremu upadek, a jako mąż „wielce przemyślny i mądry,“ umiał nietylko przyszłość zgadywać, ale i do spełnienia przepowiedni dopomódz, bo i sam uniknął zamachów księcia i drugich unikać uczył tak skutecznie, że Stary książe, mimo całéj przebiegłości, musiał pójść z tronu na wygnanie.

Była to walka, ciągle wznawiana, w której szalę zwycięstwa przechylał częściéj podstęp niżeli siła, lecz przechylał chwilowo, bo żadna strona nie posuwała się do ostateczności. Raz tylko wśród możnowładców ozwał się głos, aby „jedną motyką wyplenić wszystkie odrośle szczepu“ Piastów, ale głos przebrzmiał bez echa, i podawnemu, w razie niezadowolnienia, przerzucano się od jednego Piasta do drugiego, stwierdzając tém stare przysłowie, że „Polacy igrają z książętami, jak z malowanemi jajami (kraszankami).“ I Piastowie nawzajem nie chwytali się gwałtownych środków: od połowy XII stulecia nie słyszymy już ani o ukaraniu śmiercią jakiego pana, ani nawet o oślepieniu (2). Przeciw burzliwości magnatów książęta sobie

(1) Tak mniema i uzasadnia to Helcel (o klasztorze Jędrzejowskim, w Rocz. tow. nauk. Krak. 1852, str. 221—222), wbrew heraldykom, którzy Mikołaja wzięli za Mżurę czyli Lisa.

(2) Śmierć wojewody Krystyna i Jana scholastyka nie mogą tu być brane na uwagę; należą do lat późniejszych, zaszły na Mazowszu, gdzie inne były stosunki polityczne

radzą skutecznie, darząc swojemi względami ten lub ów dom pański naprzemian, oddając urzędy rodzinom mniéj możnym, aby zrównoważyć znaczenie bogatszych; stawiając jednych przeciw drugim, do czego zręcznie wyzyskiwane zawiści prowincyonalne, istniejące między ziemianami księstwa dziedzicznego, a obywatelami ziemi stołecznéj, gotowe otwierały pole. Gdy nowy książe na tron wstępował, wpływy i główne urzędy dostawały się w ręce zaufańców, zwykle ziemian z ojczystéj jego dzielnicy pochodzących. Na Rusi zwano to „zajeżdżaniem“ dawnych bojarów przez nowych. Takimi przybyszami z ziemi gnieźnieńskiéj i poznańskiéj byli urzędnicy, osadzeni przez Mieszka Starego, których z powodu zdzierstwa, kronikarz małopolski do „wściekłych psów“ porównywa. W Krakowskiém, gdzie zmiany panujących były najczęstsze, owo zajeżdżanie szczególniéj było panom dokuczliwe. Dla tego właśnie przed kilku laty Mikołaj wojewoda, zapraszając Leszka do Krakowa, stawiał księciu za warunek, aby sandomierzanina Goworka od boku swego oddalił, inaczéj mówiąc, nie chciał, aby ziemianie sandomierscy „zajechali“ panów krakowskich i objęli ich urzędy.

Leszek jednakże wolał do czasu wyrzec się panowania, aniżeli przyjąć warunek, który mu z rąk wytrącał najdzielniejszy środek utrzymania powagi w obec możnowładców. Wzgląd ten stosował się przedewszystkiém do względów świeckich; dostojeństwa kościelne mniéj już podatném były narzędziem: rozdawnictwo ich należało do księcia po części, ale wszystkie były dożywotniemi, a skutkiem tego, legalne odjęcie beneficium stawało się prawie niepodobném do wykonania, i chyba przez awans dawało się uskutecznić. Trudność w znalezieniu hamulca na opornych prałatów skłaniała tém bardziéj do rozwagi przy szafunku urzędów duchownych, a trafny dobór osób był walném zadaniem polityki wewnętrznéj: częstokroć na nim polegało bezpieczne posiadanie tronu. Jeden „świętobliwy“ Gryfita mógł przepowiednią spowodować wygnanie Mieszka; jeden też „pełen gorliwości bożéj“ Pełka z domu Lisów oparł się siedmdziesięciu panom, którzy przeciw Kazimierzowi Sprawiedliwemu spisek uknowali. Aliści położenie Leszka miało się stać niebawem trudniejszém: reforma, w któréj program wchodził wolny wybór biskupów przez kapituły, stukała już do wrót Krakowa. Młody książę musiał o tém pomyśléć i działać bez odwłoki, bo przyjazny dlań

i obyczajowe; nakazał je książe charakteru gwałtownego, a wywołały powszechne oburzenie.

biskup Pełka stał już nad grobem a Giedka Sasinowic był jeszcze proboszczem katedralnym.

Łatwem było do przewidzenia, że gdy chwila elekcyi nadejdzie, może nie każda „gienealogia“ pańska wytęży usiłowania dla poparcia swego krewniaka, zasiadającego w kapitule, ale na pewno wszyscy Gryfowie użyją wpływów na korzyść proboszcza Giedki, a ten lubo mniéj „świątobliwy“ od zmarłego przed 20 laty imiennika, mógłby okazać dar proroczy w równie groźnym, jak tamten, sposobie. Ani wątpić, że przeszkodzenie wyborowi proboszcza leżało w widokach Leszka: Gryfowie, bez tego już byli zbyt potężni, książę neutralizował ich przewagę, podnosząc dom Odrowążów, którego przedstawiciel kanclerz Iwon był najbliższym osoby księcia doradcą. Oprócz kanclerza, Gryfowie mieli na dworze i innych przeciwników. Jeden z nich przed pięciu laty w Sandomierzu, kiedy rozbiérano warunki stawione Leszkowi przez wojewodę Mikołaja, wystąpił z radą, udzieloną w postaci bajki o *gryfie*, który złamawszy sobie jedno skrzydło, zwraca się o pomoc do *lisa*, a zwiedziony chytrą jego radą, traci i drugie skrzydło i zostaje pożartym przez *lisy* i *gady*. Bajka ta, a raczéj przenośnia, dla nas nie zupełnie jasna, zrozumiałą jednak była dla księcia; zdaje się, że wprowadzone do niéj zwierzęta były aluzyą do nazwisk głównych rodzin magnackich: Gryfów (Giedka i Mikołaj), Mżrów albo Lisów (biskup Pełka) i O*drowążów* (Iwon); w złamaniu obudwóch skrzydeł gryfa mogłaby ukrywać się myśl taka: że wypada przyjąć pozornie warunki wojewody, a potém pozbyć się Giedki i Mikołaja, i tém samém skruszyć potęgę burzliwego rodu. Leszek odrzucił wprawdzie zawartą w przenośni radę, ale dla tego, że wstręt czuł do zdradliwego postępowania; niemniéj atoli i sam i jego zaufańcy nie byli Gryfom przychylni.

O uczuciach jakie na dworze książęcym żywiono dla domu tego, można wnioskować z tonu, jaki przebija się w księdze, którą napisał urzędowy historyograf książąt sandomierskich. Kiedy, na przykład, wymienia dwóch hersztów spisku przeciw Bolesławowi Kędzierzawemu, pierwszemu daje gołe tylko imię „Jaksa,“ o drugim szumniéj się wyraża: „ów arcysławny Świętosław, które kwitnie dzisiaj chwalebne potomstwo.“ Tymczasem, ów Jaksa Gryf był istotną znamienitością swéj epoki, zwano go „księciem,“ słynął jako uczestnik w krucyacie do Ziemi Świętéj i zostawił po sobie pamiątkę, budując klasztor Miechowski, przy którym osadził sprowadzonych z Jerozolimy stróżów grobu Chrystusowego; o „chwalebném zaś potomstwie Świętosława żadne głośniejsze wspomnienie w dziejach się nie dochowało. Tę niesprawiedliwość kronikarza chyba

tylko niechęcią względem Gryfitów objaśnić można. Dla Giedki kronika jeszcze wyraźniéj okazuje uprzedzenie. Do niego to w szczególności stosuje owo ironiczne, lubo zapożyczone z biblii, porównanie do „olbrzyma jęczącego pod wodą,“ to jest uznaje go za niedołężnego karła, niezdolnego się uporać z błahemi przeszkodami tam, gdzie jego poprzednicy daleko większe pokonywali trudności. Dla silniejszego kontrastu autor wysławia tych poprzedników przesadnie i dodaje, nie bez intencyi, uwagę, że „gdy nie naśladujemy takich wzorów, uczynki nasze są bez wartości“ (1).

W polityce jednak skuteczność satyry podrzędnego jest znaczenia: choćby najbardziéj zjadliwa, nie zabija przeciwnika, rozdraźnia zaś zawsze, a czasem zbliża niebezpieczeństwo, które oddalić miała. Leszkowi wszakże w tym czasie wszystko składało się pomyślnie. Jak niedawno śmierć usunęła mu z drogi dumnego wojewodę, tak znowu zawakowanie katedry płockiéj po biskupie Wicie dało sposobność pozbycia się z Krakowa drugiego Gryfity, zanim Pełka zamknął oczy na wieki.

Oddanie infuły płockiéj Giedce mogło uchodzić za mistrzowski manewr: zdawało się wyłączać go na przyszłość z liczby możliwych kandydatów do infuły krakowskiéj, a tymczasem oddalało

---

(1) W tym ustępie kroniki (MPh, II. 334) Wincenty wspiera się na kronice Galla (ibid. I, 459) i z niego wiadomość o biskupie Szymonie zaczerpnął. Wzmianka o biskupie Aleksandrze jest jego własnym dodatkiem; wsunął go tu wbrew chronologii a nawet nie dość gładko wplótł w wątek swojéj powieści, bo między oblężeniem Gniewomira w Wieleniu, a przymiotami Aleksandra trudno dopatrzéć związku. Ten ostatni zarzut upada wprawdzie, jeśli zamiast poczynających ustęp wyrazów „*Sic nimirum*,“ które Bielowski z rękopisów I i II przejął do tekstu, przyjmiemy wersyą wszystkich innych „*Hic nimirum*,“ gdyż uznać by wtedy można, iż Wincenty rozpoczyna rzecz zupełnie nową; niemniéj jednak rozmyślne uchybienie porządkowi chronologicznemu, tylko intencyą spotęgowania satyry da się wytłómaczyć. Z tego wypływałby dalszy wniosek. Jeśli kronikarz dla tego rozwodzi się nad dzielnością Szymona i Aleksandra, którą w obronie Mazowsza od pogan okazali, aby lepiéj wystawić na jaw niedołęstwo Giedki, za rządów którego Prusacy straszliwie pustoszyli tę prowincyą, o czém wspomina list papieski z dnia 14 Lutego 1217 (Theiner, I, str. 2), a roczniki pod r. 1217 i 1218 zapisują, to oczywiście kronika, a przynajmniéj rzeczony jéj ustęp wyszedł z pod pióra autora już w ostatnich latach jego życia, ale zaraz po wspomnionym najeździe (nam nostri *ecce* gigantes). Nie koniecznie jednak pisał to Wincenty, będąc już cystersem, jak mniema Zeissberg. Dojrzały sąd i pewną gorycz dają lata bogate w doświadczenie, nawet bez wdziania habitu zakonnego; rozczarowanie gościć może zarówno w sercu starca, jak w sercu mnicha; ale temu kto wyrzekł się świata, dla skupienia ducha w ciszy klasztornéj, nie przystoi ani zbytnia gorycz, która miejscami w kronice czuć się daje, ani żarty i koncepta, ani wycieczki satyryczne, a zwłaszcza ściganie ironicznemi przymówkami innego starca, równie jak kronikarz bliskiego grobu.

go natychmiast z ogniska intryg politycznych, osłabiało przewagę Gryfów w Krakowskiém, nie dając im pomimo tego możności skarżenia się na krzywdę. Godność biskupia gdziekolwiek była zawsze świetném stanowiskiem, zaszczytném dla proboszcza wyniesieniem; w Płocku zaś uposażona była setkami obszernych włości i posiadała specyalny od papieża przywiléj bronienia onych za pomocą klątwy. Zdarzało się, że o tę godność ubiegali się nawet książęta. Sam Giedka tak to rozumiał. Nie mógł przecięż taić przed sobą, że przez zgon wojewody położenie jego pogorszyło się bardzo; widział, że wpływowa rola Gryfów dostała się Odrowążom. Katedra płocka była korzyścią pewniejszą w porównaniu do wątpliwych nadziei w Krakowie, których się w głębi ducha nie wyrzekał. Z tego, co wyżéj nadmieniono o ustąpieniu patronatu w Kijach i deklaracyi co do kościoła Wojsławy, wypadałoby wnosić, iż przy obsadzaniu katedry w Płocku, tak zręcznie pokierowano sprawą, że na Giedkę spadła rola ubiegającego się o awans, któremu nakładano warunki: pierwszy z nich zrywał jeszcze jeden z węzłów, łączących go z krainą podwładną Leszkowi: drugi krępował Giedkę w nowém siedlisku na Mazowszu; obadwa stawiały go w pewnéj sprzeczności z interesami krewnych. Giedko poddał się wszystkiemu i opuścił Kraków (1).

Bajka sandomierska stała się rzeczywistością, przynajmniéj w połowie: gryfowi wywichnięto oba skrzydła. Nie został wszakże pożartym, ani utracił ochoty do lotu. Okazało się to niebawem, skoro Pełka życie zakończył. Giedko występuje teraz jako kandydat na miejsce zmarłego.

Dopóki obsadzanie biskupstw zależało wyłącznie od woli księcia, dla ambitnego Gryfity znikał cień nawet nadziei, daremne byłyby wszelkie starania. Nie dlatego przecię pożądaném było Leszkowi wydalenie Giedki do Płocka, aby po roku zaledwie ujrzéć w Krakowie dawnego proboszcza biskupem. Oddanie wyboru biskupich wolnym głosom kapituły zmieniało całkiem widoki syna Sosinowego. Otóż dochodzi nas głucha wieść, że ten przywiléj wyje-

---

(1) Nakielski pisze, że *elekcya* Giedki nastąpiła 1 Sierpnia 1206 r. (Miechovia, str. 18). Data, jak się zdaje, wiarogodna, lubo z nieznanego nam zaczerpnięta źródła, opierać się może na jakiéj zapisce klasztoru Miechowskiego, gdzie szczegóły, dotyczące Gryfitów, jako rodziny fundatora, nie były obojętne. Wiadomość potrzebuje sprostowania o tyle, że Giedka nie przez elekcyą lecz przez nominacyą książęcą otrzymał biskupstwo płockie, ponieważ list papieski, zalecający książętom polskim dopuszczenie wolnych elekcyj kościelnych, wydany został dopiéro 4 Stycznia 1207, kiedy Giedka był już biskupem (Migne, t. c. II. 1064).

dnał krakowskiéj kapitule archidyakon Jan; jest to wiadomość dosyć późna, ale nie budząca żadnego podejrzenia. Ów Jan nie mógł być archidyakonem katedralnym, bo ten urząd zajmował obecnie, jak wiemy, Jędrzéj; ani téż stosować się to pozwala do poprzednika jego Janusza, który umarł przed zawakowaniem katedry (1), a kapituła dopiéro przy téj sposobności uzyskała przywiléj elekcyjny, o udzielenie którego papież upominał książąt zaledwie na ośm miesięcy przed zgonem Pełki. Pozostaje nam jeszcze Jan archidyakon nie katedralny wprawdzie lecz lubelski, a przeto w kapitule krakowskiéj zasiadający. Temu właśnie przypisuje jeden z dawnych pisarzów wystaranie się o prawo elekcyj, a gdy zkądinąd dowiadujemy się, że Jan należał do rodu Gryfów, że był dobrodziejem familijnéj fundacyi w Miechowie, rzecz cała zyskuje na wiarogodności i całkiem jasno się przedstawia; jeden Gryfita działał w widokach drugiego, Jan torował drogę do biskupstwa Giedce (2).

Ani podobna wątpić, że cała parentela krewniaków gorliwie się zakrzątała: teraz zdarzała się jedyna sposobność odzyskania straconéj przewagi, poczucie solidarności, przenikające każdą „genealogię,“ nie dozwalało opuścić Giedki w potrzebie. Jeżeli nawet udało się dworowi, za pośrednictwem wymuszonych na biskupie dwóch aktów, poróżnić go z rodziną, potrafił Giedka wynagrodzić ją i załagodzić szafunkiem beneficyów płockich. Nie pominięto zapewne, dla zjednania Giedce jak najliczniejszych głosów w kapitule, żadnego z dozwolonych i niedozwolonych środków, praktykowanych w takiéj okoliczności, jak nas statuty kościelne pouczają; na jednych działano „grożbami i postrachem,“ drugich wabiono obietnicami, innych starano się usidlić faworem lub wprost „symonią,“ jak przekupstwo w tych sprawach nazywano; tego zaślepiała „nienawiść“ do przeciwnika, ów uwodził się przywiązaniem do „swéj krwi i ciała,“ trzeci lubo „o bożą chodziło tu sprawę, nie patrzał pożytku ogólnego lecz własnego zysku, uganiając się za pieniędzmi, które zwykły umysł ludzki zamącać.“ W obozie starowierców, którym nowatorowie zarzucali głównie zatwardziałość w praktykowaniu symonii, najdogodniejsze przedstawiało się pole działania. Tu „kolumny wspierające kościół,“ jak się o prałatach

(1) Zgon Janusza zapisuje kalendarz krakowski pod dniem 22 Maja.

(2) Ob. Długosz Hist. pod r. 1207; Nakielski, 117 i porówn. 83; Paprocki Herby, staréj edycyi str. 73. Ostatni, zowiąc Jana „ardziekanem“ *Krakowskim*, równie grubo się myli, jak gdy przypisuje jemu posadzenie Wincentego na katedrze.

i kanonikach wyrażano, łatwiéj się ugiąć dawały: ojcowie rodzin, podobni kanonikowi Trojanowi trwożyli się o los swój i potomstwa, w przypadku gdyby biskupem został gorący zwolennik reformy. Gdy żaden jawny starowierca nie miał widoków zostać wybranym, czemużby nie dać głosów Giedce, którego jako niedawnego kolegę dobrze znano, o którym wiedziano, że powodzenie reformy jest dlań obojętną rzeczą. Z drugiéj strony wolno było spodziéwać się, że niedawno wyświęcony biskup płocki nie napotka w Rzymie przeszkód szczególnych. W tém szukać należy przyczyn, dla których Giedka zdołał pozyskać sobie poważny zastęp stronników, mieć po sobie bodaj większość wyborców.

Dwór książęcy nie zasypiał również swéj sprawy.

Starszy syn Kazimierza od lat młodzieńczych aż do tragicznego zgonu pod Gąsawą wykazywał energią niezłomną, wytrwale trzymał się raz wytkniętego toru i o powagę swoję niezwykle był troskliwy.

Dał tego dowód, będąc księciem tylko na Sandomierzu, kiedy wyniośle odrzucił warunki, podane mu przez Mikołaja wojewodę. Zostawszy władcą Krakowa, uważał siebie za najwyższego z pomiędzy książąt, za zwierzchnika wszystkich Piastów. W téj myśli, lubo nie panował ani w Poznaniu, ani w Gnieźnie, tytułował się wszelako księciem „Polski,“ rozumiejąc przez to całą rzeszę księstw lechickich. Na zjazdach zabiérał pierwsze miejsce i, co większa, aby wykazać, że przewodnictwo z prawa należy wyłącznie do potomków Kazimierza Sprawiedliwego, bratu swemu Konradowi, lubo młodzieniaszkowi, dawał pierwszeństwo nietylko przed Władysławem kaliskim i Kazimierzem opolskim, ale nawet przed dojrzałym laty, znanym z rozumu, ambitnym i potężnym Henrykiem Brodatym z Wrocławia. Przewagę swoję na Rusi, za przykładem ojca, to zbrojnie, to dyplomatycznie podtrzymywał; Prusaków starał się uskromić orężem, dzielnicę księcia Laskonogiego układami sobie zapewnić. Był on ostatnim przedstawicielem zasady senioratu, która z jego śmiercią upadła, a śmierć poniósł właśnie, broniąc swego zwierzchnictwa nad Pomorzem. W sprawach wewnętrznych musiał być równie czujnym i energicznym, kiedy przez czas dwudziestoletnich z górą rządów, jedną miał tylko zamieszkę do zwyciężenia, a i tę stłumił w zarodku. Zabrakłoż by mu przezorności w chwili, gdy Gryfowie próbowali podnieść głowę? Do sprzeciwienia się temu skłaniały ważniejsze nad to względy.

Leszek Biały oparł całą politykę na ścisłym związku z Rzymem, zkąd hasło reformy kościelnéj wychodziło; naturalnymi przeto sprzymierzeńcami jego byli nowatorowie. Zrobiwszy im już u-

stępstwo co do zasady elekcyj, książę, chcąc nie chcąc, musiał i nadal im dopomagać i pragnąć, aby przyszły biskup krakowski należał do ich stronnictwa, byle jeno osobiście był mu przychylnym.

Giedka żadnemu z tych warunków nie odpowiadał. W kwestyi reformy zajmował stanowisko oględne, dozwalające lawirować między przeciwnemi prądami, nie zrywać stosunków przyjaznych z żadnym obozem, za pośrednictwem starowierców podsycać „zarzewie ciągłych niepokojów,“ przy pomocy zaś nowatorów, zasłaniać się powagą Rzymu. Książe nie mógłby nawet bronić się przeciw intrygom biskupa i jego krewnych, aby nie wystawić na szwank sojuszu z papieżem. Z tego względu, w ostateczności korzystniéj już było dopuścić do infuły jakiego zaciętego przeciwnika reformy, gdyż w razie zatargu z takim, można było liczyć, że papież weźmie stronę księcia. Szczęściem, nie doszło do téj ostateczności. Dla przeszkodzenia wyborowi Giedki dość było wyszukać w gronie wiernych przyjaciół męża, udarowanego przymioty, jednającemi powszechne uznanie i zalecić go wyborcom. Taki kandydat znalazł się w osobie znanego nam mistrza Wincentego, który nauką i pobożnością imponował nowatorom, a łagodnym charakterem i umiarkowaniem uspakajał obawy starowierców.

Na obustronnych przygotowaniach szybko upłynął czas między zgonem biskupa Pełki a dniem wyznaczonym na elekcyą jego następcy. Dzień ów nie jest nam znany; wiemy tylko, że kanonicy, znajdujący się na miejscu, winni byli po pogrzebaniu zwłok nieboszczyka odbyć naradę i wybrać na elekcyą taki termin, aby można było przesłać i doręczyć wezwanie nieobecnym członkom kapituły i aby ci zdążyli stawić się na czas wskazany. Późniejszy statut zalecał wyznaczanie niezbyt odległego terminu, „albowiem w czasie elekcyi zwłoka grozi niebezpieczeństwem.“ Niebezpieczeństwo, w istocie, nie było złudzeniem: bo jeśli życzliwi kościołowi książęta mniemali, że prawnie zabiérać mogą klejnoty i rumaki, pozostałe po zmarłym biskupie, inni cały spadek szarpali jako „puściznę“ na wyścigi. W każdym więc razie, dłużéj nad trzy miesiące katedra nie powinna była zostawać osieroconą, „aby trzody Pańskiéj nie napadł wilk drapieżny, a owdowiały kościół nie cierpiał szkody cięższéj w dodatkach swoich.“ Jeżeli przeto trzymano się w Krakowie tego prawidła, kolegium wyborcze zjechało się najpóźniéj w pierwszych dniach grudnia 1207 roku (1).

---

(1) Z pomiędzy roczników, tylko Kapitulny i rocznika krótkiego Dopełnienie mówią, że Wincenty *wybrany* został w r. 1208, ale ponieważ łączą z tém potwierdzenie pa-

„Na głos dzwonów, w które według zwyczaju uderzono,“ członkowie kapituły zgromadzili się zapewne w kościele katedralnym, albo w kapitularzu, jako miejscu zwykłych posiedzeń, i przedewszystkiém musieli odbyć wstępną naradę, celem porozumienia co do porządku mającéj dokonać się czynności.

Trojaki był sposób obsadzenia wakującego beneficyum: albo przez *prowizyą*, to jest, gdy sam papież *proprio motu*, bez niczyjego początkowania mianował biskupa, i ten sposób nie był określony ścisłemi formami; albo przez *elekcyą* czyli wolny wybór, albo przez *uroczystą postulacyą*, to jest wniesioną przez kolegium wyborcze prośbę do papieża, aby nadał biskupstwo osobie wskazanéj. Dwa ostatnie sposoby poddane były regułom, zachowywanym na soborach powszechnych kościoła. Te znowu były także trojakie: głosowanie (scrutinium), wybory pośrednie (compromissum) i przez okrzyk jednomyślny (inspiratio).

W „drodze“ głosowania wybierano najprzód trzech skrutatorów, koniecznie z pośród ciała wyborczego, którzy przyjmowali i zapisywali głosy, roztrząsali je, liczyli i ogłaszali rezultat. Skrutatorowie odchodzili na osobność i tam przywoływali członków zebranych po jednemu, według starszeństwa urzędu lub kolei zwyczajem ustalonéj, i po stósowném upomnieniu pytali: kogo uznaje za najstosowniejszego. Zebrawszy w ten sposób głosy wszystkich, wracali bezzwłocznie do kapituły i za jéj zezwoleniem odczytywali takowe, „aby to, co dopełniono tajemnie, stało się wszystkim wiadomém.“ Jeśli nie było wyboru jednomyślnego, następowało potém obrachowanie (collatio) głosów, „gorliwości i zasług;“ skrutatorowie powstawszy, liczyli głosy i wygłaszali kto ile kresek otrzymał; oświadczali po któréj stronie wyborcy okazali więcéj gorliwości: gdy naprzykład jedna strona wybrała „męża dobrego i użytecznego,“ drugiéj zaś przywiązanie „do krwi“ kazało wybrać swojaka; wreszcie roztrząsali o ile jeden z kandydatów góruje nad drugim zasługami, jako „uczeńszy, opatrzniejszy, uczciwszy, świętobliwszy,

---

pieskie i wyświęcenie, przeto data raczéj do tych ostatnich odnosi się formalności (MPh. II. 801—802; Sommersberg, Script. rer. Siles, II. 82). Z roczników Traski, Krakowskiego i Sędziwoja jeszcze trudniéj wyprowadzać jakiekolwiek wnioski: drugi z nich nawet śmierć biskupa Pełki pod rokiem 1208 zamieszcza, a o elekcyi wcale nie wiedzą i pod tym rokiem wzmiankują dwa pierwsze o wstąpieniu na katedrę (MPh. II. 836), a trzeci o ordynacyi (II. 876), co tylko do daty potwierdzenia i wyświęcenia stosować się może. Ówczesny papież liczył lata swych rządów nie od elekcyi, lecz od dnia konsekracyi, jak to L. Delisle wykazał (Biblioth. de l'ecole des Chartes, 1858, IV, 60). Bezwątpienia, biskupi naśladowali go w tym względzie.

lepszy, zdolniejszy do zachowania praw kościoła, aniżeli drugi.“ W razie jednomyślnego głosowania, zamiast tych trzech rachunków, badano tylko czy kandydat urodził się z małżeństwa prawego, czy ma wiadomości dostateczne, odpowiedni wiek i czy otrzymał święcenia, a skoro posiadał wszystkie te warunki, roztrząsanie było skończone. Dwaj skrutatorowie przelewali wtedy swą władzę na trzeciego „ponieważ jeden powinien wybierać,“ ten zaś zaraz, imieniem wszystkich lub części większéj albo „zdrowszéj,“ wybiérał kandydata i ogłaszał go kapitule. Potém uderzano w dzwony, zbiérał się kler i lud, któremu inny elektor publikował imię wybrańca; śpiewano uroczyście hymn „Ciebie Boże chwalemy,“ nowego biskupa, jeśli był obecny, „niesiono“ przed ołtarz i intronizowano; wreszcie spisywano dyplom elekcyi, dla przesłania go papieżowi z prośbą, aby potwierdził wybór i udzielił elektowi sakrę.

Kiedy się okazywało „że mnóstwu trudno zgodzić się na jedno,“ zwracano się na „drogę kompromisu.“ Członkowie kapituły uczestniczyli wtedy w elekcyi pośrednio tylko, wybiérali bowiem jednego, dwóch, trzech, pięciu lub siedmiu mężów, przelewając na nich zupełną moc wybrania biskupa, z uwagi, „że duch zdrowszéj rady częstokroć gości w mniéj liczném zebraniu.“ Kompromisarze usuwali się na osobność, gdzie naradziwszy się nad wyborem, stanowili większością głosów i ogłaszali kapitule elekta. Kompromisarze mogli zostać wybrani nawet z osób nie będących wyborcami, ale na użycie drogi kompromisu musiała zapaść jednomyślna uchwała zgromadzenia.

Nakoniec można było dokonać wyboru przez okrzyknięcie, jeżeli kanonicy, zebrawszy się po raz pierwszy na kapitułę, bez żadnéj uprzedniéj narady, „jakoby za boskiem objawieniem i natchnieniem,“ wszyscy bez wyjątku, jednomyślnie, jednocześnie, jednogłośnie zgodzą się i wybiorą jednego. Z natury rzeczy, podobna elekcya rzadkim i wyjątkowym tylko mogła być wypadkiem.

W Krakowie takiéj jednomyślności nie było, nie mogło być przeto mowy o elekcyi przez okrzyk; drogę kompromisu tamowało rozdwojenie się kolegium wyborczego, rozdwojenie, w którém stanęły przeciw sobie nie tak dwie koterye, którymby o przeprowadzenie swoich kandydatów chodziło, jak raczéj stronnictwa, różniące się zasadami, celami i hasłem, a rozdzielone wzajemną nieufnością. Pozostawała zatém droga głosowania. Aliści dziwném zdarzeniem, i na tę drogę nie było ogólnego przyzwolenia; rzecby można, iż zgromadzenie, korzystające po raz pierwszy z możności wyznacze-

nia sobie pasterza, chciało wypróbować sił swoich dwoma jednocześnie sposobami, przez elekcyą i przez postulacyą.

Z tego, jaką koleją doszło do tak osobliwego obrotu, trudno szczegółowo zdać sobie sprawę: intrygi elekcyjne pospolicie prowadzą się w tajemnicy, a historyi rzadko udaje się uchylić zasłonę i pod urzędowemi pozorami dobadać prawdy. Nasze wiadomości ograniczają się do jedynego tylko listu papieskiego, w którym rzecz cała zbyta jest kilku wierszami. Z niego tedy okazuje się, że na posiedzeniu elekcyjném znaczna liczba wyborców uchwaliła upraszać przez postulacyą papieża o mianowanie Giedki; gdy potém część druga wybrała jednomyślnie mistrza Wincentego, wielu z tych, którzy oświadczyli się już za pierwszym, dało swe przyzwolenie na wybór drugiego, na przypadek, gdyby postulacya odrzuconą została przez papieża. Niepewność w tym względzie zrodziła się z zarzutu, uczynionego bezwątpienia przez przeciwników Giedki, zarzutu, iż nie wolno brać na pasterza biskupa innéj dyecezyi. Jakoż w duchu panujących w kościele wyobrażeń, biskupa łączył z dyecezyą ścisły i nierozerwalny węzeł; w mistycznym języku kościoła wyrażano to twierdzeniem, że między pasterzem a jego katedrą zachodzi „niby związek małżeństwa duchowego,“ związek, który, jak w zwykłem małżeństwie ludzkiém, powstaje „z wzajemnego zezwolenia,“ utrzymuje się zobopólną wiarą i miłością, a zerwanym tylko przez śmierć być może. Wtedy „owdowiały kościół“ szuka sobie nowego oblubieńca, a najlepiéj czyni, gdy go wybiera w własnéj dyecezyi. W żadnym zaś razie, nie godzi się wybierać Giedki, który już kościołowi płockiemu ślubował, nie godzi się tém bardziéj Giedce zrywać poprzysiężone raz węzły i dla widoków ziemskich, „w chęci zysku“ wstępować w związki z inną katedrą. Stronnicy Sasinowica mogli wprawdzie na to odeprzeć, iż stolica apostolska, jak w sprawach małżeńskich stanowi najwyższą instancyą i niejednokrotnie wadliwe małżeństwa dyspensą swoją uprawnia, tak i na przeniesienie biskupa z jednéj katedry na drugą pozwolić może. Ze strony prałatów starowierczych argument taki byłby niezłym fortelem, schlebiając kuryi rzymskiéj, dążącéj do rozszerzenia swéj władzy, rokować mógł powodzenie, zwłaszcza, że liczne z krajowych dziejów przykłady popierały ich żądanie. Z roczników kościelnych wiedziano, że Janik z katedry wrocławskiéj postąpił na gnieźnieńską, że niedawno Cypryjan z opactwa św. Wincentego przeniósł się na biskupstwo Lubuskie, które znowu opuścił dla wrocławskiego (1);

(1) Zdaje się, że i Arnold, który w końcu panowania Mieszka Starego, z opata Mogileńskiego został biskupem Lubuskiem (LPh. I. str. XXVII) i którego w téj godności

że w samym Krakowie został niegdyś biskupem Robert, który poprzednio był pasterzem wrocławskim. Czémże jednak były przykłady czerpane z epoki, kiedy wszechwładnie panowała „inwestytura laicka,“ ta „prawdziwa herezya,“ wedle spółczesnego wyrażenia? Nie mogło to przekonać nowatorów, którzy nie zważając na uchwaloną przez adherentów Giedki postulacyą, przystąpili do elekcyi i wybrali mistrza Wincentego. Większości to cios zadało. Jak się to pospolicie w podobnych razach dziać zwykło, trwożliwsi i obojętniejsi, wątpiąc o zwycięstwie, zachwiali się w swém postanowieniu, i chcąc na wszelki przypadek, zabezpieczyć sobie wolny odwrót, oświadczyli, że gdyby biskup płocki nie otrzymał w Rzymie potwierdzenia, zgadzają się na wybór Wincentego.

Do Rzymu przeto, gdzie miało być wyrzeczone stanowcze słowo, wyprawiły oba stronnictwa listy, każde z osobna, zalecając swego kandydata. Więcéj zapewne niż na listy, liczono na wysłańców, którzy w stolicy papieskiéj „popierali sprawę.“ Ze strony starowierców przedstawiano, iż „po rozsądku i pobożności Giedki oczekiwać było można mnogich dla kościoła krakowskiego pożytków,“ że jego życzyła sobie większość kanoników; za Wincentym przemawiało znowu to, iż był „mężem wieloraką chwałą uświetnionym,“ na wybór którego zgadzało się nawet wielu kanoników, popierających Giedkę.

Osnowa listów i ustne wyjaśnienia pełnomocników pozwoliły papieżowi „wyrozumiéć“ przebieg elekcyi. Wychodząc z zasady, że „zgodniejszém jest z prawem ogólném, aby na pasterza kościoła wyznaczony został raczéj mąż zdolny z własnéj dyecezyi, aniżeli biskup związany z inną katedrą,“ Innocenty po naradzie z kardynałami, postulacyi za Giedką nie przyjął, a wybór Wincentego potwierdził. Dnia 28 Marca 1208 r. wyszedł z kancelaryi papieskiéj list, zawiadamiający o tém kapitułę. Ile na takie rozwiązanie wpłynęły starania Leszka, orędownictwo arcybiskupa Henryka, domyślać się tylko można. Gdyby maksyma: *is fecit, cui prodest*, zawsze nieomylną była, pytanie rozwiązywałoby się twierdząco.

Epilog każdéj elekcyi stanowiło uroczyste wyświęcenie elekta przez arcybiskupa. Gdzie i kiedy obrzędu tego dopełniono nad Wincentym, żaden z roczników nie zapisał. Wiemy jeno, że dwa mie-

---

widzimy w 1191 r. (kod. Małopol. 5—6), postąpił na biskupstwo poznańskie po Mrokocie zmarłym 1196 (MPh. II. 800), bo właśnie w tym czasie, t. j. między latami 1193 a 1199, miejsce Arnolda w Lubuszu zajął Cypryan (Grünhagen, Regestra Sil. Nr. 58 i 66).

siące upłynęły od daty potwierdzenia papieskiego, a jeszcze nie odbyła się konsekracya (1). Czas potrzebny na powrotną podróż z Rzymu wysłańców i niezbędne do uroczystości przygotowania dostatecznie zwłokę usprawiedliwiają.

Giedka, zrażony niepowodzeniem, pozostał do śmierci na biskupstwie płockiém, nie próbując szczęścia, gdy katedra krakowska jeszcze raz zawakowała; życie zakończył w tym samym roku co Wincenty.

Na tém się kończy historya najdawniejszéj w Polsce elekcyi biskupiéj. Biorąc z niéj miarę, a sądząc z pozoru, trudnoby wróżyć długie życie zasadzie wolnych wyborów. Zdawałoby się, że większość prałatów i kanoników nie umiała cenić ani używać uzyskanego przywileju, że niedość była dojrzałą do korzystania z prerogatywy samorządu. Pierwsza na tém polu próba, z punktu widzenia nowatorskiego, mogła uchodzić za chybioną, skoro pomyślny rezultat nie sobie, lecz rozsądkowi papieża zawdzięczała. Ale właśnie, ponieważ była próbą *pierwszą*, musi być pobłażliwiéj sądzoną, a w żadnym razie nie może służyć za wierny probierz zasady elekcyjnéj, ani za wróżbę przyszłości. Rozumnego używania praw uczą się ludzie, korporacye i całe społeczeństwa jedynie przez praktykę, błądząc, cierpiąc i nabierając doświadczenia. Elekcya Wincentego rozpoczęła dwuwiekowy okres, w ciągu którego kapituły używały stale prawa wyboru biskupów. Poczucie samodzielności wyrabiało się w prałatach krakowskich stopniowo. Nie tłumiąc w sobie ducha korporacyjnego, wyzwalali się jednak z pod przewagi władzy biskupiéj, podobnie jak szlachta w sferze prawa politycznego, prałaci w kościele wyjednywali sobie pewne cząstkowe ulgi i przywileje, a w połowie XIV stulecia przez statut Bodzanty 1356 r. dobili się pewnego rodzaju ustawy konstytucyjnéj, urządzającéj stosunek biskupa do kapituły i jak wszystkie konstytucye, skreślonéj z wielką bacznością na sprawy finansowe. W tym względzie, podobnie jak w wielu innych, średniowieczni „żacy“ byli prawdziwymi „laików“ mistrzami.

St. Ł.

---

(1) Wincenty w akcie z dnia 28 Maja 1212 r. na wiecu Miecholińskim liczy sobie czwarty rok pontyfikatu; gdyby konsekracya dopełniona była przed 28 Maja 1208 r. to w dacie rzeczonego aktu byłby już rok pontyfikatu piąty.

W KWESTYI TARYFY PRZEWOZOWÉJ

NA KOLEJACH ŻELAZNYCH.

W studyach nad kolejami żelaznemi w królestwie polskiém drukowanych w Bibliotece Warszawskiéj, P. Ant. Wrotnowski wyjaśnia obecnie warunki „Równowagi między interesem towarzystw prywatnych a interesem ogółu“ tj. roztrząsa zasady układania taryf przewozowych.

Szanowny autor zaznaczając wyraźnie, że pozostawione Zarządom K. Ż. prawo zmieniania taryfy w granicach zastrzeżonego przez rząd *maximum* bywa dla publiczności, czyli dla ogółu interesów krajowych, nie tylko nie miłém ale i szkodliwém, twierdzi jednak obok tego, że podwyższenie opłaty od przewozu węgla, które przed pół rokiem wywołało w prasie wiele narzekań na zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj, jest zupełnie usprawiedliwioném, z powodu dzisiejszych trudnych okoliczności finansowych, wywołanych zniżeniem wartości waluty krajowéj (Bib. War. Czerwiec str. 412. 413).

Chcąc bliżéj wyjaśnić tę kwestyą udaliśmy się do dyrekcyi Dr. Żel. W. W. z prośbą o dokładniejsze wytłómaczenie nam powodów podwyższenia opłaty za przewóz węgla, wskutek téj prośby naszéj, uprzejmie zakomunikowany nam został dokument, a mianowicie podanie zrobione do rządu w Grudniu 1877 roku, przedstawiające w cyfrach dokładnych wpływ upadku wartości rubla kredytowego na interesa towarzystwa, i proszące o podwyższenie na 25% oznaczonego aktem nadawczym maximum taryfy przewozowéj, a to w tym celu, ażeby zarząd mógł w szerszych granicach swobodniéj się roz-

porządzać oznaczeniem taryfy, i doprowadzać przez to interes towarzystwa, do lepszéj harmonii z interesem ogółu.

Drukując tutaj ten dokument za zezwoleniem Dyrekcyi Dr. Ż. W. W., mamy nadzieję, że każdy z czytelników, chcący sobie tę kwestyą wyjaśnić, znajdzie w nim dostateczny do tego materyał, i jeżeli znajdą się jakie przeciwko argumentacyi zarzuty, opierać się one będą musiały na faktach ekonomicznych, a nie na tém jedynie, że dla ogółu wygodniéj jest płacić za przewóz węgla taniéj.

Dla objaśnienia strat ponoszonych przez Towarzystwa dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj, z powodu znacznego obniżenia się wartości wymiennéj rubli kredytowych, w których rzeczone drogi pobierają dochód z przewozu osób i towarów, i dla wykazania o ile rzeczone straty wpływają na położenie finansowe pomienionych dróg, najwłaściwszem, zdaje się, będzie zestawienie i porównanie cen z lat 1876, 1877 i 1878 za różne przedmioty, zakupywane na potrzeby dróg żelaznych.

Do końca r. 1876 stosunek wartości rubla kredytowego do waluty metalicznéj zostawał mniéj więcéj w téj saméj wysokości, w jakiéj utrzymywał się poprzednio przez lat kilka, i z powodu téj stałości, może być wzięty za miarę porównawczą względem r. 1877 i 1878.

Porównywając zatém ceny płacone w r. 1876, bądź wprost przy zakupie waluty zagranicznéj na zapłacenie procentów od obligacyj w monecie złotéj, bądź za rozmaite przedmioty, wchodzące w zakres potrzeb dróg żelaznych, a zakupywane za granicą lub w kraju, z cenami płaconemi za téż same przedmioty w latach 1877 i 1878, o ile dotychczasowe dane dostarczają do tego materyałów, okażą się w rezultacie straty z różnicy cen powstające.

Biorąc za podstawę ilości potrzeb, tak jak one oznaczone zostały w Etatach eksploatacyjnych za r. 1878, rachunek porównawczy okazuje się jak następuje:

I. Dla drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj.

1. Ilość szyn stalowych zakontraktowanych na r. 1878 wynosi pudów 72.900 po cenie Marek 183 za tonnę, czyli M. 3.06 za pud, co wyobraża Marek 223.074.

W r. 1876 i pierwszéj połowie 1877 przy kursie 125% Marka kosztowała kop. 37½, w r. 1878 cała suma potrzebna na szyny za-

kupioną została po kursie przeciętnym 166²/₃%, co wynosi za markę kop. 5o a na sumie M. 223.o74 przedstawia wydatek na rok 1878 wyższy o Rs. 27.885

Cło od szyn w r. 1876, nie było płacone w złocie; w r. 1877 w Maju, w skutku postanowienia ażeby cło było płacone w złocie, płacono je przy kursie 152%, w r. 1878—kop. 45, wyobrażające cło od puda, płacone w złocie podług obecnego kursu po 162%, na 72.900 pudach przedstawia w porównaniu z kursem 125%, wydatek większy o Rs. 12.137

2. Podkłady dębowe są wyrabiane w miejscowych lasach, ponieważ jednak stanowią artykuł eksportu, cena w kraju reguluje się do cen płaconych przez sąsiednie drogi pruskie.

W r. 1876 podkład dębowy kosztował przeciętnie kop. 121, w r. 1877 kop. 124, na r. 1878 zakontraktowano je po kop. 15o, co w porównaniu z rokiem poprzednim przedstawia na r. 1878 za sztuk 54.5oo więcéj Rs. 14.17o

3. Podobnież podkłady sosnowe kosztowały w 1876 kop. 49, w 1877 kop. 58, na rok 1878 zakupiono sztuk 3.ooo po kop. 74, co czyni więcéj Rs. 48o

4. Oléj mineralny do smarowania wagonów, sprowadzany z zagranicy, głównie pochodzenia amerykańskiego, w r. 1876 kosztował kop. 11½ za funt, w 1877 kop. 1o za funt w walucie papierowéj, na rok 1878 zakontraktowany funt po kop. 9³/₈ *w złocie*, co przy kursie dzisiejszym 162% wynosi kop. 15. 55, a na ilości potrzebnéj na r. b. funtów 224.ooo różnica kop. 5.55 wynosi więcéj Rs. 12.432

5. Oléj rzepakowy wyrabiany na miejscu, lecz ze względu, że rzepak jest artykułem wywozu zagranicę, cena jego odpowiednio się podniosła. W r. 1876 funt kosztował kop. 16½, w 1877 kop. 16½, na r. 1878 zakontraktowano funtów 3oo.ooo po kop. 23, co wynosi wydatek większy o Rs. 19.5oo

6. Metale różne na potrzeby warsztatowe przy naprawianiu wagonów i lokomotyw, oraz na inne potrzeby drogi, części maszyn i narzędzia, przedstawiają według kontraktów zawartych na r. 1878 sumę ogólną w rublach 1o6.859 i w markach 182.831, porównywając ceny tegoroczne z cenami roku poprzedniego okazuje się, że na

do przeniesienia Rs. 86.6o4

z przeniesienia Rs. 86.604

ilości zakontraktowanéj na r. 1878 wydatek większy z powodu różnicy cen wynosi Rs. 24.400

Cło od tych przedmiotów wynosi w ogólnéj sumie Rs. 14.283, co przy kursie $162\frac{1}{2}\%$ w stosunku do kursu 125%, zwiększa wydatek na rok 1878 o Rs. 4.227

7. Węgiel kamienny zakontraktowany na r. 1878 po kop. $39\frac{1}{2}$ czyli o $1\frac{1}{2}$ kop. drożéj na korcu, co przy ilości korcy 640.000 wynosi Rs. 9.600

8. Najważniejszą pozycyą wydatkową stanowią procenta od Obligacyj Towarzystwa emittowanych w walucie złotéj, na zaspokojenie których potrzeba rocznie franków 329.780 i marek 2.453.697.

W r. 1876 kosztował frank przy kursie 124% k. 31, marka przy kursie 125% kop. 37,50, w r. 1877 przy kursie 131% frank kosztował kop. 32,75, marka przy kursie $135\frac{1}{2}\%$ kosztowała kop. 40,51, w r. 1878, licząc marki po kursie $170\frac{7}{10}\%$, po jakim zakupione zostały sumy, potrzebne na zapłacenie kuponu styczniowego, czyli po kop. 51.22 za markę, i przy kursie $164\frac{9}{11}\%$ frank po kop. 41,24, wypada na rok 1878 w porównaniu do kursu 125% wydatek większy o Rs. 370.284

Razem Rs. 495.115

II. Dla drogi żelaznéj Warszawsko-Bydgoskiéj.

Droga żelazna Warszawsko Bydgoska, mająca całéj długości wiorst 137.8, o jednéj tylko linii szyn, ograniczony ruch i znacznie mniejszy tabor, bo zaledwie $\frac{1}{5}$ część taboru drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj wynoszący, znacznie téż mniejsze ma wydatki, a ztąd straty jéj na przedmiotach wyszczególnionych w powyższych siedmiu pozycyach, ograniczają się do sumy Rs. 40.000.

Ponieważ zaś droga żelazna Warszawsko-Bydgoska korzysta z gwarancyi Rządowéj, a procenta zagwarantowane są w walucie kredytowéj, zatém wydatek wymieniony wyżéj pod poz. 8, na kupno waluty zagranicznéj na zapłacenie procentów od obligacyj drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, dla drogi żelaznéj Warszawsko-Bydgoskiéj nie istnieje.

Do powyższego porównania wprowadzono tylko takie przedmioty, na których zniżenie wartości waluty krajowéj, jako na

przedmiotach przywozu lub wywozu zagranicznego, bezpośrednio się odbija w cenie i łatwo obliczyć się daje.

Wiadomo jednak, że zmniejszenie się wartości środka wymiany, zwolna przenika do wszystkich stosunków, i objawia się w stopniowém podwyższeniu cen wszelkiego rodzaju produktów, wyrobów, pracy, artykułów żywności, odzieży i mieszkań. Podnoszenie się ceny następuje wprawdzie wolniéj, lecz za to trwa dłużéj i uporniéj, a ceny podwyższone nie wracają prędko do stanu poprzedniego, chociaż ustały przyczyny, któremi wywołane zostały.

W budżetach dróg żelaznych okoliczność ta nie może zostać bez wpływu, i znajduje ona swój wyraz w pozycyach, odnoszących się do uposażenia służby i wynagrodzenia za robociznę wykonywaną na drodze, w magazynach i w warsztatach mechanicznych.

Ogólny wzrost cen wszelkiego rodzaju przedmiotów i ciągłe ich podnoszenie się, jest faktem powszechnie znanym. Największe jednak stosunkowo podrożenie objawia się w cenie mieszkań, która do takiego stopnia się podniosła, że dla osób, pobiérających niższe uposażenie staje się prawdziwą klęską. Trzecia część całkowitéj płacy nie wystarcza częstokroć na zaspokojenie téj potrzeby.

Zarządy dróg żelaznych tak z pobudek moralnych jako téż i w dobrze zrozumianym interesie Instytucyj, nie mogły zachować się obojętnie względem tak pogorszonego położenia służby i stopniowo, w miarę możności, podwyższać musiały płace i wynagrodzenie za robociznę.

Przeglądając wydatki poniesione na uposażenie służby w ciągu ostatnich lat pięciu, okazuje się, że droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska w r. 1872 wydała na ten cel Rs. 452.625 kop. 40

W r. 1873	„	504.760	„	80
„ 1874	„	577.078	„	—
„ 1875	„	610.527	„	—
„ 1876	„	631.892	„	—
„ 1877	„	648.613	„	—

Według etatu wprowadzonego w wykonanie na r. 1878, wydatek na uposażenie służby wynosi Rs. 676.257 k. 50, czyli w porównaniu z r. 1872, w którym wynosił Rs. 452.625 kop. 40, więcéj o Rs. 223.632 k. 10

W téj ostatniéj sumie mieści się uposażenie nowych posad w ciągu lat od 1872 do 1878 utworzonych, w sumie Rs. 123.634 k. 40,

tak, że na podwyższenie płac zostaje co Rs. 99 997 k. 70, wyrażone w procentach stanowi 22.09%.

Na drodze żelaznéj Warszawsko-Bydgoskiéj wydatek na ten sam cel wynosił

w r.	1872	Rs.	135.629	kop.	60
„	1873	„	146.649	„	20
„	1874	„	167.085	„	—
„	1875	„	174.851	„	—
„	1876	„	180.883	„	—
„	1877	„	182.404	„	—
„	1878	„	190.237	„	50

w porównaniu z 1872 więcéj o	Rs. 54.607 k. 90
potrącając nowe posady z uposażeniem	Rs. 26.494 k. 60
zostaje na zwiększenie płac	Rs. 28.113 k. 30

czyli 20,73%.

W takim samym lub wyższym stosunku podwyższone zostały dyety płacone urzędnikom w czasie podróży, tak zwane milowe dla służby pociągowéj i ruchu, wydatek stanowiący znaczną sumę, oraz płaca dla wszelkiego rodzaju robotników, wynagradzanych dziennie i płaconych z oddzielnych funduszów.

Pomimo to, że uposażenie służby drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj od r. 1872 do chwili obecnéj podwyższone zostało o 22,09 i 20,73%, niemniéj z całą bezstronnością przyznać należy, że uposażenie całéj służby dróg żelaznych w ogóle nader jest umiarkowane i w dalszym ciągu, stosownie do zmieniających się warunków życia, będzie musiało być podwyższane.

W téj chwili nawet, po wprowadzeniu w wykonanie Etatu na r. 1878, w skutku silniejszego podniesienia się niektórych cen, odnoszących się do przedmiotów pierwszéj potrzeby, Zarząd ma przed sobą kwestyą podwyższenia płacy rzemieślnikom i robotnikom pracującym w Warsztatach Mechanicznych. Przy podwyższeniu płac tych ostatnich tylko o 10%, od czego nie będzie można się usunąć, wydatek zostanie zwiększony o Rs. 30.000 dla drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, o Rs. 5.000 dla drogi żelaznéj Warszawsko-Bydgoskiéj.

Z zebrania powyższych cyfr okazuje się, że *zwiększenie wydatków na Etacie r. 1878* z powodu podwyższenia ceny różnych przedmiotów potrzebnych dla dróg żelaznych, z powodu cła w złocie, z powodu wielkich strat przy zakupie waluty zagranicznéj na procenta i amortyzacyą Obligacyj i nareszcie z powodu stopniowego podwyższenia uposażenia służby, wynosi dla drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj około rubli 500.000 a dla drogi żelaznéj Warszawsko-Bydgoskiéj około rubli 40.000, pomijając zwiększone

wydatki na dyety, milowe itp., o których się wyżéj nadmieniło, lecz które z powodu trudności dokładnego ich zebrania, liczebnie nie zostały wykazane.

Droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska wystawiona na konieczność zwiększenia swego wydatku jednorocznego o sumę przeszło rs. 500.000, ma przed sobą trudne zadanie: uczynienia zadosyć swoim zobowiązaniom względem posiadaczy obligacyj i zapewnienia akcyonaryuszom chociażby bardzo umiarkowanego procentu od włożonego w przedsiębiorstwo kapitału.

W obec takiego stanu rzeczy, powstałego jedynie tylko z powodu zmniejszenia się wartości waluty krajowéj, bez jakiejkolwiek bądź zmiany w innych stosunkach drogi żelaznéj, Rady zarządzające musiały przedsięwziąć wszelkie środki jakie są w mocy Towarzystw, dla zaradzenia powyższemu zadaniu i odwrócenia szkodliwych dla Instytucyj skutków obecnego położenia finansowego.

Zmniejszenie wydatków eksploatacyjnych, pomimo zwrócenia w tym kierunku wszystkich usiłowań, okazało się niemożliwém, inne wydatki spadające na Towarzystwo z powodu zmiennych stosunków waluty, leżą po za obrębem wpływu Towarzystwa, zostawało tylko podwyższenie dochodów. Osiągnięcie tego celu za pomocą nowych źródeł dochodowych, w czasie obecnego powszechnego zastoju we wszystkich kierunkach, najmniéj sprzyjające znajduje warunki. Należało zatém zwrócić się ku zwiększeniu dochodu za pomocą podwyższonych taryf. Lecz i tu ustawy Towarzystw dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj co do taryfy osobowéj, a warunki ekonomiczne, w jakich znajdują się drogi co do taryfy towarowéj, tak ciasne zakreślają granice, że zaledwie częściowe podwyższenie téj ostatniéj było możliwém; podwyższenie zaś pierwszéj zależyć będzie od mającéj się przez Rząd w téj mierze wydać decyzyi.

Droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska znajduje się wreszcie między innemi drogami w położeniu o tyle odmiennném i *wyjątkowém*, że gdy inne w chwili krytycznéj za pomocą posiadanéj gwarancyi Rządowéj mogą spełniać swoje zobowiązania względem wierzycieli, i akcyonarjuszom zapewnić procent od kapitału, droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska zostawiona jest własnym siłom, i w saméj sobie szukać musi środków dla uczynienia zadosyć potrzebom eksploatacyi i obowiązkom względem posiadaczy obligacyj i akcyj.

Jeżeli wszystko dotąd powiedziane przekonywa dostatecznie o potrzebie polepszenia położenia finansowego dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj, zostaje w takim ra-

zie do rozważenia, o ile cel ten da się osiągnąć za pomocą podwyższenia tyryf osobowéj i towarowéj, przy zachowaniu jednak takich granic, żeby podwyższenie zastosowane było do istotnych, usprawiedliwionych potrzeb i warunków istnienia dróg żelaznych, i nie stało się zbyt uciążliwém dla publiczności lub niszczącém dla przemysłu.

Wyjaśnienie téj strony pytania następuje poniżéj.

A. Co do Taryfy Towarowej (Miejscowéj).

Według art. 15, Najwyżéj zatwierdzonego aktu Nadawczego, opłaty przewozowe przewidziane w § 12 Ustawy Głównego Towarzystwa dróg żelaznych Rosyjskich, stanowią maximum opłat, którego drogi żelazne Warszawsko-Wiedeńska i Warszawsko-Bydgoska przekraczać nie mogą.

Maxima te są następujące:

Od puda i wiorsty towarów wysyłanych za frachtem pośpiesznym $^1/_6$ kop.

Od towarów kl.	I	$^1/_{12}$,,
,, ,,	II	$^1/_{18}$,,
,, ,,	III	$^1/_{24}$,,

Według taryfy obowiązującéj po koniec r. 1876, powyższe opłaty były pobierane na drogach żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj (str. 10 § 38 załączonéj Taryfy) przy wysyłaniu oddzielnych sztuk.

Od puda i wiorsty od towarów pośpiesznych $^1/_6$ kop.

Od towarów kl.	I	$^1/_{12}$,,
,, ,,	II	$^1/_{18}$,,
,, ,,	III	$^1/_{28}$,,

Jakkolwiek unormowane w ten sposób opłaty przewozowe co do towarów klasy 3-ciéj, w celu ułatwienia ich przewozu, zostały zniżone od puda i wiorsty z $^1/_{24}$ do $^1/_{28}$, obniżenie to okazywało się z wielu względów niedostateczném. Niektóre towary z wielką trudnością znosiły powyższe opłaty przewozowe, inne nie mogły wcale korzystać z dróg żelaznych.

Niechcąc zatém, żeby opłaty przepisane w taryfach nie były bezcelowemi pozycyami, bez pożytku dla producentów i bez korzyści dla dróg żelaznych, należało uwzględnić warunki miejscowe ekonomiczne, zbadać warunki produkcyi i zbytu towarów, i odpowiednio

do istotnych potrzeb miejscowego przemysłu i handlu oznaczyć opłaty przewozowe.

Takiemi względami się kierując, Towarzystwa dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj, mając na uwadze z jednéj strony warunki ekonomiczne kraju, a z drugiéj potrzebę ożywienia ruchu na własnych drogach, ustanowiły taryfy zniżone w stosunku następującym: przy oddawaniu na drogę żelazną transportów nie mniejszych jak 300 pudów, za jednym listem frachtowym (str. 10 § 38 Taryfy).

Od puda i wiorsty od towarów kl. II $1/_{21}$ kop.
" " III $1/_{35}$ "

nadto zaprowadzoną została oddzielna kl. IV dla towarów mniejszéj wartości, do czego Towarzystwa wcale nie są obowiązane, w stosunku $1/_{40}$ kop.

Jakkolwiek zniżone do téj normy opłaty znacznie są niższe od norm ustawowych, przytoczone wyżéj względy wskazały potrzebę zaprowadzenia nierównie jeszcze tańszych taryf specyalnych dla pojedyńczych przedmiotów, jako to: dla węgla kamiennego w stosunku $1/_{64}$, oraz od drzewa, od wapna i kamienia wapiennego w stosunku $1/_{50}$ od puda i wiorsty.

Okazuje się ztąd, że opłaty pobierane za przewóz towarów w pełnym ładunku, są niższe od dozwolonych ustawą: w kl. II o 33%, w kl. III. o 16.66%, w klasie IV, porównywanéj z najniższą dla drogi żelaznéj Warszawsko-Petersburgskiéj oznaczoną, o 66.66%, specyalne zaś, niższe są dla węgla o 166.66%, a dla drzewa i wapna o 108.33%.

Ztąd okazuje się, że według brzmienia Ustawy, Towarzystwa dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj mają wielkie jeszcze pole do samodzielnego podwyższenia opłat przewozowych bez potrzeby wyjednywania oddzielnego ze strony Rządu upoważnienia. Nastręcza się ztąd pytanie: dla czego rzeczone Towarzystwa ze służącego im prawa nie korzystają, lecz przeciwnie, nie podnosząc taryfy do maximum ustawowego, odniosły się do Rządu o pozwolenie podwyższenia norm ustawowych o 25%.

W § 12. Ustawy Głównego Towarzystwa dróg żelaznych Rosyjskich, przepisującym najwyższe opłaty, mogące być pobieranemi za przewóz towarów na drogach żelaznych rosyjskich, przewi-

dzianą jest niewielka tylko ilość przedmiotów podzielonych na 3 klasy.

Tym sposobem, stosownie do ówczesnych potrzeb, ustanowiono ogólne zasady taryfowe, zostawiając zarządom dróg żelaznych możność stanowienia odmiennych niższych opłat, w miarę potrzeb wytwarzających się ze zmianą warunków ekonomicznych. Od czasu wydania Ustawy dla Głównego Towarzystwa dróg żelaznych, którego linie były jednemi z najprzód wybudowanych w Cesarstwie, powstała nowa wielka sieć dróg żelaznych przeprowadzonych w różnych kierunkach Państwa. Powszechnie wiadomą jest rzeczą, do jakiego stopnia otworzenie nowych dróg komunikacyjnych zmieniło położenie ekonomiczne kraju. Przedmioty surowe, stanowiące przedtem martwe bogactwo danéj okolicy, nabyły wartości wymiennéj i zostały wyprowadzone na rynki, częstokroć bardzo odległej gdzie znajdowały nabywców. Wytworzyły się nowe zupełnie gałęzie produkcyi, których byt i powodzenie warunkowały się nietylko zapewnieniem im komunikacyi za pomocą dróg żelaznych, lecz zależały one nadto od opłaty przewozowéj taniéj, w niektórych wypadkach niższéj o 100 i więcéj procent od normy najniższéj przewidzianéj w Ustawach dróg żelaznych.

Drogi żelazne, chcąc uczynić zadosyć swemu zadaniu, jako Instytucye użyteczności publicznéj, a z drugiéj strony, licząc się z własnym dobrze zrozumianym interesem, musiały opłaty taryfowe stosować do danych warunków. W przeciwnym razie zatamowałyby wszelką możność dla wprowadzenia do handlu znacznéj ilości produktów, byłyby powstrzymały wszelki niemal rozwój przemysłu, a same zostałyby bez dochodów.

Jako przykład odnoszący się bezpośrednio do drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, a wiele dróg znajduje się w podobném położeniu, przytoczymy tu węgiel kamienny. Jak wiadomo na pograniczu Królestwa Polskiego od strony Prus i Austryi znajdują się obfite bardzo pokłady węgla kamiennego. Materyał ten nie znosi wysokich kosztów transportu. Chcąc go wprowadzić na drogę żelazną, ustanowiono dla niego opłatę wyjątkowo nizką, bo wynoszącą na dłuższych przestrzeniach tylko $1/_{61}$ od puda i wiorsty. Gdy wszakże i tak nizka opłata, przy wprowadzaniu węgla w użycie, zdawała się być za wysoką, Towarzystwo dla ożywienia téj gałęzi rodzącego się przemysłu, odstępowało jeszcze przy znaczniejszych ilościach na korzyść przewożących rabat w ilości 10%. Dzięki takim środkom przemysł eksploatacyi węgla kamiennego się rozwinął, i artykuł ten stał się po latach 20-tu najlepszém, najpewniejszém i naj-

znaczniejszém źródłem dochodu dla drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj.

Obecnie, gdy artykuł ten stał się powszechnie używanym środkiem opałowym, pewne, nader umiarkowane podwyższenie opłaty przewozowéj stało się możliwém i to tém łatwiéj, że podwyższona opłata przewozowa przeważnie dotknie większy przemysł, a w mniejszéj tylko części spadnie na klasę średnią i uboższą w miastach, używającą węgla na opał mieszkań. Należy jednak postępować nader oględnie, żeby środek, mający polepszyć dochody drogi żelaznéj nie niszczył samego źródła, z którego ten dochód płynie.

Zastosowanie zaś do węgla kamiennego opłaty $^1/_{24}$ kop. od puda i wiorsty, tj. takiéj jaką Towarzystwo, trzymając się Ustawy, ustanowićby mogło, zadałoby niewątpliwie śmiertelny cios téj gałęzi przemysłu, która znajduje się dotąd w początkach swego rozwoju, ma przed sobą niezmierną jeszcze przyszłość i najważniejszy wpływ na wszelki przemysł w kraju.

Za drugi przykład weźmiemy produkt, który, ze względu na swoję cenę, zdawałby się bardzo łatwo znosić wyższą opłatę przewozową. Jest nim cukier wyrabiany z buraków. Podług ustawy, Droga Żelazna mogłaby pobierać za przewóz cukru $^1/_{12}$ kop. od puda i wiorsty, pobiera w rzeczywistości podług taryfy $^1/_{24}$ kop. od puda i wiorsty, czyli opłatę o 100 % niższą. Miejscowe położenie jednak jest tego rodzaju, że wszystkie niemal fabryki cukru znajdujące się w odległości mniejszéj do 150 wiorst od Warszawy, głównego punktu zbytu, przy znaczniejszém podwyższeniu opłaty przewozowéj, przeprowadzałyby produkta swoje zwykłemi furmankami z pominięciem drogi żelaznéj.

Ten sam jednakże produkt musi zostawać na drogach żelaznych, o ile miejsce, w którém się wyrabia, jest oddalone od miejsca zbytu i nie ma konkurencyi wodnéj. W tém położeniu znajdują się fabryki cukru, położone w południowo-zachodnich guberniach, zbywające swój cukier przeważnie do Petersburga. Przed otwarciem drogi żelaznéj Brzesko-Kijowskiéj, cukier ten wysyłany był do Petersburga przez Austryą i drogę żelazną Warszawsko-Wiedeńską.

Podobnież rzecz się ma z wyrobami fabryk papiéru i innemi, względem których, pozornie sądząc, podwyższenie opłaty przewozowéj nie powinnoby przedstawiać trudności.

Przywiedzione wyżéj ogólne zasady, jakiemi drogi żelazne kierować się muszą przy ustanowieniu opłat taryfowych,—przytoczone następnie przykłady wzięte z miejscowych stosunków dróg żelaznych

Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj,—przekonywają, że jeden i ten sam towar w różnych miejscowościach różne może znosić opłaty przewozowe, że ogólne podwyższenie opłat przewozowych od wszystkich towarów na danéj drodze, lub zastosowanie jednakowego procentowego podwyższenia taryfy do wszystkich dróg Państwa, nietylko nie prowadziłoby do zamierzonego celu, lecz jest zgoła niemożliwém.

Zwracając się do Taryfy dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj i badając o ile w nich możliwém jest podwyższenie opłat, dochodzimy do téj konkluzyi:

że wszystkie opłaty zniżone, ustanowione dla pełnych ładunków w stosunku $^1/_{24}$ od puda i wiorsty dla towarów kl. II, $^1/_{35}$, dla kl. III i $^1/_{40}$ dla towarów kl. IV, jakkolwiek opłaty te są znacznie niższemi od norm ustawowych, w ogóle podwyższone być nie mogą. Do téj kategoryi odnoszą się wszystkie artykuły wymienione w kl. IV, które częstokroć i tak nizkiéj opłaty przewozowéj znosić nie mogą, i co do nich, czynione być muszą dalsze koncesye.

Opłaty oznaczone dla towarów kl. II i kl. III mogłyby być nieco, w bardzo umiarkowanym stosunku, podniesione, lecz i tu podwyższenie daje się zastosować tylko do niektórych przedmiotów.

Przeważna część musi pozostać bez zmiany. Przy tak ograniczoném podwyższeniu nie można się spodziewać rezultatu większego, mogącego mieć znaczenie w obecném położeniu finansowém Towarzystwa, i dla tego też Towarzystwa dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj prócz podniesienia opłaty od towarów klasy III, (1) z wyłączeniem wszakże pewnych towarów, nie zaprowadziły żadnéj zmiany w obowiązującéj dotąd taryfie co do innych klas.

Zdaniem Towarzystw dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj przedstawia się możliwém podwyższenie opłaty przewozowéj od pojedyńczych collis, przesyłanych za opłatą ustanowioną dla towarów kl. I i II, co do których obecna taryfa dochodzi do maximum dozwolonego ustawą. Podobne przesyłki, ograniczając się w największéj liczbie wypadków do kilku lub kilkunastu pudów dla jednego interesanta, mają większą stosunkowo

---

(1) Opłata od towarów klasy III od 1 Stycznia 1878 podwyższona zostaje dla pojedyńczych sztuk z $^1/_{28}$ do $^1/_{24.5}$ dla pełnych ładunków z $^1/_{35}$ do $^1/_{30.5}$.

wartość i w skutek tego z łatwością znosić mogą podwyższoną opłatę i mniéj dotkliwie oddziałają na przemysł; gdy tymczasem te same przedmioty w większych masach albo wcale nie są przewożone, lub téż za podwyższeniem opłaty przewozowéj odwróconeby zostały od drogi żelaznéj.

Zgodnie z takiém zapatrywaniem się na stosunki taryfowe, Rady Zarządzające dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj w przedstawieniach swoich do JW. Ministra Komunikacyi prosiły o dozwolenie podwyższenia opłat wskazanych w ustawie o 25%, zamierzając środek ten nie co do wszystkich towarów, lecz o ile się da zastosować do *popudnéj taryfy*.

Dochód otrzymywany z tego źródła dla dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj jest stosunkowo bardzo nieznaczny (wynosił w r. 1876 dla drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj Rs. 223.908, dla drogi żelaznéj Warszawsko-Bydgoskiéj Rs. 51.645), więc i rezultat mogący się osiągnąć z częściowego podwyższenia, przypuszczając nawet, że podwyższona taryfa nie odwróci towarów od drogi żelaznéj, bardzo niewielkim być może. Jeżeli pomimo to drogi żelazne Warszawsko-Wiedeńska i Warszawsko-Bydgoska do tego środka się zwracają, czynią to dla tego, że stosunki wynikłe w skutek zmniejszenia się wartości waluty krajowéj, zmuszają je do obmyślenia wszelkich środków, mogących wpłynąć na zmniejszenie strat jakiemi są dotknięte.

B. Co do Taryfy Towarowéj w komunikacyi Bezpośredniéj i Tranzytowéj.

Taryfy ustanawiane dla tak zwanéj komunikacyi bezpośredniéj, międzynarodowéj i tranzytowéj mają głównie za zadanie ułatwienie przewozu towarów na długich przestrzeniach. To samo już wskazuje konieczną potrzebę ustanowienia opłat przewozowych tanich, w każdym razie niższych od opłat taryfy miejscowéj. Drogi żelazne tém chętniéj przystępowały do formowania podobnych taryf, że transporta w tych komunikacyach przechodzą, w wielu wypadkach, przez całą długość ich dróg lub, zawsze przynajmniéj, większą przestrzeń przebiegają, w czém uważały znajdować wynagrodzenie za stosunkowe zniżenie opłaty.

W skutku rozwinięcia sieci dróg żelaznych we wszystkich krajach Europejskich i utworzenia się dróg konkurujących między sobą, taryfy bezpośrednie i międzynarodowe, w samym początku niżéj od taryf miejscowych unormowane, doszły z biegiem czasu do zasad

tak niskich, że w licznych wypadkach bardzo jest wątpliwém, czy drogi żelazne przy podobnych przewozach pokrywają koszta własne.

Drogi żelazne Warszawsko-Wiedeńska i Warszawsko-Bydgoska co do komunikacyi międzynarodowéj i tranzytowéj walczyć muszą z jednéj strony z drogami niemieckiemi, a z drugiéj z austryackiemi, a nadto, przy stosunkowo krótkich swoich przestrzeniach, nie mogą własną siłą żadnego wywrzeć wpływu na zmianę stosunków taryfowych, lecz znajdują się w zupełnéj zawisłości od dróg konkurencyjnych.

W takiém położeniu rzeczy drogi żelazne Warszawsko-Wiedeńska i Warszawsko-Bydgoska taryf towarowych, o których mowa, zmienić nie mogą, a tém samém pozbawione są możności zwiększenia w téj drodze swoich dochodów.

C. Co do Taryfy Osobowéj.

Wykazanie drogą ścisłego rachunku, czy ruch osobowy na drogach żelaznych przynosi zysk lub straty, jest niewątpliwie trudném bardzo zadaniem i zawsze tylko do przybliżonych rezultatów doprowadzić może.

Pruskie Ministeryum Handlu zarządziło obliczenie kosztów własnych, poniesionych przez drogi państwowe w r. 1874 na pociągi osobowe. Rachunek wykazał: że na ośmiu drogach żelaznych, będących własnością Państwa, koszta własne przewyższyły całkowity dochód z ruchu osobowego o 4,5 milionów marek.

W braku danych z podobnego rodzaju obliczeń na drogach innych krajów nie można stanowczéj w téj mierze postawić konkluzyi. Wszelkie jednak dane bardzo za tém przemawiają, że na całym kontynencie do wyjątkowych zaliczyć by można te drogi, które z ruchu osobowego odnoszą zyski.

Jeżeli podobny rezultat przedstawiają drogi żelazne w zachodniéj Europie, mające w nierównie wyższym stosunku rozwinięty ruch osobowy, to niewątpliwie drogi żelazne Rosyjskie, pomijając nawet obecne wyjątkowe położenie waluty, tylko mniéj korzystne rezultaty wykazać by mogły.

Większy kapitał nakładowy na tabor osobowy, wymagania publiczności pod względem wygód i komfortu, kosztowna konstrukcya wewnętrznych urządzeń w wagonach osobowych, niewielki stosunkowo procent miejsc zajętych, szczególniéj w klasach wyższych, wielki ztąd martwy ciężar w pociągach, liczna obsługa i ko-

sztowniejsze utrzymanie nietylko taboru, lecz i saméj drogi, konieczne przy większéj szybkości pociągów, oto są momenta wpływające na znaczne zwiększenie kosztów własnych, ponoszonych przy ruchu osobowym w porównaniu z ruchem towarowym.

Samo z siebie wynika, że straty ponoszone przy ruchu osobowym o tyle muszą być większe, o ile zasady taryfowe, przypuszczając wielkość ruchu i inne stosunki jednakowe, są niższe.

Dołączony wykaz porównawczy opłat, pobiéranych za przewóz osób na drogach angielskich, francuskich, austryackich i niemieckich wskazuje różnicę, zachodzącą pomiędzy opłatami istniejącemi na rzeczonych drogach, w porównaniu z opłatami pobiéranemi na drogach żelaznych Rosyjskich.

Dla uproszczenia porównania przyjęto dla wszystkich dróg opłatę za kilometr.

Okazuje się ztąd, że najwyższe opłaty pobiérane są na drogach angielskich. Są one wyższemi od taks taryfowych rosyjskich, przyjmując nawet al pari przy zamianie obustronnych walut. Przy uwzględnieniu zaś zachodzącéj obecnie różnicy kursu, przedstawiają się taksy angielskie we wszystkich klasach wyższemi przeszło o 100%.

Drogi francuskie przy pari nieco niższą mają taksę w klasie I, przyczém wszakże należy zwrócić uwagę na tę okoliczność, że we Francyi pociągi pośpieszne mają tylko klasę I, a w takim razie niższa nieco opłata w téj klasie wyższy daje dochód, aniżeli na innych drogach, gdzie przy dodawaniu wagonów klas niższych, klasa I w nader nieznacznym stosunku jest zajętą.

Drogi Austryackie *przy pari* wyższą mają opłatę we wszystkich klasach. Do taks pociągów pospiesznych podnoszą się opłaty pociągów osobowych o 20%, a nadto do wszystkich opłat dodać należy pobiéraną przez drogi austryackie każdorazowo zachodzącą różnicę kursu między miejscową walutą papiérową i srebrną, co opłaty znacznie zwiększa.

Na drogach niemieckich taksy osobowe *przy pari* w wyższych klasach nieco są niższe, a w niższych klasach wyższe od taks dróg rosyjskich.

Co do opłat pobiéranych za przewóz osób w klasie IV, porównanie mogło być zrobione tylko między drogą żelazną Warszawsko-Wiedeńską i Warszawsko-Bydgoską a niektóremi niemieckiemi, gdyż na innych drogach téj klasy zupełnie nie wprowadzono. I w téj najtańszéj klasie drogi żelazne Warszawsko-Wiedeńska i Warszawsko-Bydgoska przy pari niższe mają opłaty od dróg niemieckich.

WYKAZ PORÓWNAWCZY

Taryfy osobowej dróg żelaznych Rosyjskich z drogami żelaznemi Zagranicznemi.

	Kuryerskie		Osobowe				UWAGI
	I.	II.	I.	II.	III.	IV.	
Drogi Żelazne Rossyjskie.							Projektowana podwyższona taryfa dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej.
za jedną wiorstę kop.	—	—	3.00	2.25	1.25	—	
za jeden kilometr „	—	—	**2.81**	**2.11**	**1.17**	—	
Warsz.-Wied. i Warsz.-Bydg.							
za jedną wiorstę kop.	3.45	2.59	3.00	2.25	1.29	0.86	
za jeden kilometr „	**3.23**	**2.42**	**2.81**	**2.11**	**1.21**	**0.80**	**Kuryerskie** I. II. **Osobowe** I. II. III. IV.
Drogi Żelazne Angielskie. Pens	**1.69**	**1.27**	**1.56**	**1.14**	**0.55**	—	
1 pens = 2.50 kop. al pari kop.	4.24	3.17	3.91	2.85	1.375	—	
„ „ 3.00 „ przy kursie 120% „	5.07	3.81	4.68	3.42	1.65	—	
„ „ 3.25 „ „ 130% „	5.49	4.13	5.07	3.71	1.787	—	
„ „ 3.50 „ „ 140% „	5.92	4.45	5.46	3.99	1.925	—	4.00. 3.00. 3.43. 2.52. 2.00. 1.20.
„ „ 3.75 „ „ 150% „	6.34	4.76	5.85	4.28	2.062	—	
„ „ 4.00 „ „ 160% „	6.76	5.08	6.24	4.56	2.2	—	
„ „ 4.25 „ „ 170% „	7.18	5.40	6.63	4.85	2.237	—	
Drogi Żelazne Francuskie. Centime	**10.425**	—	—	**9.25**	**6.80**	—	
1 centime = 0.25 kop. al pari kop.	2.61	—	—	2.31	1.70	—	
„ „ 0.30 „ przy kursie 120% „	3.13	—	—	2.775	2.04	—	
„ „ 0.325 „ „ 130% „	3.39	—	—	3.006	2.21	—	
„ „ 0.35 „ „ 140% „	3.65	—	—	3.237	2.38	—	4.00. 3.00. 3.43. 2.52. 2.00. 1.20.
„ „ 0.375 „ „ 150% „	3.91	—	—	3.468	2.55	—	
„ „ 0.40 „ „ 160% „	4.17	—	—	3.70	2.72	—	
„ „ 0.425 „ „ 170% „	4.43	—	—	3.93	2.89	—	
Drogi Żelazne Austryackie. Cent	—	—	**4.8**	**3.6**	**2.4**	—	(*)
1 cent = 0.60 kop. al pari kop.	—	—	2.88	2.16	1.44	—	
„ „ 0.72 „ przy kursie 120% „	—	—	3.456	2.594	1.728	—	
„ „ 0.78 „ „ 130% „	—	—	3.744	2.808	1.872	—	
„ „ 0.84 „ „ 140% „	—	—	4.032	3.024	2.016	—	4.00. 3.00. 3.43. 2.52. 2.00. 1.20.
„ „ 0.90 „ „ 150% „	—	—	4.32	3.24	2.16	—	
„ „ 0.96 „ „ 160% „	—	—	4.608	3.456	2.304	—	
„ „ 1.02 „ „ 170% „	—	—	4.896	3.672	2.448	—	
Drogi Żelazne Niemieckie. Fenig	**10.00**	**7.00**	**8.5**	**6.1**	**4.3**	**3.00**	
1 fenig = 0.30 kop. al pari kop.	3.00	2.10	2.55	1.83	1.29	0.90	
„ „ 0.36 „ przy kursie 120% „	3.60	2.52	3.06	2.196	1.548	1.08	
„ „ 0.39 „ „ 130% „	3.90	2.73	3.315	2.379	1.677	1.17	
„ „ 0.42 „ „ 140% „	4.20	2.94	3.57	2.562	1.806	1.26	4.00. 3.00. 3.43. 2.52. 2.00. 1.20.
„ „ 0.45 „ „ 150% „	4.50	3.15	3.825	2.745	1.935	1.35	
„ „ 0.48 „ „ 160% „	4.80	3.36	4.08	2.928	2.064	1.44	
„ „ 0.51 „ „ 170% „	5.10	3.57	4.335	3.111	2.193	1.53	

(*) 1. Opłata za przewóz osób pobiera się podług kursu srebra, dla tego też ceny biletów na drogach Austryackich powinny być zwiększone przez dodanie różnicy kursu pomiędzy walutą papierową a srebrną.

2. Opłaty na pociągach kuryerskich podnoszą się o 20%.

Porównanie powyższe wskazuje, że w ogóle opłaty pobierane za przewóz osób na drogach żelaznych rosyjskich niższemi są od takichże opłat pobieranych na drogach zagranicznych co najmniéj o całą różnicę kursu, a w niektórych wypadkach, różnica ta jeszcze się zwiększa na niekorzyść dróg rosyjskich.

Dla dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj ogólny rezultat z ruchu osobowego o tyle jest niekorzystniejszym w porównaniu z innemi drogami rosyjskiemi, że najznaczniejszą część osób przewożą w klasie IV, najtańszéj, jakiéj inne drogi nie mają.

W r. 1876 na drodze żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj stosunek procentowy wszystkich podróżnych łącznie z wojskiem był następujący: w kl. I przejechało 2,11, w kl. II 15,44, w kl. III 29,75, w kl. IV 52,70. Na drodze żelaznéj Warszawsko-Bydgoskiéj w kl. I 2,67, w kl. II 19,69, w kl. III 30,18 i w kl. IV 47,46.

Wnosić ztąd można, że drogi żelazne Warszawsko-Wiedeńska i Warszawsko-Bydgoska, postawione najgorzéj między wszystkiemi drogami pod względem ustanowionych dla nich opłat za przewóz osób, największe ponosić muszą straty, przewożąc największą liczbę osób w klasie IV.

Przytoczone powyżéj względy oraz porównanie taryf osobowych w różnych krajach stosowanych, usprawiedliwiają zapewne dostatecznie i słuszność i konieczność podwyższenia taryf osobowych na drodze żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj.

Zostaje do rozstrzygnięcia pytanie, jak wielkiém ma być to podwyższenie?

Biorąc na uwagę rezultaty finansowe, osiągane na drogach żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko-Bydgoskiéj przy obecnych taksach osobowych i przy teraźniejszym kursie waluty miejscowéj, a z drugiéj strony rezultaty, do jakich doprowadziły badania na drogach żelaznych Państwowych Pruskich, pobierających opłaty w złocie, należałoby wyrazić zdanie za podwyższeniem taryf o całą różnicę kursu.

Ponieważ jednak zastosowanie tego środka, tak ze względu na zmienność kursu, jak i w praktyczném wykonaniu okazuje się niemożliwém, a z drugiéj strony tak znaczne podwyższenie taryfy, w naszych stosunkach ekonomicznych, byłoby nateraz przynajmniéj nieracyonalném i dla publiczności podróżującéj, nawykłéj do cen tańszych, zbyt uciążliwém, należy przeto, ile można, godzić interesa dróg żelaznych, potrzebujących o własnych siłach egzystować i dawać akcyonaryuszom pewny, choćby umiarkowany procent, od

włożonych w drogi żelazne kapitałów, z ogólnemi stosunkami i potrzebami kraju.

Z tego stanowiska rzecz oceniając, Rady Zarządzające dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Warszawsko Bydgoskiéj proszą o dozwolenie podwyższenia obowiązującéj taryfy osobowéj o 25%, z ustanowieniem opłat za klasy pojedyncze w stosunku następującym *za wiorstę.*

W pociągach kuryerskich:

w klasie	I	kop.	4
„	II	„	3

W pociągach zwyczajnych osobowych:

w klasie	I	kop.	3.43
„	II	„	2.52
„	III	„	2.00
„	IV	„	1.20

W ten sposób unormowane opłaty, racyonalniejszy niż dotychczasowy tworzą stosunek między pociągami kuryerskiemi i zwyczajnemi, oraz między pojedynczemi klasami; a w porównaniu z opłatami dróg zagranicznych, jak objaśnia dołączony wykaz, zbliżają się *przy pari* obustronnych walut do angielskich i austryackich, przy uwzględnieniu, co do tych ostatnich, pobieranego dodatkowo agio; przy kursie 120%—do francuskich a przy kursie 130 do 140%—do dróg niemieckich.

Nie przesądzając, o ile przyszłość z odmiennemi warunkami inne wytworzyć może stosunki dla dróg żelaznych, i projektując podwyższenie taryfy osobowéj w tak umiarkowanym stosunku, mieliśmy na oku ogólne nienormalne opłaty w ruchu osobowym i niekorzystne ztąd osiągane rezultaty, a z drugiéj strony, nie wyjątkowo wysokie *obecne* kursa zagraniczne lub wyjątkowe zniżenie wartości waluty krajowéj, lecz przeciwnie, przypuszczając, że ten stan wywołany nadzwyczajnemi okolicznościami, tylko jest czasowy, braliśmy w rachubę stan waluty krajowéj do zagranicznéj w stosunku mniéj więcéj 120 do 135%.

Wyjątkowe zniżenie wartości miejscowéj waluty, tak jak się ono od czasu rozpoczęcia wojny utrzymuje, przedstawia kwestyą podwyższenia taryfy *więcéj naglącą i nieuniknioną koniecznością*, jeżeli drogi żelazne, stojące o własnych siłach, nie korzystające z gwarancyi rządowéj, jak droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska nie mają być zachwiane w swoim bycie i stać się niewypłacalnemi względem swoich wierzycieli.

Podwyższając taryfy osobowe o 25%, uwzględnia się w nierównie wyższym stopniu interes publiczności korzystającéj z dróg

żelaznych, aniżeli interes samych dróg żelaznych, gdyby bowiem zapatrywano się wyłącznie na rezultaty osiągane z przewozu osób, które bez najmniejszéj wątpliwości żadnych nie przedstawiają zysków, należałoby taryfy osobowe w nierównie wyższym podnieść stosunku. Ograniczając zaś podwyższenie do 25°/„ daje się drogom żelaznym tylko możność zmniejszenia straty, a przez podwyższony stosunkowo dochód ogólny—możność utrzymania w pewnéj mierze równowagi między dochodami i wydatkami tych Instytucyj, których los, jako Instytucyj użyteczności publicznéj, obchodzi w równym stopniu Państwo jak i samych Akcyonaryuszów.

SZTUKA

NA

Wystawie Powszechnéj w Paryżu.

I.

MALARSTWO.

Każda Wystawa sztuki, zgromadzająca najpiękniejsze dzieła artystów najróżnorodniejszych narodów, ma na celu, jak mówi urzędowy estetyk, zapoznanie się z nowo powstałemi talentami lub z nowatorami, kroczącymi po nieznanych dotąd drogach, którzy, jeżeli częstokroć sami nie są dość uzdolnieni do wykonania swoich pomysłów, spełniają rolę przewodników dla innych artystów, uzupełniających i wprowadzających w życie cudze pomysły. Takie określenie celu Wystawy ma w sobie ten przymiot, że obejmuje w swoich ramach całą produkcyą człowieka. Rolnicy, podziwiając rezultaty, otrzymane wskutek używania sztucznych nawozów, badają naturę swojéj ziemi i wprowadzają innowacyą agronomiczną u siebie; mechanicy na podstawie słabych nawet wynalazków w zarodzie ulepszają aż do zdumienia z każdym rokiem maszyny wszelkiego rodzaju; chemicy, rozbiérając ciała mineralne na ich części składowe, wskazują innym drogę, jak mają zastosowywać rezultaty nauki do pomysłów praktycznych. Wszystko to się odbywa na podstawie porozumienia. Ponieważ pan X. wynalazł w Anglii maszynkę do płukania kartofli, przeto pan Z. wprowadził ją w Polsce. Rzecz prosta. Polska ma kartofle, tak dobrze jak Anglia; Polska potrzebuje je płukać tak samo jak Anglia; więc zwiększywszy lub zmniej-

szywszy stosownie do potrzeby maszynkę wynalezioną w Anglii, można ją wybornie zastosować w Polsce. Belgia uregulowała doskonale Mozellę: po dokonaniu analizy gruntu i szybkości wody w Wiśle, Polska z pewnemi odmianami mogła by zrobić podobną regulacyą u siebie. To samo stosuje się do milionów faktów, podporządkowanych pod najrozmaitsze rubryki wiedzy. Wymiana myśli, potrzeba informowania się o rezultatach na rynkach wiedzy, konieczność urządzania i zwiedzania Wystaw Powszechnych jest tu aż nazbyt widoczną, abym potrzebował w tym względzie coś więcéj powiedziéć.

Według na początku przytoczonego zdania, podobna operacya ma się odbywać w dziale sztuki. Zobaczmy. Gericault malował wspaniałe konie o strasznéj sile muszkułów. Ponieważ Polska posiada konie tak samo jak Francya, więc p. Chełmoński, który także maluje konie powinien przyjechać do Paryża uczyć się malować coś podobnego od Gericault'a. Daubigny jest mistrzem w krajobrazach: więc Max Gierymski powinien studyować obrazy Daubigny'ego i efekta wydobyte pędzlem francuskiego pejzażysty wprowadzić do swoich obrazów. To samo stosuje się do obrazów historycznych, religijnych i alegorycznych. Jeżelibyśmy się zgodzili na taką teoryą doskonalenia się sztuki i przyjęli, i jakkolwiek dziś ona nie jest jeszcze urzeczywistnioną, za lat kilka, kilkadziesiąt lub kilkaset zapanuje wszechwładnie i ogarnie bez wyjątku wszystkich artystów wszystkich narodów; uznaćbyśmy musieli, że byłaby to najpiękniejsza chwila ideału w sztuce, pojętego w najobszerniejszém znaczeniu. Ponieważ ludzkość cała składać się będzie na takie okazy sztuki, więc przedewszystkiém zniknie na zawsze partykularyzm narodowy i indywidualny. Nie będziemy mieli Chrystusów Titian'a Reni'ego, Ribery, Van Dycka, Bonata i t. p. mistrzów, lecz jednego Chrystusa namalowanego idealnie według wskazówek artystów całego świata, czyli będziemy mieli Chrystusa ulepszanego co rok przez nowe pokolenia. Zamiast krajobrazów Ruyzdael'a, Gierymskiego, Daubigny'ego lub Corot'a, wszystkie kraje pomimo różnic roślinności i falowania ziemi, wprowadzą u siebie typ krajobrazu uniwersalnego, który zadowolni Anglika, Francuza, Niemca, lub Polaka. Z historyą trudniejsza już sprawa. Ale taki postęp i tu pokona trudności. Bo chociaż Karol Wielki rysami twarzy różnić się będzie od królowéj Wiktoryi, a Marya Stuart od Iwana Groźnego, nie mniéj jednak artyści, zgodziwszy się na jeden ogólny wyraz królewskości w twarzach, będą komponowali obrazy historyczne, według powszechnego wzoru, w którym gniew, łagodność, dobroć, odwaga, tchórzostwo, szczodrobliwość lub pobożność będą miały

swój typ w postawie, fałdowaniu skóry, pozie rąk i nóg, większém lub mniejszém ozdobieniu ubiorów i w nagromadzeniu martwych oznak władzy. Naturalnie Szwajcarya tak samo będzie malować widoki morskie, jak Anglia, a Polska nie zrzecze się możności i i praw do przedstawienia na płótnie ogrodów pomarańczowych na rzecz Włoch. Jak żadne ulepszenie w urządzeniu telegrafów, balonów, gazów lub elektrycznych przyrządów nie jest już dzisiaj wyłączną własnością jednego człowieka lub narodu, tak samo żadna cecha indywidualna w sztuce nie będzie zacieśnioną do artysty lub kraju, lecz ogarnie świat cały, cywilizowany lub na wskroś barbarzyński, byle tylko środki komunikacyi nie stały na zawadzie w rozwożeniu typu po całéj kuli ziemskiéj.

Teoretycznie nawet, takie wykształcenie i uogólnienie sztuki ma swoją piękną stronę, gdyż raz nareszcie estetycy na podstawie faktu istniejącego wynaleźliby istotną formułkę ideału sztuki i każdego artystę, odstępującego od takiego ideału, wyłączaliby ze świata artystycznego.

Wątpię jednak, aby artyści sami zgodzili się na to, a mogliby wskazać prawodawcom sztuki mniéj więcéj podobny wypadek z początku naszego wieku. Wszakże Ingres, Dawid, Cornelius, Kaulbach są przedstawicielami takiéj ogólno-ludzkiéj sztuki, w któréj nie ludzie, nie drzewa, nie zwierzęta występują do akcyi, ale idee, wcielone w kształty ogólne świata zwierzęcego i roślinnego. Ale czy ci nowoklasycy zostawili następców, prowadzących sztukę po téj saméj co oni drodze? Wcale nie. Ich uczniowie o słabszych talentach naśladowali swoich mistrzów, cechując swoje bezduszne utwory skarłowaciałemi zaletami i powiększonemi wadami nauczycieli, a większe talenta poszły, jeżeli nie odskoczyły w przeciwne strony świata sztuki. Przypatrywać się szczegółowo temu ruchowi artystycznego życia w kierunkach coraz bardziéj oddalających się od klasycznego punktu wyjścia na początku naszego wieku, byłoby to pisać historyą nowożytnéj sztuki. Ponieważ to obecnie nie jest moim zamiarem, ograniczam się na bardzo ogólnych uwagach tylko i o tyle, abym przy końcu niniejszego sprawozdania mógł się powołać na fałszywość u góry zacytowanego zdania estetyków w zestawieniu z rzeczywistością.

Nie poruszałbym nawet kwestyi przekonań estetycznych, gdyby one u nas były tak rozdzielone jak we Francyi, Anglii lub Niemczech. Lecz ponieważ nasze sądy o sztuce są oparte jak dotąd, wyłącznie na pokłonie starym mistrzom i na chęci przeflancowania ich ideałów do naszéj sztuki bez uwzględnienia różnicy kraju i epoki, potrzebowałem przeto zaznaczyć na samym wstępie zaraz, że ka-

żdy nowy objaw, każdy ruch na drodze indywidualnéj, jednèm słowem każdą oryginalność nowego talentu przyjmuję w zasadzie jako dobrą i z nią się liczę, témbardziéj że nasze talenta malarskie, jak Matejki, Siemiradzkiego, braci Gierymskich, Brandta, Chełmońskiego, Rodakowskiego i innych, są mi pomocą w argumentacyi przeciwko estetycznemu prawodawstwu, opartemu na bezwzględnéj czci przeszłych wieków. Przyjmując każdy kierunek za dobry, nie staję na stanowisku estetyka rozgrzeszającego lub potępiającego artystę jedną formułką piękna, lecz staram się odczuć indywidualność twórcy i sądzić ją według kodeksu sztuki, jaki on sam sobie narzucił. Nadto, ponieważ mam przed sobą sześć, do ośmiu tysięcy okazów artystycznéj produkcyi całego świata, biorę w rachubę tylko takie, które najwięcéj ześrodkowywują w sobie typ dzisiejszéj sztuki, lub mu się przeciwstawiają; inne zaś przyjmuję jako upewnienie się o przewadze pewnego charakteru w danym kraju i cechy ich jakościowe i liczebne przelewam na wybitne jednostki, dostarczające mi dość materyału do wyprowadzenia ogólnych wniosków pod względem jakości, ale niedostateczne jako ilość.

Wierzę najzupełniéj, że dzisiejsi twórcy mogą produkować, równie jak dawni, utwory treści religijnéj, historycznéj, alegoryczné j nie poprzestając bynajmniéj na scenach rodzajowych z życia; wierzę że jedni jak drudzy tworzą z wewnętrznego popędu i nie wybiérają pewnego rodzaju twórczości, ale naturą swego talentu są w tym kierunku popchnięci. Więc jak dla naturalisty ropucha nie mniéj przedstawia interesu do badania, aniżeli małpa lub człowiek, tak dla mnie rodzajowy obrazek z codziennego, brutalnego życia równie piękny jest, jak koszyk z grzybami, śmierć Klaudiusza lub zdjęcie z krzyża. Tu i tam widzę artystę, czującego piękno martwéj natury, poezyą życia i krajobrazu, walkę psychologiczną we wnętrzu człowieka, lub wielkość chwili dziejowéj: tu i tam oceniam stronę techniczną, która mu pozwoliła lub przeszkodziła do uwydatnienia tego, co przez swój utwór chciał wyrazić. Naturalnie, przyjmując każdą scenę ze świata rzeczywistego za godną pędzla, dłuta lub pióra artysty-twórcy, nie dzielę sztuki na poważną i niepoważną, wliczając do pierwszéj utwory historyczne, religijne i alegoryczne, a wszystkie inne odsądzając od prawa poważnego rozpatrywania, ale wszystkie razem, z całą ich rozmaitością treści i tendencyi, uważam za wspaniałe objawy twórczości człowieka, zawsze godne głębszego zastanowienia się.

Dla tych samych przyczyn nie daję pierwszeństwa żadnemu narodowi przed drugim, ponieważ wszystkie one mają jednakowe prawa do uzewnętrzniania swoich myśli i uczuć w formie sztuki, i po-

nieważ nie mogę mówić o nich wszystkich razem, przyjmuję kolej, w jakiéj one idą na Wystawie Powszechnéj. Rzecz prosta, że malarzy polskich, którzy są rozrzuceni po wszystkich sekcyach, począwszy od Algieru, a skończywszy na Włochach, wyłączę ze sprawozdania ogólnego, poświęcając im obszerniejsze miejsce na końcu.

a) ANGLIA.

Ludziom nie znającym Anglii zdaje się, że oddawszy hołd jéj przemysłowi, handlowi i wiedzy, największą przysługę zrobią angielskiéj sztuce, nie wspominając o niéj wcale. Każdy czuje się w obowiązku rzucić frazes, że Anglicy oddawna już przodują Europie geniuszem przemysłowym i dziwactwem tak daleko posuniętém, że syn Albionu z równie zimną krwią rzuca się dla interesu na drugą półkolę z narażeniem życia, jak skupuje stare obrazy, na których się nie zna, nadwerężając dobry stan swojego majątku. Jedno i drugie jest prawdą. Ale apologiści Anglii, jako kraju przemysłu, nauki i dziwactw, zapominają lub nie wiedzą, że Anglicy są zapalonemi miłośnikami sztuki.

Wejdźmy do pracowni malarza, rzeźbiarza, muzyka, lub poety zresztą i posłuchajmy co niektórzy z nich mówią. „Patrzcie ile poezyi wlałem w to bezduszne płótno lub marmur. Całe życie moje, cała dusza jęczy zaklęta w dźwięki muzyki i wzywa napróżno serc, któreby ją zrozumieć chciały. Ale serc nie ma już dzisiaj na tym padole merkantylnych interesów. Przemysł i handel urągają naszéj poezyi, przed którą zamykają się oczy, uszy i kieszenie kupców!“

Zamiast szukać niepowodzenia w braku talentów, rzucają brutalne wykrzykniki przeciwko parze, która ich wiezie w najdziksze okolice krajobrazów, lub do oddalonych od nich zwalisk starych miast Herculanum, Pompei i innych. Czyż Ateny, Wenecya i Antwerpia nie były siedliskami najbogatszych kupców przedwiekowego czasu? Czyż nie były one zarazem najbardziéj płonącemi ogniskami sztuki? Czyż zasłużyły sobie na wyrzuty artystów za swój przemysł i handel? Przeciwnie. Do dziś dnia rzucają jeszcze na świat cały blaski swoich bogactw i wcześnie kwitnących sztuk. Dla czegóż więc tegoczesny wiek ma się wyprzeć dostatków i postępu na rzecz artystów, których nie chce opłacać? Dlaczegóż ma powracać do wozów, zamiast jeździć koleją żelazną, lub zawiadamiać kupca o skończonym obrazie przez umyślnego posłańca, zamiast donieść mu o tém telegraficzną drogą? Doprawdy, nie rozumiem. Wiek nasz jest równie pomyślny, a nawet pomyślniejszy dla artystów niż poprzednie, tylko sztuka nie ma dość utalentowanych kapłanów.

Pocóż zresztą cofać się tak daleko wstecz, kiedy Anglia dostarczy nam przykładów więcéj niż potrzeba.

Kiedy Francya, Włochy, Niemcy lub Polska obdarza swoich artystów krzyżami legii honorowéj, tytułami członków honorowych lnb obiadami składkowemi, Anglia, jako kraj przemysłowy, handlowy, na wskroś pozytywny, kupuje obrazy i setkami tysięcy funtów zachęca artystów do pracy. Z tego powodu w Niemczech, Francyi i u nas piersi artystów świecą orderami, a w Anglii kieszenie kapłanów sztuki brzęczą złotem, które nie pozwala im umrzeć z głodu, lub malować bez modelu. Ale za to Anglicy zasługują sobie na miano nieprzyjaciół poezyi. Bogdaj wszystkie kraje w tak nieprzyjacielski sposób obchodziły się ze sztuką. Sądzicie może, że Anglia tylko kupuje obrazy, rzuca złoto zgłodniałemu lądowi?... Nie. Anglia ma swoich artystów i swoję odrębną sztukę, która dla kontynentalnéj Europy jest silnym bardzo konkurentem, sztukę, która od naszéj w zasadniczych nawet punktach różni się niesłychanie. Może z pierwszego rzutu oka malarstwo angielskie nie pociąga za sobą widza, jak Francuskie, Niemieckie lub nasze, ale po bliższém rozpatrzeniu się w jego typach, przemawia na swoję korzyść i każe się z sobą liczyć.

W sześciu wielkich salach, zajętych przez obrazy angielskie, nie ma ani jednego, któryby zadziwiał rozmiarami, ani jednego któryby krzyczał ekscentrycznością i ani jednego, któryby nagością ciał i brutalstwem życia lub śmierci wywołał uczucie nieprzyzwoitości lub wstrętu w skromnéj Angielce. Od razu widać, że artyści angielscy są gentlemanami bywającymi w salonach i malującymi dla salonów.

Kraj i naród ze swojém życiem i zabawami wisi na ścianach. Mówię kraj i naród, gdyż koloryt obrazów ani na chwilę nie pozwala zapomnieć o słońcu angielskiém, a rysunek i kompozycya o sentymentalnem życiu domowém anglików. Jak gdyby umyślnie dla antytezy za sekcyą angielską idzie włoska. Dość stanąć na progu dwóch przylegających do siebie sal, aby się przekonać z różnicy kolorów, że Włochy są krajem gorącego, jaskrawego słońca, a Wielka Brytania mgły tamującéj słońcu drogę do rzucania jasnych promieni na płótno malarza. Nie można koloru angielskich obrazów nazwać brudnym, ale szarym, niemal ponurym, na którego ogólném tle wyskakuje od czasu do czasu krzyczący kolor czerwony, widocznie położony z pamięci, bo nie zharmonizowany z tonem wszystkich obrazów, a nawet z tonem tego obrazu, na którego płótnie wyłącznie panuje. Dopóki malarze angielscy malują z natury, pomiędzy ich portretami, krajobrazami,

scenami historycznemi, lub domowemi zabawami w kolorze nie ma różnicy. Od pierwszego do ostatniego kolor w nich jest czémś podrzędném, bez wielkiego znaczenia i o tyle tylko uwzględnianym, aby dostatecznie miernie oddzielał połysk świecącego guzika od blasku oka. Ile razy zaś anglik maluje ubranie królewskiéj gwardyi, parlamentu w mundurach, kolor czerwony krzyczy i razi nieharmonią z obrazem, bo kolor czerwonego munduru jest położony na płótnie bez żadnego zmodyfikowania jego barwności do barwności akcesoryów i na odwrót. Jedném słowem, w tym względzie Anglicy są stanowczo niżsi od artystów stałego lądu.

Inna rzecz z rysunkiem. Każda figura człowieka, lub zwierzęcia, każde drzewo, każdy kwiatek, trawa, fale na wodzie, każdy drobiażdżek najmniejszy, jest narysowany z całą zręcznością, wirtuozostwem mistrza w rysunku. Ta część artystycznéj roboty jest bez zarzutu; co najwyżéj, możnaby powiedzieć, że jest zbyt szczegółową. Zważywszy jednak, że w angielskim obrazie kolor stosunkowo gra rolę podrzędną, zatém taka szczegółowość w rysunku jest konieczną, bo stanowi sposób uwydatniania różnic w oddaleniu przedmiotów względem siebie. Gdyby to nie istniało, kompozycya w obrazach byłaby więcéj jeszcze nie jasną niż jest nią dla braku kolorytu. Co do kompozycyi, to rzecz naturalna, że Anglikom brak fantazyi zdumiewającéj śmiałością i zgromadzenia wszystkich szczegółów do jednego punktu ciężkości w obrazie, dla wydobycia siły i wywołania jednego ogólnego wrażenia. „Nędzarze angielscy czekający na otwarcie nocnego asilum“ Fildes'a są smutnymi ludźmi, zziębniętymi, którzy tak dobrze mogliby czekać na rozpoczęcie nabożeństwa jak na ciepły nocleg. Nie czuć tu nędzy, któraby w widzu wywołała współczucie, przejęła zgrozą, pobudziła do czynu pomocy, nie czuć tu nędzy, odrażającéj swoją nagością fizyczną i cierpieniem moralném,—nie czuć tu głodu i braku dachu, ale poddanie się smutnéj konieczności, któréj jedna chwila koniec położy.

„Przeciwności“ Sant'a są bardzo miłym obrazkiem. Po kilka razy wracałem się do tego muru wypełniającego ramy, z kawałkiem oberwanego tynku, do téj ślicznéj, melancholicznéj dziewczyny z oczami błędnie patrzącemi w daleką przestrzeń i bezsilnie opartéj o mur, do tego psa leżącego u nóg swéj pani i do tego koszyczka kwiatów stojącego na ziemi. Za każdym razem wpatrywałem się w to łagodne oblicze zamyślone, nie zdając sobie sprawy jakie uczucia grają w jéj płaskiéj, może schorowanéj piersi. Nie przeszkadzała mi licho namalowana ciemna sukienka, nie pozwalająca się domyślić czy pod jéj fałdami kryją się kształty ciała, ani pies energiczniéj namalowany niż dziewczyna, bo twarz była piękna o spokojnym, ła-

godnym wyrazie. Ale gdzież „przeciwności?“ Wszakże ta dziewczyna pewnie nic nie jadła; kwiaty nie sprzedane, choć na wieczór się już niesie: może w domu chora matka czeka na kawałek chleba lub lekarstwo, a tu biedna dziewczyna nie znalazła kupców lub serc litościwych. W obrazie brak prawdy realnéj, brak współczucia artysty dla nędzy. Sant taką dziewczynę widział, ale widział ją więcéj ładną niż biedną; zrobił więc miły obrazek salonowy: poświęcił poezyą prawdy dla wrażenia przyjemnego widoku.

„Praczki“ Prinsepa niosą bieliznę do prania. Nie ma kwestyi że ją niosą do prania, bo zstępują z gór, a rzeczka pewnie dołem płynie jak zwykle. Tymczasem praczki są tak czyste, jak bielizna którą w ręku trzymają. Nie żądam bynajmniéj od p. Prinsepa, aby malował brudne praczki i brudniejszą jeszcze bieliznę, kiedy mu się podoba namalować, je czystemi. Ale po cóż posyła praczki z bielizną do wody? To już przesada, nie dająca się usprawiedliwić ani rzeczywistością, ani wymaganiami sztuki. Dla pokazania wdzięku w czystéj naturze nie potrzeba praczek, jako przedmiotu obrazu.

Angielscy malarze nie potrzebują go nawet szukać, bo typ ich kobiét, byle wiernie przeniesiony na płótno, budzi w człowieku najrozkoszniejsze uczucia spokoju, łagodności, świeżości i wyrazu inteligencyi, które razem wzięte stanowią niczém niewysłowiony wdzięk. „*Konstancya*“ i „*Margerita*,“ Calderona, jako portrety, czy téż fantazyje, tchną taką rozkoszną naiwnością, że starać się opisać przez nie wywołane wrażenie, bodaj nawet zachowując miarę, byłoby to popaść w sentymentalizm. Nie mówię jednak aby obrazy Calderona były czemś istotnie lepszém nad całą angielską szkołę. Więcéj w nich tylko słodyczy, lepszy kolor niż w innych obrazach, mniéj szczegółowości w fałdowaniu jedwabnych sukien, ale téż za to żadnéj siły. Ale bo któż w angielskich obrazach szuka siły. Krajobraz czysty i miły, zwierzęta domowe czyste i miłe, woda czysta i miła i dramat historyczny lub obyczajowy czysty i miły. Każdą krowę lub kozę Cooper‘a można wprowadzić do salonu i bawić się z nią jak z laleczką. Dawisa łąkę z kwiatami urządziwszy w pokoju, możnaby wprowadzić całą rodzinę, byka, krowę i ciele, bez obawy aby zwierzęta zdumione zmianą otoczenia poruszyły się z miejsca i stratowały tak starannie wyhodowaną roślinność. Morza, góry, doliny, lasy, słowem cała natura, pomimo usiłowań artysty do uwydatnienia częstokroć ich dzikiego charakteru, wywołują w widzu zawsze tylko przyjemne wrażenie. Widocznie te zalety, czy wady, tak dalece leżą w usposobieniu angielskich malarzy, że po długiém i częstém do-

piéro wpatrywaniu się w ich obrazy, można rozróżniać je i rozdzielać na lepsze i gorsze.

Ze wszystkich malarzy domowych zwierząt, a jest ich nie mało, najwydatniejsze miejsce zajmuje Landseer. Jego *namiot indyjski*, okrywający białą klacz z gniadym źrebakiem, i dwie małpy, nie jest arcydziełem malarstwa rodzajowego, ale w każdym razie świetnym dowodem znajomości zwierząt i umiejętności uchwycenia ich charakteru. Nic w tém nie ma dziwnego: kraj hodowców, oprócz pięknych i poprawnych ras, wydaje, jako rezultat, wybornych malarzy zwierząt. Na liczbę téż idą oni zaraz po portrecistach. Łatwo zrozumiéć, że Anglicy nie mając upodobania do pięknych, nagich ciał człowieka w obrazie, najwięcéj i najlepiéj swoje talenta poświęcają portretom. Ale czasy Velasquezów i Van Dycków minęły na zawsze. Portrety są dziś zyskownym kawałkiem chleba, nie zaś polem dla artystycznéj indywidualności. Wszystkie one prawie i we wszystkich krajach, różnią się odmiennością rysów portretowanych osób, nie zaś odmiennością charakterów portretujących. Mała zaledwie liczba artystów, cieszących się europejską sławą, piętnuje portrety indywidualnością swego talentu, który zresztą rzadko zużytkowywa na tém polu. Do takich w Anglii zaliczyć trzeba Millaisa i Watts'a. Nie w portretach jednakże leży ich wielkość, lecz w odrębności szkoły, na czele któréj stoi Millais.

Szkoła wyrozumowanego malowania jest dziwactwem, nie mającem właściwego gruntu pod sobą dla sztuki. Sztuka jest tylko odtworzeniem we właściwéj formie wrażeń odebranych od natury. Ile razy artyści w całym przebiegu historycznym odstępowali od tego prawa, tyle razy w sztuce rozpoczynał się upadek. Tak było z malarstwem włoskiém, tak samo z flamandzkiém. Dopóki mistrze patrzyli na naturę i od natury uczyli się malować, dopóty sztuka była potężnym wyrazem ich uczuć. Z chwilą, kiedy zaczęli uczyć się z obrazów, naśladować i pożyczać u drugich tego, co nie leżało w ich charakterze, sztuka padała z powodu martwoty pomysłów i braku siły w wyrazach. Anglia jako kraj sztuki, tak jeszcze jest młodą, tak niewyczerpaną w sposobach odczuwania natury, że chęć odbudowywania jakiejś zamarłéj szkoły malowania jest dziwactwem nie mającém żadnego celu. Nikt nie wątpi, że mistrze przed Rafaelem byli wielcy; ale dla ich zalet niedościgniętych i wad poprawionych przez następne pokolenia, odbudowywać przebrzmiałą szkołę, jest to cofać się z drogi postępu, wyrzec się prawdy i pozbawić się możności przemawiania do współczesnych językiem zrozumiałym. Używanie archaizmów nie jest sztuką, ale sztucznością o tyle tylko znośną, o ile nie jest śmieszną. Jak w tym razie, szkoła prerafaeli-

stów angielskich jest śmieszną. Od czasu Tycyana nauczyliśmy się szukać w obrazach perspektywy powietrznéj, ciał malowanych z natury i skracania się krajobrazów lub z różnych punktów widzianych przedmiotów. Prerafaeliści angielscy uznają to za zbyteczne, a może nawet nie właściwe. Wszystko co jest na ich obrazie, znajduje się na pierwszym planie i dzięki wymaganiom szkoły, przedstawia się widzom, jako powierzchnia płaska. Prawda prerafaeliści, tak widzieli naturę. Ale mieli oni przedewszystkiém wyraz w tych twarzach płaskich, którego anglicy nie mają. Zresztą, przypuścimy, że ta szkoła, mająca podporę w XV wieku, jest zupełnie dobrą i że panowie Millais, Watts, Jones i inni są jéj mistrzami. Naturalnie uczniowie ich, pomimo całego przejęcia się wielkością nauczycieli, zaczną w malowaniu szczegółów wprowadzać pewne zmiany. Nim wiek upłynie anglicy na miejscu prerafaelistów, będą mieli szkołę rafaelistów, obok której powstanie szkoła Tycyanistów, Michała Anioła itd. W tym samym mniéj więcéj czasie w Irlandyi lub Szkocyi objawi się potrzeba naśladowania szkół flamandzkich. Potém, to wszystko się przeżyje i powstaną wielcy frazeologowie malarscy z początku naszego wieku, którzy padną pod naciskiem dzisiejszych naturalistów. Tym sposobem, Anglia zatrzymana w drodze naturalnego rozwoju sztuki przez prerafaelistów, za trzy lub cztery wieki będzie miała taką sztukę, jaką cała Europa ma już dzisiaj. Czyżby więc nie lepiéj było od razu cofnąć się przed skutkami reakcyi i, korzystając z ducha czasu opanowywującego świat cały, pójść z nim ręka w rękę, tembardziéj, że prerafaeliści przeniewierzają się sami swéj szkole. Wszakże Millais maluje rodzajowe sceny i krajobrazy, w których nie dopatrzysz się nawet prerafaelizmu. Owszem, jego podróż w kajucie okrętowéj i zimny Październik są perłami realnéj poezyi. Starzec słuchający słów pisma świętego, bo cóż innego Anglik mógł by słuchać na okręcie, jako wyraz żalu za opuszczonym krajem, jako wyraz przejęcia się wielkością myśli z księgi mądrości, jest obrazem wysoce psychologicznym i charakterystycznym ze względu na wirtuozowską rękę malarza. *Zimny Październik*, to arcydzieło angielskiego krajobrazu. Wysokie trzciny obsiadły w około szerokich wód i przekomarzają się z jesiennym wiatrem nielitościwie targającym ich liście. Nie jest to ów wicher co obala, łamie i niszczy, co wyje przeraźliwym głosem czarownic harcujących na szczytach lub w dziuplach gór, ale jest to zimny ruch powietrza, ścinający krew w żyłach ludzi i zwierząt, ów posępny zwiastun powolnéj śmierci dla roślinności. Na obrazie nie ma ludzi, nie ma zwierząt, ani ptaków. Lecz postawcie na nim konia, a zobaczycie jak sierść na nim zaraz się podniesie, jak on odwróci głowę od wiatru i spuściwszy ją na

dół skuli się w niekształtne formy. Pan Millais jednak ma dobre serce. Trawy i trzciny są jedynemi mieszkańcami wodnistéj okolicy, ale i to dosyć, aby obudzić współczucie na widok tych drżących liści i smutnie pochylonych łodyg trzcinowych. Jeden zarzut jaki można postawić artyście, jest zbyteczna sumienność w rysowaniu pojedyńczych liści. Wszakże cała ta roślinność rusza się lub chwieje pod naciskiem gwiżdżącego wiatru. Niepodobna więc liczyć liści na łodygach lub żyłek na liściach, skoro one wciąż zmieniają swoje miejsce. Ale Millais jest Anglikiem nie przepuszczającym żadnego szczegółu i Millais jest prerafaelistą rysującym szczegóły bez uwzględnienia oddalenia przedmiotu od widza. W każdym jednak razie twórca krajobrazów, scen z życia, obrazów historycznych, twardych portretów i marzących fantazyj jest najznakomitszym malarzem w Anglii. Koloryt jego obrazów jest najlepszy, rysunek równie mistrzowski jak u wszystkich znakomitszych malarzy angielskich, a wyraz zaklęty w twarze ludzi, zmarszczki wód, lub liście drzew stawia go na równi z artystami stałego lądu.

Po nad całą szkołą angielską stoi L. Alma Tadema. Anglicy nie tylko kupują arcydzieła tego mistrza klasycznéj sztuki, ale kupili twórcę samego. Alma Tadema jest z urodzenia Holendrem, a z talentu Rzymianinem i Grekiem. Dziesięć niebieskich płócien tego mistrza wisi w angielskiéj sekcyi, odskakując myślą, uczuciem, kierunkiem technicznym i przedmiotem obrazów od całego malarstwa purystycznéj wyspy. Inny świat i inni ludzie mieszczą się w tych małych rozmiarami ramach. Swoboda Grecyi, powaga Rzymu i nieszczęścia plag Egiptu przemawiają językiem swojego czasu i swojego życia. Nikt głębiéj nie wniknął w to życie ojców cywilizacyi dzisiejszéj i nikt realniéj nie przedstawił go pędzlem od Tademy. Zdaje mi się, że ci ludzie po dwudziestu kilku wiekach wstali z grobów, odziani w swe szaty i zbroje, wierni tradycyom i przyszli powiedzieć jak wyglądali w rzeczywistości. „Taniec nasz nie był sztywny, uczty nie pozbawione namiętności, powaga nasza była bezpretensyonalną, a koturny i togi nie przeszkadzały swobodnemu życiu.“ Alma Tadema nie jest suchym kronikarzem starożytnych czasów, ani deklamatorem bezdusznym na temat rzymskiego lub greckiego życia, ale jest Flaubertem w malarstwie. Jak na podstawie *córki Hamilkara* Flauberta można malować wspaniałe i straszne obrazy z kartagińskich wojen, tak pod wpływem obrazów Almy Tademy można pisać powieści obyczajowe z owych czasów. Jego postacie żyją, mówią, ruszają się, tańczą, piją, śpią, a otoczenie ich z dziedziny martwéj natury dopomaga do uplastycznienia tego życia. Nie podobna malować Greka lub Rzymianina, nie wprowadzając je-

go ubiorów, sprzętów domowych, sztuki rzeźbiarskiéj i architektonicznéj do obrazów. U Tademy téż wszystkie te szczegóły nie są pominięte, ale nie usuwają człowieka na drugi plan, robiąc go manekinem do noszenia bogato drapowanych sukien. Mimowolnie przy oglądaniu obrazów Almy Tademy przychodzi na myśl Siemiradzki i chęć zestawienia ich obok siebie. Przedmiot wspólny obu upoważnia do tego, a sposób odtwarzania zmusza. Rzymianie Siemiradzkiego stroją się w szaty, okrywają się przepychem złota, drogich kamieni i strusich piór: rzymskie mury, rzeźby, fontanny, marmurowe baseny, płasko i wypukłorzeźby, perłowe masy, słowem cała martwa natura rzymskiego pałacu jest bohaterem obrazu, a ludzie są tylko figurantami, wypełniającymi miejsce pomiędzy murami lub klasycznemi rzeźbami. Alma Tadema maluje rzeczy, ale maluje je dla człowieka, który wśród nich nie ginie, nie maluje, ale owszem rośnie przeświadczeniem o swéj wyższości.

Taniec pyrrhyjski odbywa się w arenie otoczonéj marmurowemi filarami, przed widzami, siedzącymi na kamiennych ławach i w zbrojach zdobiących ciało tańczących. Przedmiotem tu jest taniec, więc ruch i wyrazy na twarzach tańczących i widzów. Martwa natura nie wychodzi po za doniosłość akcesoryów uplastyczniających charakter epoki. Oko napatrzywszy się człowiekowi, pomału zaczyna błądzić po marmurach, kamieniach tarczach i dzidach, odkrywając w nich archeologiczną i materyalną prawdę. W *uczcie rodzinnéj*, w miarowych rzutach tańczący biesiadnicy, przesuwają się około sprzętów domowych i dzieł sztuki rzeźbiarskiéj nie zrzekając się swéj ważności w obrazie na rzecz mistrzowsko wykończonych marmurów, zgniłą zielenią pokrytych naczyń miedzianych, lub po rogach stojących kandelabrów.

Na *posłuchaniu Agrypy* duma cezara zstępującego poważnie ze schodów, poddańczy pokłon służalców i trwożliwa niepewność na twarzach ludzi oczekujących przybycia Agrypy na sam dół pałacu, są genialném pochwyceniem momentu i wyrazów charakteryzujących różnice pomiędzy znaczeniem aktorów w téj scenie. Widać, że artysta umie nie tylko malować rzeczy i rysować ludzi, ale odtwarzać także wewnętrzne walki i uczucia rozlewające się na twarze i urabiające kształty ciała odpowiednio do chwili.

Z obrazu *Klaudiusz'a* nie tylko los tego cezara, ale i moralną jego wartość z łatwością czytać można. W wielkiéj sali, do któréj skrył się wstrętny mąż Messaliny leżą dwa trupy na ziemi. Z za kotary wygląda przerażona twarz Klaudiusza, a gromada służby i żołnierzy z poddańczym pokłonem stoi we drzwiach i szuka oczami

cezara. Realnie pomyślana scena pod względem malarskim jest bez zarzutu. Najwyżéj jednak talent Tademy wzniósł się w *Bachantce po tańcu, w galeryi malarstwa i w galeryi rzeźby*. Prawda ciał rywalizuje z wyrazami twarzy i skończeniem szczegółów. Trzeba widzieć tę leżącą na skórze dziewczynę, aby pojąć co genialny malarz zrobić potrafi z tak prostego i zwyczajnego motywu. Nie tylko czuć tu zmęczenie fizyczne w całém ciele rzuconém bezsilnie na ziemię, ale czuć także niezastygły jeszcze ogień, który przed chwilą palił tancerkę. Krew wzburzona już się uspokoiła w żyłach, tylko stopy jeszcze nabrzmiałe i twarz rozgorączkowana. We wszystkich obrazach od początku do końca ta sama prawda i to samo mistrzowstwo malarskie w rysunku i kolorycie. Jeden tylko zarzut możnaby postawić Tademie, że w perspektywie powietrznéj nie jest takim mistrzem jak w innych szczegółach, co témbardziéj uderza i przeszkadza, że na takich małych przestrzeniach, na jakich jego sceny się odbywają, bez dostatecznie uwzględnionéj perspektywy, przedmioty zbyt się mięszają z sobą i nie grupują jasno. W każdym jednak razie jest to zarzut posunięty do pedantyzmu i nie ujmuje Almie Tademie nic z jego sławy, tak samo jak nieprzyznanie mu nagrody przez Jury nie stawia go niżéj od całego malarstwa angielskiego.

Pomimo wydatnego stanowiska, jakie malarstwo angielskie zajmuje w dziale sztuk pięknych, Anglicy nie przestają być dziwakami. Jedném dziwactwem jest, jak to już wspomniałem, prerafaelizm, a drugiém malowanie akwarelami. Komu naprzykład przyszłoby dziś do głowy naśladować romantycznych kochanków z średnich wieków i wchodzić przez okno do domu pani swego serca, kiedy może wejść przez drzwi otwarte swobodnie i bez narażenia się na niebezpieczeństwo? Odpowiedź nie pozostawia żadnéj wątpliwości. A jednak Anglicy robią coś podobnego. Zamiast wchodzić do świątyni kolorów pewną drogą farb olejnych, używają nadludzkich wysiłków, aby dostać się tam za pomocą akwareli, pokonywują największe trudności techniczne, wypływające z natury tych farb, aby wydostać z obrazu wrażenie, jakie daje farba olejna. Prawda że ich akwarele są najznakomitszemi w świecie, ale to zawsze nie przeszkadza aby były podobnemi do słabych obrazów olejnych. Gdyby Angell, Dobson, Gilbert, Marsch a zwłaszcza największy z nich kolorysta Levis, malowali olejno, obrazy ich zdumiewałyby świat prawdą natury, energją i skończeniem, kiedy tymczasem wszystkie te zalety odkrywać w nich trzeba drogą porównania z trudnościami, jakie pokonać musieli przy użyciu farb wodnych. Naturalnie co do charakteru swego i kierunku, akwarele angielskie noszą na so-

bie te same cechy co malarstwo olejne. Nawet prerafaelizm ma tutaj swoich gorących wyznawców i wysoce utalentowanych krzewicieli teoretycznéj szkoły. Najlepsi jednak z nich jak Dobson lub Levis są naturalistami i przedewszystkiém znakomitymi kolorystami. Na zakończenie nadmienić muszę, że w Anglii malowanie akwarelami zajmuje w wychowaniu takie same miejsce jak u nas gra na fortepianie, w skutek czego znakomici akwareliści angielscy, rekrutują się z olbrzymiéj masy aspirantów do sztuki.

Stany Zjednoczone Ameryki wystawiły sto pięćdziesiąt sześć okazów. Jak na kraj nie mający dotąd nietylko geniuszów malarskich ale nawet zamiłowania do sztuki, liczba to dość pokaźna. Ale co o nich powiedzieć. Nic, coby talenta amerykańskie wyróżniło z masy artystów europejskich i nic, coby zapowiadało jakąś odrębną indywidualność,ześrodkowywującą w sobie cechy swego kraju i narodu. Wszyscy, czy to Beeckwith, czy Tomphius, są tylko uczniami. Nie mam tu na myśli niewyprawnéj ręki w technice, lub naiwności w kompozycyi: bynajmniéj. Amerykańscy malarze są bardzo zręcznymi rysownikami i dobrymi kolorystami, ale na ich utworach znać aż nadto cechy szkół z jakich wyszli. Ten się uczył w Monachium, ten w Rzymie, a tamten w Paryżu. Ten naśladuje Dietz'a, tamten Bonnata, a ten znów Pasini'ego itd. Czyli jednem słowem malarze amerykańscy mają zalety swoich nauczycieli europejskich, mniéj ich oryginalność, i dopóki będą tylko naśladować ideały starego świata, a nie wnikną w charakter swego narodu, nie ukochają tego co ich naród kocha, jeżeli on kocha co innego jak interes materyalny, dopóty ich sztuka będzie czémś słabém, bezcharakterném, jak to ma miejsce obecnie.

WŁOCHY.

Dawna ojczyzna malarstwa jest dziś dla niego grobem. Czy to jednak słusznie? Czyż nie ma ani jednego nazwiska na całym półwyspie, któreby ratowało honor artystycznych Włoch? Czyż nie ma ani jednego talentu, któryby wybił się nie tylko nad mierność, ale jeszczeześrodkował w sobie cechy charakteryzujące dzisiejsze Włochy malarskie? Czyż ojczyzna Rafaela, Tycjana, Michała Anioła nie jest w stanie wydać nowéj sztuki w wieku jéj odrodzenia? Zapewne. W pewnych kierunkach malarstwo włoskie jest w zupełnym upadku. Ani jednego obrazu historycznego, ani jednéj kompozycyi alegorycznéj, ani jednego dramatu, któryby przykuł oko do obrazu

i zelektryzował widza. To co jest, nie wychodzi po za granicę najzwyczajniejszéj mierności. Ale Włochy mogą się pocieszyć. Wielkie malarstwo nie tylko u nich nie ma przedstawicieli. Każdy naród wystawił w tym kierunku okazy, z których kilka zaledwie na całą masę przedstawia bardziéj zajmujący widok, większa zaś część jest tylko martwém usiłowaniem wzbicia się nad tłumy, schlebiające sztuce rodzajowéj. Nie można więc Włochom robić zarzutu z tego, co nie jest również udziałem innych krajów, tak jak nie można mieć im za złe, że malują to co im się podoba, nie zaś to cobyśmy my chcieli.

Włochy są przedewszystkiém krajem przecudownéj pogody. Doktorzy wysyłają tam chorych na suchoty, turyści jadą dla napawania się wdziękami krajobrazów, a artyści całego świata przychodzą tam dla studyów natury i galeryj starych mistrzów. Cokolwiek więc typowego Włochy miały u siebie, artyści roznieśli po całym świecie i dla Włochów nic się nie zostało. Wystawi kto *laguny*, widzieliśmy; namaluje krajobraz górski—widzieliśmy; przedstawi typ pięknéj Włoszki—widzieliśmy; przeniesie na płótno ruiny zamku—widzieliśmy; słowem widzieliśmy wszystko, począwszy od natury, a skończywszy na starych galeryach.

Gdyby Włochy nie miały tyle przyciągającéj siły dla cudzoziemskich artystów, włoskie malarstwo budziłoby wielkie zajęcie na Wystawie. Wszakże światła jest tam tyle, tyle klasycznych typów twarzy, tyle pięknych krajobrazów i scen poetycznych z pod prawdziwie włoskiego nieba, że niepodobna powiedzieć, aby Włoskie dzisiejsze malarstwo nie było nic warte. A jednakże przed każdym obrazem usłyszéć można te sama zdania: jakież to znane! cóż to za sztuczny sentymentalizm! jakież to nienaturalnie piękne! ah, co za konwencyonalizm! i t. d. bez końca, a zawsze słusznie. I dlaczego?... Bo Włosi nietylko wybiérają z natury przedmioty najpiękniejsze same przez się, ale jeszcze oczyszczają tę naturę od całéj jéj przypadkowości, nie uznawanéj za *dostatecznie* estetyczną. Żadne drzewo nie może być krzywe, lub miejscami z poobdzieraną korą, żadne zwierzę nie może mieć innéj jak tylko lśniącą skórę, żaden człowiek na swojéj twarzy nie może nosić znamion wykluczających go z rzędu pięknych ludzi. W którąkolwiek stronę zwrócimy oko wszędzie dostrzeżemy tę samę wypięknioną, wyróżowaną naturę i pozbawioną prawdy. Zupełny kontrast z monachijskimi malarzami. Tam linia w obrazie zaledwie tolerowana, tu doprowadzona do ideału, tam kolor brudny, tu jasny i przejrzysty, tam człowiek brzydszy niż w rzeczywistości, tu piękniejszy a raczéj ładniejszy. Nie mam jednak zamiaru przez to porównanie komplementować

Włochów ze szkodą Monachijczyków. Bynajmniéj. To co Włosi robią jest najzwyczajniejszym konwencyonalizmem. Jest to wyrzeczenie się prawdy koloru ciała na rzecz wymyślonéj piękności skóry, podobnéj prawie zawsze do starannie wypolitùrowanéj powierzchni lalki porcelowanéj: jest to zrzeczenie się rysunku wyrażającego siłę i silne uczucie na rzecz okrągłych kształtów, które same przez się nic nie tłómaczą w obrazie: jest to doprowadzenie kompozycyi, rysunku i kolorytu razem do bezmyślnéj harmonii, pod którą nie czuć świętego ognia artysty, ani jego indywidualnéj duszy. Całe Włoskie malarstwo przedstawia się jako skład ładnych figur i nic więcéj.

Spójrzmy na obraz Didioni'ego *Raison d'Etat.* Aby widz mógł odczuć całą dramatyczność sceny, potrzeba aby wiedział, że płacząca na fotelu Józefina jest istotnie Józefiną; że pod tą atłasową suknią spoczywa ciało prawdziwe, że na jéj zasmuconéj twarzy może się zarysować silne uczucie; potrzeba nareszcie aby Napoleon I czémś innéın zwracał uwagę niż pięknym frakiem. *Raison d'Etat*, to przecudowny kobierzec zielony, matowy, strzyżony, przerabiany złotem, tak prawdziwy że na nim chce się człowiekowi położyć, *Raison d'Etat*, to atłasowe suknie, to fotele misternie rzeźbione, to porcelany z artystycznéj fabryki, ale nie dramat małżonków cesarskich rozchodzących się z powodu bezdzietności. Jakże nareszcie na téj twarzy ma się odbić jakikolwiek bądź wyraz, kiedy to nie jest twarz prawdziwa a porcelanowa maska. Potrzebaby na niéj coś namalować, gniew, oburzenie, czy żałość, a wtedy dopiéro przyciągnie oko widza, bo tak jak obecnie jest, nie ma racyi znajdowania się na obrazie szumnie zatytułowanym: *Raison d'Etat.* Nie lepszy a nawet gorszy jeszcze jest obraz Induno'a *Wiktor Emanuel*, zakładający pierwszy kamień pod galeryą w Medyolanie. Kilkadziesiąt portretowanych figur wzajemnie popycha się na obrazie bez żadnéj przewodniéj myśli. Induno namalował okolicznościowy obraz, w którym jest wszystko oprócz malarstwa. Na nieszczęście nietylko Włosi posiadają takich okolicznościowych panegirystów i nietylko Włosi mają upodobanie w podobnego rodzaju fabrykatach, za które monarchowie płacą grube sumy, sądząc że popierają sztukę. Dodajmy do tego słodki krajobraz, oświecony czerwonéın przy zachodzie słońcem, z górami starannie wyszlifowanemi, drzewami powycinanemi z zielonéj masy, a będziemy mieli typowe malarstwo Włoskie, lakowate, wymuskane, chore i wykolorowane na wesołość. Po nad nim stoi kilku artystów, którzy każdém pociągnięciem pędzla różnią się od całéj rzeszy. Najpierwsze miejsce bez zaprzeczenia zajmuje Pasini, któremu motywów dostarcza Wschód. Jedena-

ście małych płócien pali gorącem kolorów zharmonizowanych do ideału natury. Najsilniejsze barwy leżą obok neutralnych i nie wyskakują z obrazu, ani krzyczą nienaturalnością ułożenia. Na ogromnéj płaszczyźnie spieczonych przez słońce traw, stoi dwóch jeźdźców na koniach. Dać im ostrogę a polecą wskok. Ale nie, oni stoją; bo u Pasiniego wszystko stoi. Wszystko jest prawdziwe i żywe, bo prawdziwy jest rysunek i kolor żywy, ale nic się nie rusza. Nie ma ruchu mięśni, tylko ruch kolorów. Oko gubi się na *poniedziałkowym* targu w Konstantynopolu wśród tysiąców najgorętszych barw rozrzuconych na ziemi i na ubiorach ciał i głów Tureckich handlarzy. Ile razy Pasini maluje konia, człowieka w barwnym, bogatym stroju wschodnim, ozdoby kolorowane maurytańskiego domu, tyle razy jest nieporównanym kolorystą, silnym i żywym rysownikiem. Ale jeżeli scena odbywa się na tle szarego meczetu lub naprzykład na górach Libanu, tam jest już sztywny i zimny, każde pociągnięcie pędzla jest wypieszczone, a kolor nie rzucony na płótno z tą śmiałością mistrza, który się pali do barwności i mimowolnie tworzy arcydzieła, nie wiedząc nawet dla czego położył w tém miejscu kolor czerwony, lub żółty, zamiast różowego lub fioletowego. Na obrazy Pasiniego można patrzyć z tym samym zachwytem, z jakim się słucha pełnych brzmień muzyki, nie zdając sobie sprawy wcale z tego co one wyrażają. Po odejściu z Wystawy zostaje się w głowie rysunek figur i koloryt, który tam gdzieś o wiorstę drogi mieni się daleko i leży na turbanie czerwoną plamą, nie zbliżając się do widza więcéj niż człowiek lub koń. Taka w nim prawda i takie pochwycenie natury, w któréj wszystko jest zharmonizowane, najgorętsze barwy z najzimniejszemi refleksami! Ale takich mistrzów koloru jak Pasini nie wielu świat cały liczy i nie wiele na siłę może z nimi się mierzyć.

Drugim mistrzem włoskim jest de Nittis. Rzecz szczególna. De Nittis maluje to czemu się poświęcają najlichsi malarze na świecie, co robią tuzinkowi partacze na obstalunek mieszczańskich krezusów, lubiących widzieć swoje pałace i powozy na obrazach. De Nittis maluje ulice, mosty, domy, gmachy publiczne i cały zewnętrzny Londyn. Dziwne upodobanie do tematu i do mgły angielskiéj.

Nie dość mu na tém, że przez mgłę sylwetki ludzi, koni, powozów i domów ledwie wydostają się z obrazu, jeszcze z pod żelaznego mostu puszcza tumany pary, która siwym całunem pokrywa to, co i bez tego trudno rozpoznawać się daje. Nie potrzebuję dodawać, że typy Anglików z nudotą przechadzających się po parkach i ulicach Londynu są bardziéj angielskie niż je sami Anglicy malują. Z tysiąców malarzy, którzy do téj pory malowali miejskie sceny zwy-

czajnego życia, jeden tylko De Nittis jest malarzem i nie wywołuje śmiechu politowania nad swoją twórczością. Dla talentu nie ma granic, którebyby mogły z góry określić jego działalność, ograniczyć sferę lub narzucić temat. Już od czasu powstania flamandzkiéj szkoły najpospolitsze sceny miały wielkich przedstawicieli, którzy rozszerzyli pole tworzenia, nie troszcząc się o to, co prawodawcy estetyki powiedzą na to.

Wierzę, że niejeden kapłan sztuki oburzyłby się na mój zachwyt nad Moradei'ego rodzajowym obrazem: *Jak się to skończy?* Nie potrzebuję mówić, że obraz ten jest najlepiéj malowanym w całéj sekcyi Włoskiéj, abstrahując od Pasini'ego. Nie o kolorze tu jednak chcę mówić, ani o perspektywie powietrznéj, któréj brak, ale o wyrazie twarzy i zmyśle obserwacyjnym Maradei'ego. Za wązkim stołem siedzi młody. Włoch sparty łokciami, z wyszczerzonemi głupowato białemi zębami i filuternie a namiętnie świecącemi oczami. Przed stołem młoda dziewka wiejska, tyłem do niego zwrócona, słucha co on jéj mówi. Nie śmie się obrócić do niego twarzą, tylko gniecie jedną ręką małego kota, a palec drugiéj trzyma w zębach i oczami łyska z ukosa w stronę zalotnika. *Jak się to skończy?* Nie pytajcie mnie, ale tych tłumów stojących przed obrazem, którym w jednéj chwili twarz się rozjaśnia, oczy mimowolnie przysłaniają powiekami, a usta składają do rozkosznego uśmiechu. Nie potrzebowałem patrzyć na obraz, ale na widzów, na twarzach których malował się bezwiednie wyraz uczuć, owładających tą parą zalotników, taka w nich psychologiczna prawda i taka świadomość ruchu mięśni, a przytém malarsko biorąc, takie mistrzowstwo pędzla i rysunku w figurach. Wnętrze izby i szczegóły po za ludźmi nie mają w sobie tych zalet, przez co obraz jako całość bardzo wiele traci, w każdym jednak razie jest arcydziełem rodzajowego obrazu i broni Włochy od zarzutu mierności, gdyż nietylko jest utworem wysoce artystycznym, ale pod względem kolorytu i typów jest nawskroś włoskim, nie pozwalającym go zaliczyć do żadnego innego kraju.

Na zakończenie wspomnieć tu jeszcze muszę o dwóch malarzach: Bartesago i Giorgi. Pierwszy z nich maluje wiejskie sceny bezpretensyonalne i proste w gorącym słońcu, z trudném do uwierzenia mistrzostwem kolorytu i rysunku, na odległość kilku kroków. Z blizka żadna noga konia, jeżeli nawet ma ich czasem cztery, żadna głowa, żaden wóz nie jest podobny do siebie i do tego czém jest na obrazie z pewnego oddalenia.

Drugiego kilkonasto calowe płótno, podzielone na dziewięć małych prostokącików przedstawia pełne humoru *wspomnienia z Włoch.* Pomimo swéj miniaturowéj wielkości, drobiazgi te nie przepadają

w masie i wołają głośno o talencie swoich twórców. Podkreślając wrażenia z galeryi Włoskiéj, otrzymuję sumę, z któréj dla jéj artystów wyprowadzić łatwo pocieszający wniosek, że gdyby nie byli zalani masą przeestetyzowanych fabrykantów sztywno idealnego malarstwa, mogliby z łatwością stanąć obok dzisiejszych mistrzów Francyi. Ale w tym stanie, jaki dzisiaj widnieje w obrazach Włochów, talenta Rzymu, Wenecyi i Medyolanu długo będą musiały walczyć z kierunkiem obecnym, zanim go podkopią i pójdą swobodnie drogą, na jaką ich rzuca temperament, nie zaś estetyczne teoryjki. Czy Włochy jednak mają na to dostateczną ilość talentów, trudno przesądzać z kilku wspomnionych wyżéj malarzy, z których najznakomitsi: Pasini i de Nittis nie malują Włoch wcale i jakkolwiek dzisiejsi kierunkiem z powodu expatriowania się, twórczością nie mogą wywierać dość silnego wpływu na młode talenta swego kraju.

NIEMCY.

Z powodu bliskiego sąsiedztwa znamy Niemcy lepiéj niż inne kraje, wszelkie więc uwagi nad życiem tego narodu byłyby zbytecznemi. Zresztą po co?.... Wszak życie i natura Niemca tak mało mają wspólnego z jego sztuką! Nikt lub przynajmniéj mało kto mógłby powiedzieć, „że Niemiec nie jest ciężki, rubaszny, ordynarny, powoli myślący i mało wrażliwy.“ Przeciwnie, kto ośmieliłby się zaprzeczyć, że malarstwo niemieckie nie jest najidealniejsze na świecie? Nikt. I istotnie tak jest. Malarze niemieccy są przedstawicielami myśli i uczuć w oderwaniu od świata zmysłowego. Na obrazach ich nie ma ludzi, nie ma zwierząt, nie ma krajobrazów, ale są wielkie idee; nie ma konturów, ale jest linja; nie ma kolorytu, ale jest przyjemne zafarbowanie płaszczyzn pomiędzy linjami. Patrząc na obraz Corneliusa lub Kaulbacha trzeba się wznieść wyżéj niż można: trzeba zapomnieć o ogólnych rysach przedmiotów ze świata zwierzęcego, roślinnego i mineralnego i w człowieku, koniu lub drzewie nie widzieć człowieka, konia lub drzewo, ale idee do wyrażenia których one służą, a które są zupełnie po za ich naturą. U obydwóch tych mistrzów rysunku nie ma najważniejszéj rzeczy w sztuce—prawdy. Rysunek śmiały u Corneliusa, a dokładny u Kaulbacha jest czysto ich wynalazkiem. Obydwaj komponowali kształty podobne do natury, ale tylko w ogólnych zarysach i obydwaj kształty te wyginali do takich ruchów, jakich pojęcie wyrodziło się w ich głowach, nie zaś na podstawie ruchów obserwowanych w naturze. Nadto, ponieważ nigdy nie zniżali się do przedmiotów codziennego ży-

cia i z niego nigdy nie czerpali motywów, ale starali się wyrażać wielkie idee i wielkie uczucia całéj ludzkości, ztąd kartony ich i obrazy stały się ogólnikami przedstawionemi za pomocą ogólników. Dla współczesnych, kiedy sztuka nowożytna powstawała po dwuwiekowém śnie z kolebki, prace tych mistrzów mogły i powinny były wywoływać w publiczności szerokiéj nawet olbrzymi entuzyazm. Były to pozostałości po czasach pseudo-klasyków w literaturze, którzy musieli znaleźć następców w malarstwie. Dla nas, dzisiejszych czytelników i widzów, którzy najśmielsze fantazye poddajemy próbie logiki, lub porównania z rzeczywistością, Cornelius i Kaulbach są wielkimi deklamatorami wielkich frazesów. Czyż podobna dzisiejszemu widzowi kazać zachwycać się „*cnotami chrześciańskiemi*“ Corneliusa, kiedy on w alegorycznych postaciach nie tylko nie dopatrzy się pięknych, łagodnych i skromnych kobiét, ale przeciwnie będzie przerażony gigantycznemi rozmiarami ich ciał i nadmiarem rozwoju mięśni.

Czyż podobna patrzéć na fantastyczną *bitwę Hunnów Kaulbacha* w powietrzu, nie zadając sobie równocześnie pytania, jak ci barbarzyńcy tak wysoko się wdrapali na swoich drewnianych koniach i prędkoli spadną razem z chmurą na ziemię. Jakim sposobem *Reformacya* może wywrzeć wrażanie na widzu, kiedy on w obrazie nie widzi wielkości pewnéj chwili, scharakteryzowania pewnéj epoki, tylko katalog osobistości owego czasu, kilkadziesiąt portretowanych głów, osadzonych na klasycznie pozujących ciałach i nic więcéj. Dziś przed kartony obydwóch rysowników niemieckich niepodobna przyjść bez *cicerone*, któryby nie tylko był biegły w historyi świętéj i powszechnéj, ale rozumiał się dobrze na alegoryi. O barwności obrazów mowy być nie może, bo obydwaj nie byli kolorystami; rysunek doprowadzali do najwyższéj poprawności po za naturę: twarze ich wyrażają ogólne uczucia, ale o tyle tylko o ile się komu podoba uczuć tych w obrazie dopatrzéć, a figury konwencyonalne, zamiast ruszać się, żyć, działać, pozują.

Fantazya niemieckich artystów zbyt mało liczy się z rzeczywistém życiem, aby mogła przeżyć twórcę i jego przyjaciół. Gdyby monarchowie nie kupowali obrazów, David i Ingres we Francyi a Cornelius i Kaulbach w Niemczech umarliby z głodu, nie umiejąc przemawiać do ludzi językiem człowieka. Być może, że oni rozumieli sztukę, ale jéj nie czuli. Wzięli głowy od Rafaela, brzuchy od Rubensa, ręce i nogi od Michała Anioła i ulepili akademicznego człowieka, który, czy jest aktorem w dramacie czy portretem historycznym, czy téż uzmysłowieniem alegoryi, lub nawet sielankowym kochankiem, zawsze jest jakby uczoną prelekcyą o sztuce,

Pilloty jest nowszy. Pilloty zna dobrze historyą, wybornie maluje suknie i oręż, kolorem pokrywa braki dobrego rysunku ciał, a realnemi akcesoryami brak dobrego kolorytu; ale czy z tém wszystkiém wiele się różni od Kaulbacha? Wcale nie. Jest tak samo akademicznym, deklamatorskim tragikiem, nie indywidualizującym psychologicznego wyrazu uczuć na twarzach swoich ludzi, i osadzającym głowy historyczne na konwencyonalnych tułowiach. Jego *Wallenstein wjeżdżający do Eger* nie budzi żadnego zajęcia. Niemcy stojący przed obrazem dużo rozprawiają o trylogii Schillera, o wielkiéj sztuce, ale nie o obrazie. Nie wiadomo co tam przeważa: wyraz, rysunek czy koloryt; zdaje się że nic. Jest to historya po za malarstwem, które o tyle tylko z obrazu się reklamuje, o ile rudy kolor zadawalnia malarza.

Cóż więc Niemcy przysłały na Wystawę ze swojéj sztuki, która tak kwitnie w ich kraju? Czy może batalistów? Nie. I to jeszcze całe ich szczęście. Grzeczność polityczna nie pozwoliła im przysłać scen z czasów ostatniéj wojny, aby Francuzom nie robić przykrości. Na wystawie filadelfijskiéj obrazy te były ku zgorszeniu, albo lepiéj nawet—rozśmieszeniu znawców. Każdy człowiek przychodzący przed obraz bitwy, przedewszystkiém chce widzieć bitwę, rozwścieczonych żołnierzy, rozhukane konie, grozę w powietrzu zamąconém tumanami kurzu i pękającemi granatami, ale nie spokojne twarze Bismarcka, Moltkiego, książęcych dowódców i ich adjutantów. Nie posądzajmy batalistów niemieckich o naiwność, tak jak nie uważajmy ich utworów za następstwo miłości ojczyzny. Są to zwyczajne fabrykaty dla interesu pieniężnego i łatwego poklasku od tłumów, które lubią widzieć w obrazach znajome sobie twarze. Żaden z wielkich mistrzów malarskich Francyi nie jest tak znany w kraju i za granicą, jak Horacy Vernet, ten najpłodniejszy *beztalent*, ponieważ w jego obrazach począwszy od kaprala wszyscy oficerowie są portretowani. Bataliści niemieccy są pośmiewiskiem artystycznego świata i dzięki względom grzeczności międzynarodowych stosunków, nie wyszli na szerszą arenę dowcipów i drwin, jakieby ich spotkały na obecnéj Wystawie. Największym talentem jaki Niemcy pokazały na Wystawie, jest Gabriel Max z Monachium. Wyborny rysownik, dobry kolorysta i genialny poeta, przysłał *Wskrzeszenie córki Jaira i Narzeczona lwa*. Nie ma w nich wielkiéj prawdy kolorytu, może nie ma dostatecznéj energii w rysunku, ale jest ogrom uczucia, które okupuje niedostatki i stawia Maxa wyżéj nad całym tłumem fabrykantów sentymentu. W obrazach jego jest prostota, jest szczerość, jest wyraz boleści i wiary na twarzach, jest indywidualność artysty, która go wyróżnia z masy. Ale Max jest

tylko jeden w Niemczech. Ci którzy się kręcą koło niego, są sentymentalistami przesadnymi i sztucznymi; brak im jego poezyi w treści i artystycznéj skromności w formie.

Chęć zrobienia ze sztuki czegoś innego niż ona jest, chęć wyrażania barwami idei, rysunkiem filozofii, chęć stawiania malarstwa wyżéj od natury, nie pozwoliła w Niemczech wyrobić się malarstwu rodzajowemu, które obok krajobrazów jest cechą dzisiejszéj sztuki we wszystkich krajach. Jeżeli obecnie wszędzie panuje naturalizm, Niemcy są widownią nienaturalizmu. Knauss, najznakomitszy spostrzegacz niemieckich typów, najwyraźniejszy pomiędzy malarzami rodzajowymi, nie zadawalnia się prawdą natury, ale ją poprawia, wypięknia i zaokrągla w szczegółach. Jego żydziak w łachmanach, jest typem prawdziwym w twarzy, ale nie w ubiorze i akcesoryach. Zamiłowanie porządku, plaga niemieckiej sztuki, nie pozwoliła Knausowi podartych łachmanów pozostawić takiemi, jakie widzimy codzień na nędzarzach. Każda dziurka tam jest obstębnowana starannie, każden gałganek przyszyty na maszynie i przyprasowany. Jego żydziak nie budzi ani litości biedą, ani wstrętu wyrazem szachrajstwa na twarzy, bo jest żydziakiem z teatru, aktorem ucharakteryzowanym na sprytnego oszusta i odzianym w kostium sztucznie podarty.

Jeżeli Knauss nie jest dość silny, jeżeli on nie wywołuje dostatecznego wrażenia na widzach, cóż dopiéro mówić o innych. Inni są niemieccy. Kucharki składają rachunek ze sprawunków z takiém uczuciem jak gdyby deklamowały *Dzwon* Schillera; pokojówki podają wieprzowinę na stół z takim wdziękiem, jak gdyby składały laurowe wieńce na głowie bohatera, a robotnicy w polu kopią kartofle z takiém natężeniem umysłu, jak gdyby doszukiwali się prawdy na dnie filozofii Fichte'go.

Nie można zaprzeczyć, że malarze niemieccy są uczeni, ale to dla sztuki jest za mało.

Potrzeba jéj serca, którego nie mają i poczucia natury, którą uważają za zbyt poziomą dla swoich utworów. Ciągle i wszędzie chcą być czémś inném niż malarzami. Monachijska szkoła patrzy na świat przez brudną ścierkę, która nie pozwala im dojrzéć konturów ciała i jego lokalnych kolorów. Na obrazach Dietza i jemu podobnych widać *ton*, to jest nie widać nic, co jest rysunkiem i kolorem pojedyńczych płaszczyzn, ale widać tylko oddalenia przedmiotów na dalekiéj przestrzeni zabrudzonéj mięszaniną niepewnéj barwy.

Kilka wymuskanych krajobrazów najlepszym są dowodem jak Niemcy mało studiują naturę i w dodatku krzywią ją jeszcze. Dla-

czego jednak nie przysłali na Wystawę obrazów Adam'a? Czy dla tego, że jest najprawdziwszy? Czy dlatego, że żaden z niemieckich malarzy nie czuje tak konia, człowieka i krajobrazu szerokiego jak Adam? A może dlatego, że Adam jest realistą, że maluje konia chłopskiego zamiast modelów do wyidealizowanych rumaków, że maluje łąkę i rolę nie zaś trebhauzową ziemię i roślinność. Być może. Wszakże komitet wybierał obrazy na Wystawę, a Komitet składał się z profesorów. Ci więc tylko przyjęci zostali, którzy chodzą w koturnach i okrywają się togami, a bohaterowie Adama mają bose nogi i zgrzebne koszule na plecach.

TOWARZYSTWO
KREDYTOWE ZIEMSKIE.

Wnioski przez stowarzyszonych na wyborach do Dyrekcyi Głównej przedstawione.

Oddawna już stowarzyszeni członkowie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w kraju naszym zbiegają się co lat dwa celem wyboru Radców do Władz tegoż Towarzystwa. Od czasu do czasu, członkowie ci na mocy służącego im prawa, przedstawiają podczas wyborów rozmaite wnioski do polepszenia lub rozszerzenia stosunku ich z Towarzystwem dążące i o wyjednanie potwierdzenia przez Rząd tych wniosków Naczelne Władze Towarzystwa upraszają— nigdy przecież ilość i ważność podanych wniosków nie była tak wielka jak w roku bieżącym. Wprawdzie wnioski obecnie przedstawione, nie są ani dokładnie obmyślane, ani zredagowane z gruntowną i wszechstronną znajomością przedmiotu; zawsze jednak rzeczone wnioski malują w głównych zarysach niektóre potrzeby i pragnienia stowarzyszonych, i dają świadectwo, że ogół właścicieli ziemskich, proprio motu, zaczyna starać się o poprawienie choć w części warunków swego ekonomicznego bytu, którego braki i niedogodności zeznaje.

Najważniejsze i zasługujące na uwagę wnioski przez stowarzyszonych członków TKZ-go w roku bieżącym przedstawione, dadzą się podzielić na następujące kategorye:

I. Wnioski dążące do rozszerzenia zakresu działalności Tow. Kr. Ziemskiego.

II. Wnioski zmierzające do rozszerzenia i udogodnienia warunków kredytu, jaki Towarzystwo udziela, to jest wnioski co do zwiększenia wysokości pożyczek i zmniejszenia rygorów egzekucyjnych i obowiązków stowarzyszonych.

III. Wnioski, mające na celu jakoby zwiększenie zasobów T-wa i nakoniec

IV. Wnioski co do rozszerzenia prawa wybieralności i podwyższenia płacy urzędników etatowych i wybieralnych.

Do kategoryi I należą wnioski:

a) Co do utworzenia przy Tow. Kred. Ziemskiém Instytucyi ubezpieczeń od ognia i gradu czysto na wzajemności opartéj.

b) Co do udzielania stowarzyszonym osobnych pożyczek na meljoracye.

Do II kategoryi zaliczyć można wnioski:

A) Co do zwiększenia wysokości pożyczek przez podwyższenie mnożnika podatkowego.

B) Co do podniesienia normy taksowéj ziemi, głównie w Lubelskiém.

C) Co do złagodzenia przepisów egzekucyjnych, a mianowicie:

a) Zrównania kar za opóźnione wnoszenie rat opłacanych.

b) Wystawiania dóbr na sprzedaż za dwie raty nie zaś za jedną, jak to obecnie ma miejsce.

D) Co do zwolnienia od wnoszenia raty z góry.

E) Co do rozkładu rat po klęsce przypadających na lat dwa nie zaś na rok jeden jak to prawo z r. 1869 przepisuje.

Do III kategoryi należy wniosek:

a) Co do zaliczania raty z góry do funduszu rezerwowego.

Do IV kategoryi nakoniec:

a) Wnioski co do rozszerzenia prawa wybieralności na Radców Władz Towarzystwa i

b) Co do podwyższenia płac urzędników etatowych, służących we Władzach Tow., Radców przez stowarzyszonych wybieranych.

W interesie stowarzyszonych, jak niemniéj w interesie tak poważnéj i użytecznéj Instytucyi, jaką jest bez zaprzeczenia Tow. Kred. Ziemskie uważamy za pożyteczne ocenić choć pobieżnie:

o ile wnioski stowarzyszonych są uzasadnione i

o ile Władze Tow. Kred. Ziemskiego, bez ubliżenia swoim obowiązkom, mogą tym wnioskom uczynić zadosyć.

Pytania: czy i o ile Władze Rządowe uwzględnią lub uwzględnić mogą wnioski przez Władze TKZ-u poparte, ani przesądzać, ani nawet rozbierać nie będziemy, jesteśmy bowiem zwolennikami zasady: „fais ce que doit, advienne que pourra".

I.

Jakkolwiek zakres działań Tow. Kred. Z-go jest wyraźnie w Ustawie tegoż T-wa określony, nie ulega przecież wątpliwości, że utworzenie onego wywołane zostało chęcią podniesienia krajowego rolnictwa i nadzieją, że cel ten osiągniętym zostanie. Interesa więc rolnictwa w całéj ich rozciągłości nie mogą być obce Towarzystwu Kred. Ziem., a te z nich, które bezpośrednio na bezpieczeństwo udzielonych na dobra pożyczek i regularną tych dóbr wypłatność wpływają, szczególną uwagę T-wa zwracać na siebie powinny.

Znany jest niepomyślny stan większéj własności ziemskiéj w naszym kraju. Znane są dobrze wszystkim ogólne narzekania na brak kapitałów nakładowych, na brak długoterminowego i taniego kredytu; jeśli więc do tego dodamy trudność albo nawet zupełną nie możność zabezpieczenia się od klęsk nadzwyczajnych, które w takich warunkach, nawet względnie zamożnego ziemianina odrazu rujnują, to łatwo zrozumimy dla czego wnioski: o utworzenie przy Towarzystwie Kred. Ziemskiém Instytucyi wzajemnego ubezpieczenia dóbr stowarzyszonych od ognia i gradu, oraz wnioski o udzielanie pożyczek na melyoracye, są tak stale, ogólnie i usilnie popierane.

a) Dotychczasowe ubezpieczenie od pożaru w Instytucyach gubernialnych jest niedostateczne i w najwyższym stopniu niedogodne i kosztowne. Instytucye te ubezpieczają tylko nieruchomości w jednéj grupie do wysokości Rs. 5.000, bez względu na ich rzeczywistą wartość—wymagają kosztownego i mozolnego przerabiania całéj asekuracyi przy najmniéjszym ubytku, przybytku lub przeróbce budowli, pobierają niezmiernie wysoką składkę asekuracyjną i to, nie wiadomo dla czego, o wiele wyższą od właścicieli folwarków niż od włościan, a w dodatku bardzo często opóźniają wypłatę wynagrodzenia za spalone budowle z powodu braku funduszów.

Co jest przyczyną tego wszystkiego, nie wiadomo, gdyż Instytucye te żadnych rachunków ani sprawozdań nie ogłaszają; to jednak pewna, że z powodu licznych skarg i zażaleń, Rząd sam zwró-

cił na te Instytucye uwagę i rozpatrzenie ich ustaw i czynności komu należy zalecił.

Ubezpieczeniem od ognia ruchomości, Instytucye gubernialne wcale się nie zajmują; o ubezpieczenie więc zbiorów i inwentarzy, oraz o ubezpieczenie przewyżki wartości nieruchomości nad cyfrę przez te Instytucye przyjmowane, właściciele Ziemscy do Towarzystw prywatnych udawać się muszą, a ten mięszany stosunek wyradza w praktyce rozliczne trudności i koszta.

Z tém wszystkiém, jakkolwiek z wielkim kosztem i kłopotem właściciel ziemski od ognia zabezpieczyć się może; ale od drugiéj niemal groźniejszéj klęski, niszczącéj w jednéj prawie chwili wszystkie plony i zbiory, to jest od gradu, zabezpieczyć się nie ma sposobu, nie mamy bowiem w kraju tego rodzaju instytucyi asekuracyjnéj, a od niedawna funkcionujące tu Moskiewskie wzajemne T-wa ubezpieczeń od gradu, z powodu zbyt ciężkich warunków jakie na ubezpieczonych nakłada, jest dla naszych ziemian prawie niedostępne.

W takich znajdując się warunkach, właściciele ziemscy mają pełną zasadę do żądania od Władz T-wa, aby te usilnie prosiły Rząd o dozwolenie urządzenia dla dóbr stowarzyszonych, przy TKZiemskiém Instytucyi, lub oddziału wzajemnych ubezpieczeń nieruchomości i ruchomości od ognia, oraz plonów i zbiorów od gradu, która to Instytucya zapewne niezbyt wielkim kosztem od tak dotkliwych klęsk zabezpieczyć by ich mogła.

b) Żądanie udzielania stowarzyszonym właścicielom ziemskim długoterminowych i tanich pożyczek na melioracye, ma nie mniéj silną i racyonalną podstawę.

Wiadomo, że dobra ziemskie w kraju naszym są bardzo odłużone,—a ponieważ dostarczycielami kapitałów szczególniéj po za Warszawę są po większéj części spekulanci procentowi, wierzytelności więc hypoteczne i niehypoteczne wkładają na właścicieli wiejskich ciężary, o wiele przewyższające dochód pobierany z téj części dóbr, jaką te wierzytelności reprezentują. Ztąd obok ciągłego braku nie już kapitału nakładowego, ale nawet obrotowego, powstaje stały niedobór w dochodach, który do czasu pokrywa się zwiększaniem ilości długów, następnie zaś wyczerpuje całą wartość dóbr i sprowadza konieczną ruinę.

Żadna pożyczka zwyczajna nawet tania i długoterminowa, gdyby taka była możliwa radykalnie złemu nie zaradzi, bo taka pożyczka pójdzie do rąk wierzycieli, zysk zaś na niższych od téj pożyczki procentach osiągnięty zrównoważy się prawie rygorem ści-

słéj terminowości do takiéj pożyczki przywiązanym. Jedyném prawdziwém lekarstwem jest stałe i znaczne zwiększenie dochodów, które nastąpić może: albo przez wielkie zmniejszenie kosztów produkcyi, albo przez szybkie téjże produkcyi powiększenie.

Zmniejszenie kosztów produkcyi zawsze jest możliwe; przy dzisiejszém jednak ciągłém podnoszeniu się cen pracy, nie wielkiéj dla rolnika z tego jednego źródła spodziewać się można korzyści. Powstaje więc jako główny środek—zwiększenie produkcyi, które znów, tak trudno znaleść się dającego, kapitału nakładowego wymaga.

Otóż, otrzymanie tego kapitału w ten sposób, aby takowy mógł być bezpośrednio i w całości użyty na zwiększenie produkcyi przez irrygacyą czyli nawodnianie łąk, drenowanie, marglowanie, poprawienie lub pomnożenie inwentarzy i budynków itp. jest celem ziemian, proszących o udzielanie im pożyczek meljoracyjnych.

Pytanie: czy Tow. Kred. Ziemskie, jako Instytucya Kredytowa ma interes i możność zadosyć uczynienia żądaniom właścicieli Ziemskich w téj kategoryi pomieszczonym, wymaga gruntowego i wszechstronnego rozbioru, potrzebującego osobnéj, obszernéj pracy; śmiało jednak twierdzić można: że skoro wypłatność stowarzyszonych, a zatém i Towarzystwa, jak niemniéj kurs listów zastawnych zależy od więcéj lub mniéj pomyślnych warunków, w jakich się dobra obciążane pożyczką T-wa znajdują, Tow. Kr. Ziemskie zatém, ma największy interes w postawieniu takich dóbr w jaknajwiększéj możności płatniczéj, a tém samém, ma interes w zwiększeniu ich produkcyi oraz w zabezpieczeniu od klęsk z pożarów i gradobić wypływających.

Koniecznym warunkiem udzielenia i bezpieczeństwa pożyczki T-wa w listach zastawnych powinno by być stałe ubezpieczanie nieruchomości, ruchomości oraz plonów i zbiorów od ognia i gradu;—warunek ten jednak napewno i bez zbytecznego obciążania dóbr spełniany być nie może, jeśli ubezpieczenia nie będą jak najtańsze i kontrolowane przez Władze T-wa, taniość ta zaś i ścisła kontrola, jedynie tylko przy utworzeniu we Władzach T-wa oddziałów ubezpieczenia od ognia i gradu dla dóbr stowarzyszonych jest możliwa. Również, jedynie tylko TKZiemskie, jako posiadające wśród swoich członków bardzo wielu specyalnie uzdolnionych robotników, może z najlepszą znajomością rzeczy zdecydować: gdzie i jakie meljoracye są właściwe i korzystne, i ono również może ułożyć warunki pożyczek meljoracyjnych w taki sposób, aby pożyczki te, na cel,

na jaki są przeznaczone, bezpośrednio i w całości użyte być musiały.

Kwestya funduszów na ubezpieczenia i meljoracye potrzebnych, jest niezawodnie kwestyą pierwszorzędnéj ważności.

Stowarzyszeni członkowie T-wa w ogóle zbyt mało z interesami swéj jedynéj Instytucyi Kredytu Ziemskiego obeznani, wskazują jako na źródło tych funduszów, na kapitał rozerwowy T-wa i na fundusz użyteczności ogólnéj.

Co się tycze tego ostatniego funduszu postanowieniem b. Rady administracyjnéj, od 10 (22) Maja 1860 r. w myśl art. 19 prawa o TKZ-ém z r. 1853 zapadłém, oddzielonego w ilości Rs. 1.269.400 kop. 24½ z rozporządzalnego funduszu ogólnéj własności T-wa, przeznaczonego pierwotnie na ułatwienie wieczystego oczynszowania włościan w dobrach prywatnych, to stowarzyszeni wiedzieć by powinni: że fundusz ten już od lat kilkunastu nie zostaje pod zarządem Władz TKZ-go, że Rząd zastrzegł sobie wyłączne prawo oznaczenia celu użyteczności ogólnéj na jaką fundusz rzeczony ma być użyty, i że fundusz wspomniany, ściągnięty do kasy państwa, pod oddzielną kontrolą Ministerium Skarbu pozostaje. Zródło więc to jest nateraz dla TKZ-go niedostępne.

Co się tycze funduszu rezerwowego T-wa, to ten, jako mający specyalne i ściśle w tytule VI prawa z r. 1869 określone przeznaczenie, na żaden inny cel użyty być nie może i nie powinien.

Z jakich jednak dochodów i wpływów fundusz rezerwowy T-wa formować należy, tego prawo bynajmniéj nie oznacza. W praktyce, fundusz ten zbiéra się: z procentów od kapitału rezerwowego już zgromadzonego, i podług ostatniego sprawozdania, Rs. 3.786.757 kop. 87½ w gotowiźnie i papierach procentowych wynoszącego, z kar od stowarzyszonych, za opoźnione uiszczanie rat, pobieranych,— z procentów jakie rata z góry przez stowarzyszonych wnoszona przez pół roku przynosi, i z reszty niewydatkowanych w ciągu roku opłat, jakie od tychże stowarzyszonych, pod tytułem kosztów administracyi, lub z innych źródeł, wpływają. Gdyby więc władze T-wa postarały się u Rządu o pozostawienie do ich dyspozycyi niektórych wpływów, z których obecnie kapitał rezerwowy wytwarza (staranie się o to nie jest bynajmniéj obowiązującym ustawom przeciwne), mogłyby tym sposobem w krótkim stosunkowo czasie zebrać znaczną sumę, która na kapitał zakładowy ubezpieczeń i fundusz melioracyjny użyćby się dała. O ile nam wiadomo, dla dojścia do tego, potrzeba tylko dobréj woli ze strony komitetu T-wa i skrzątniejszéj ze strony Dyrekcyi Głównéj dbałości o ciągłe i najkorzystniejsze oprocentowy-

wanie kapitałów, bez żadnego przyrostu w wielkich sumach w kasie T-wa i w Banku polskim często zbyt długo leżących.

II.

A. Powiedzieliśmy wyżéj, że w obec przeciążenia własności ziemskiéj długami, od których procenta nietylko dochód ale i część kapitału to jest samego warstatu rolnego pochłaniają, dostarczenie właścicielom ziemskim nawet taniego i długoterminowego kredytu nie byłoby na polepszenie ich położenia radykalném lekarstwem. Nie idzie jednak za tém, aby i ten środek nie mógł przynieść dodatnich rezultatów, i dla tego téż zapewne stowarzyszeni, o podwyższenie udzielanych na dobra pożyczek TKZ-go w listach zastawnych przez zwiększenie mnożnika podatkowego i podniesienie taksowéj normalnéj ceny ziemi, upraszają.

Wiadomo, że najwyższa ilość pożyczki, na dobra udzielić się mogąca, nie może przenosić cyfry podatku gruntowego z tych dóbr opłacanego pomnożonéj przez 56, ani przechodzić za połowę szacunku dóbr wynalezionego ze szczegółowego oszacowania takowych (taksy), przy którém to oszacowaniu, wartość gruntów, łąk i pastwisk, stosownie do ich klasy, ustanawia się podług cen normalnych, dla każdéj okolicy w instrukcyi taksowéj szczegółowo oznaczonych.

Mnożnik z podatku gruntowego, obliczanego głównie na zasadzie bardzo ogólnego rozróżnienia gatunku gruntów i łąk, ustanowiony został dla możności oznaczenia najprzód najwyższéj ilości listów zastawnych jaka w obieg wypuszczona być by mogła; szacunek zaś dóbr z taksy, ma na celu oznaczenie ich kredytowéj wartości nie tylko ze względu na szczegółową klasyfikacyą przestrzeni, ale i z uwagą na kulturę, położenie, stan zabudowań, konfiguracyą i t. p. szczegóły, które przy ustanowieniu podatku gruntowego nie są reflektowane. Widoczną więc jest rzeczą, że jakkolwiek podatek gruntowy reprezentuje do pewnego stopnia wartość dóbr, z których jest opłacany, szacunek przecież dóbr na podstawie tego podatku wynaleziony będzie prawie zawsze niższy i niepewny i, jako oparty na normie zupełnie dla innych celów ustanowionéj, za zasadę do oznaczania wysokości pożyczek brany byćby nie powinien. Gdy jednak zupełne usunięcie mnożnika podatkowego ze względów ogólno-finansowych jest niepodobne, Władze TKZ-go mogłyby się starać o zwiększenie takowego do 70 lub 75, a to tém zasadniéj, że jak doświadczenie naucza w bardzo znacznéj większości dóbr, szacunek z mnożnika 56 obliczony, połowy wartości dóbr z taksy nie dosięga.

B. Co do zwiększenia cen taksowych ziemi, zauważyć należy, że ceny te przed 8-u mniéj więcéj laty ustanowione, dla niektórych okolic, a mianowicie dla lubelskiego, podlaskiego i augustowskiego, głównie w skutek znacznego polepszenia się w tych stronach środków komunikacyjnych, są już obecnie za niskie. Żądanie więc stowarzyszonych co do tego punktu, jako usprawiedliwione, na uwzględnienie Władz T-wa zasługuje.

Obok zwiększenia wysokości pożyczek przez podwyższenie mnożnika podatkowego i cen taksowych ziemi, stowarzyszeni żądają jeszcze:

C. Złagodzenia przepisów egzekucyjnych, mianowicie:

a) zrównanie kar za opóźnione wnoszenie rat opłacanych, to jest liczenie tych kar za każdy miesiąc po $1/_2$ od sta.

b) przywrócenie dawnego porządku egzekucyi, podług którego sprzedaż dóbr następowała za zaległości dwóch rat po sobie idących nie zaś za jednę, jak to ma miejsce obecnie, oraz

D. Uwolnienie ich od wnoszenia raty z góry, i

E. Rozkładu rat po klęsce przypadających na lat dwa, nie zaś na rok jeden, jak to prawo z r. 1869 przepisuje.

C. *ad. a.* Podług art. 54 prawa z r. 1869 „kary obliczają się za pierwszy miesiąc dopuszczonéj zaległości po $1/_2$ % od nieuiszczonéj kwoty, w następnych miesiącach, aż do czasu zapisania do księgi hypotecznéj ostrzeżenia o sprzedaży dóbr, po 1% za każdy miesiąc, następnie do dnia sprzedaży znowu po $1/_2$ % od zaległéj kwoty.“

O ile nam wiadomo, Władze T-wa przy projektowaniu tego przepisu miały głównie na celu zapobieżenie rozmyślnemu opóźnianiu się stowarzyszonych z płaceniem rat co, przy karze wyrównywającéj 6% rocznie, w obec zwykłéj stopy procentowéj przy kredycie hypotecznym wiejskim średnio od 8 do 10% wynoszącéj, bardzo łatwo zdarzyćby się mogło.

Stopniowanie kar, w powołanym prawie oznaczone, jest zupełnie racyonalne, bo uwzględniające położenie tych, którzy, nie mogąc rzeczywiście należnéj od nich raty w terminie właściwym uiścić, decydują się nawet z tego powodu ponieść koszta wpisania ostrzeżenia. Stan rzeczy co do stopy procentowéj, od czasu ustanowienia prawa z r. 1869, nie wiele się poprawił; nie ma więc uzasadnionego powodu do zmiany powołanego przepisu.

Z uwagi przecież,

że zrównanie kar przez stowarzyszonych żądane, zawsze im pewną ulgę przyniesie, a T-wa ani na straty, ani na niewy-

płatność, w obec jego wysokiego funduszu rezerwowego, nie narazi
sądzilibyśmy, że Władze T-wa do tego wniosku stowarzyszonych przyczynićby się mogły.

ad b. Podług art. 1-go obecnie uchylonego przepisów egzekucyjnych TKZ-go z r. 1860, przywrócenie którego stowarzyszeni żądają, dobra wystawiane były na sprzedaż za zaległość 2-ch rat po sobie idących, nie zaś za jednę, jak to art. 52 prawa z r. 1869 nakazuje.

Postanowienie tego ostatniego artykułu, projektowanego w czasie kiedy raty od stowarzyszonych należne bardzo nieregularnie wpływały, miało na celu skrócenie terminu egzekucyi, a tém samém danie T-wu możności prędszego odzyskania zaległości. Jeśli jednak porównamy art. 1-szy prawa z r. 1860 z art. 52 prawa z r. 1869, to przekonamy się, że obostrzenie egzekucyi jest nieznaczne, gdyż takowe termin sprzedaży dóbr co najwięcéj o 3 miesiące tylko przyspiesza.

Jakeśmy to już nadmienili, stowarzyszeni po większéj części są bardzo mało z przepisami o Tow. Kr. Ziemskiém obeznani i dla tego zapewne często słyszéć się dają głosy, że sprzedaż dóbr za jednę ratę i to z góry płatną, jest zbyt uciążliwą i podrywającą kredyt właścicieli ziemskich.

Uważamy za potrzebne sprostować te mylne co do sprzedaży za jednę ratę twierdzenia (o racie z góry powiemy niżéj) i przekonać stowarzyszonych, że sprzedaż dóbr za zaległości dopuszczone względem TKZ-go co najmniéj za 2, a najczęściéj dopiéro za 3 zaległe raty następuje.

Art. 1-szy (uchylony co do pożyczek ser. I. 1869 r.) przepisów egzekucyjnych z d. 28 Czerwca (10 Lipca) 1860 r. stanowi:

„Administracya dłużnych dóbr na rzecz Tow. Kr. Ziemskiego za ratę Czerwcową i wydzierżawienie trzyletnie za ratę Grudniową, o jakich mówią art. 86 prawa z d. 1 (13) Czerwca 1825 r. i art. 2 Ukazu z d. 9 (21) Kwietnia 1838 r., odtąd miejsca miéć nie będą. Natomiast, gdy zaległość pochodząca z jednéj raty zwiększoną zostanie zaległością drugiéj raty, Władze TKZ-go zarządzą przedaż przez licytacyę publiczną.“

Artykuł zaś 52 prawa z 12 Lipca 1869 r. mówi:

„Określone w art. 46 opłaty od stowarzyszonych, lub jakakolwiek część tychże opłat, nie wniesione do kasy T-wa do dnia 31 Maja (12 Czerwca) lub do dnia 30 Listopada (12 Grudnia) uważane są jako zaległość.

W ciągu 2-ch miesięcy po dopuszczeniu zaległości, Towarzystwo nie zarządza żadnych egzekucyjnych środków, prócz policzenia kar stosownie do art. 54. Skoro zaś po upływie tych 2-ch miesięcy dozwolonéj zwłoki, wszystkie zaległości nie będą całkowicie uiszczone wraz z należną karą, to Dyrekcya Główna w ciągu miesiąca trzeciego wydaje decyzyą względem wystawienia dóbr, zalegających w opłacie, na sprzedaż i ogłasza o tém w Dzienniku Warszawskim, nie oznaczając wszakże dnia, nastąpić mającéj sprzedaży. Następnie, sprzedaż dóbr odbywa się na zasadzie przepisów zamieszczonych w postanowieniu z d. 28 Czerwca (10 Lipca) 1860 r. i t. d."

Oczewistą więc jest rzeczą, że w myśl art. 1-go prawa z r. 1860 egzekucya za ratę Czerwcową i Grudniową następowała zaraz w Grudniu, kiedy podług prawa z r. 1869 egzekucya za ratę Czerwcową co najwcześniéj we Wrześniu rozpocząć się może. Obok tego, jeśli zwrócimy uwagę, że termin licytacyi dóbr oznacza się dopiéro w 8 miesięcy po decyzyi Dyrekcyi Głównéj (Zob. art. 2 obowiązujący postanowienia z d. 28 Czerwca (10 Lipca) 1860 r.) to przekonamy się, że rzeczywista sprzedaż następuje zaledwie w 11 miesięcy po pierwszéj zaległéj racie, czyli już wtedy za dwie raty. Sprzedaż ta, jako pierwsza, najczęściéj do skutku nie dochodzi; że zaś termin drugiéj sprzedaży oznacza się zwykle w 3 miesiące po pierwszéj, ostateczna więc sprzedaż dóbr następuje prawie zawsze w 14 miesięcy po pierwszéj nieopłaconéj racie, czyli przy zaległości rat 3-ch.

Każdy nieinteresowany i nieuprzedzony przyznać musi, że dopuszczanie większéj zaległości ze strony Towarzystwa byłoby błędem, który na jego interesa i na kurs listów zastawnych niekorzystnie oddziałaćby musiał; dla tego téż mamy nadzieję, że sami stowarzyszeni, po bliższém zastanowieniu się nad tą kwestyą, od wniosku swego w tym przedmiocie odstąpią.

Inaczéj rzecz się ma co do ogłoszenia w 3-cim miesiącu w Dziennikach o dobrach, na sprzedaż wystawionych, jak tego art. 52 prawa z r. 1869 wymaga. Przepis ten, mający na celu niejako egzekucyą moralną względem zalegających, może niezupełnie właściwie powagą prawa został przyodziany. W praktyce nie ma on prawie żadnego skutku, a zmuszając Władze T-wa do ogłaszania całych tysięcy dóbr za zaległości na sprzedaż wystawianych, z których w rzeczywistości zaledwie kilka sprzedaży ulegnie, dyskredytuje listy zastawne i obywateli ziemskich, i podrywa kredyt hipoteczny wiejski, którego nasi ziemianie tak bardzo potrzebują.

Sądzimy, że Władze TKZ-go postarają się o uchylenie tego przepisu, który żadnych dodatnich rezultatów nie przynosi.

ad D. Obowiązek opłaty raty z góry w art. 46 prawa z roku 1869 na stowarzyszonych włożony, jest „kozłem ofiarnym“, przeciw któremu ciż stowarzyszeni najostrzejsze pociski wymierzają, nie zwracając uwagi, że ustanowienie tego przepisu w prawie z r. 1869 było koniecznością, a może i teraz nie jest zbyteczne.

Obecnie, stan finansowy TKZ-go jest bez zaprzeczenia pomyślny; ale przed rokiem 1869-m było zupełnie inaczéj. W latach między 1863 a 1868 cały kapitał rezerwowy T-wa figurował w zaliczeniach na pokrycie zaległości; prócz tego, TKZ-ie wyczerpało zupełnie kredyt w Banku Polskim do wysokości ogólnéj sumy depozytów spornych mu służący, i w dodatku, dla zaspokojenia swych zobowiązań, zmuszone było wypuścić za 1½ miliona rubli obligów krótkoterminowych. W dniu 1 (13) Lipca 1868 r. zalegało na dobrach z tytułu rat półrocznych rubli 3.069.981 kop. 3, kapitał zaś rezerwowy przy ogólnym długu reprezentowanym przez listy zastawne w ilości Rs. 71.186.200, wynosił w gotowiznie Rs. 2.451.820 kop. 72½ czyli z kapitału tego przypadało na 100 długu 3,44, a na 100 zaległości 79,86.

Stan taki nie mógł nie wywołać nader słusznych obaw, i, z tego téż powodu, prawo z r. 1869, dla zabezpieczenia regularnéj wypłaty kuponów i wylosowanych listów zastawnych, wprowadziło ratę z góry i, kapitał rezerwowy, postanowieniem b. Rady Administracyjnéj z dnia 10 (22) Maja 1860 r. na 3% od ogólnego długu T-wa przez listy zastawne reprezentowanego, oznaczony, do sumy równającéj się 6% zbiérać nakazało.

Dzisiaj, położenie rzeczy na lepsze się zmieniło. Przy cyfrze zaległości jakkolwiek poważnéj, bo wynoszącéj 2.003.775 rub. 93½ kop. kapitał rezerwowy w gotowiźnie i papierach procentowych wzrósł do 3.786.757 rub. 87½ kop., na 100 więc zaległości przypada 188.98 rezerwy, która znów, odnośnie do ogólnéj ilości listów zastawnych, przedstawiających cyfrę 91.785.450 rub. 4,12% stanowi. Za przyszłość jednak pod względem finansowym i ekonomicznym nikt ręczyć nie może; najniezawodniejszą zaś jest rzeczą, że na troskliwości o jak największą pewność wypłaty kuponów i wylosowanych listów zastawnych, do któréj to pewności opłata raty z góry bezspornie się przyczynia i od któréj kurs listów zależy, tak stowarzyszeni jako i właściciele listów zastawnych zyskują.

Tą zapewne kierując się pobudką, Towarzystwa Kredytowe miasta Warszawy i Łodzi, w swoich ustawach późniejszych od ustawy TKZiemskiego z r. 1869, nietylko opłatę raty z góry za rzecz konieczną uznały, ale nadto zobowiązały swych stowarzyszonych, aby

ci, naprzód przez lat 2, po 2% od pożyczki na kapitał rezerwowy wnosili.

ad E. Zbyt oględny rozkład rat czyli zbyt mała ulga, jaką prawo z r. 1869, w art. 47 i następnych stowarzyszonych klęską nieurodzaju, pożaru, gradobicia, pomoru inwentarza i t. p. dotkniętym przyznawać pozwala, wynikła prawdopodobnie w części z tych samych przyczyn, które ustanowienie poboru raty z góry wywołały. Ulga taka, polegająca na odroczeniu opłaty co najwięcéj dwóch rat po klęsce bezpośrednio idących do roku następnego, jest raczéj uciężeniem dla stowarzyszonego, który w rok po klęsce podwójne raty płacić musi. Nie dziwimy się więc, że stowarzyszeni o zmianę przepisów co do tego upraszają. Zdaniem naszém, żądanie stowarzyszonych, aby raty w skutek klęski w poborze odroczone, na dwa lata to jest na 4 półrocza rozkładane były, jest nader umiarkowaném; przy obecnym bowiem stanie funduszu rezerwowego, raty te, bez narażenia wypłatności T-wa, nawet na kilkanaście półroczy za opłatą niskiego procentu rozłożone być by mogły, i wtedy dopiéro ulga byłaby prawdziwém dla dotkniętego klęską dobrodziejstwem.

Kończymy rozbiór wniosków do téj kategoryi należących uwagą: że jakkolwiek Władze TKZ-go, mają prawo prosić o zmianę lub uzupełnienie przepisów o TKZ-iém, jakie za niedogodne lub za niedostateczne uznają, nie sądzimy przecież, aby w obec przytoczonych powyżéj powodów i ze względu na swój obowiązek pilnowania interesu właścicieli listów zastawnych, Władze te na popieranie u Rządu wniosków stowarzyszonych co do zmiany przepisów egzekucyjnych oraz co do zwolnienia stowarzyszonych od opłaty raty z góry, zgodzić się mogły.

III.

a) Prawo z r. 1869 w art. 61 wymienia gwarancye wypłatności kuponów i listów zastawnych i za takowe gwarancye uważa:

1) Opłatę rat z góry,

2) Fundusz rezerwowy i

3) Ogólną odpowiedzialność dóbr stowarzyszonych.

Stopniowanie to gwarancyj jest wyraźne i całemu duchowi prawa odpowiednie. Pewna jednak liczba stowarzyszonych, chcąc jak najprędzéj skorzystać z dobrodziejstwa zmniejszenia lub zupełne-

go zniesienia opłat na administracyą, zabewnionego art. 65 powołanego prawa, skoro fundusz zapasowy w kasach T-wa w gotowiźnie i papierach procentowych znajdujący się, przewyższać będzie 6% od pożyczek zahypotekowanych na dobrach, stara się ten fundusz sztucznie powiększyć przez doliczanie do niego raty płatnéj z góry, która, jako mająca być użyta na zaspokojenie zobowiązań T-wa, w ½ roku dopiéro po jéj wniesieniu przypadających, przez te ½ roku bez potrzeby, ich zdaniem, w kasach T-wa spoczywa.

Jeżeli zwrócić uwagę choćby tylko na jednę okoliczność: że każdy fundusz rezerwowy jest z natury swojéj kapitałem zupełnie wolnym od wszelkich zobowiązań i przeznaczonym wyłącznie na pokrywanie nieprzewidzianych strat i niedoborów, to trudno zaprawdę pojąć, jakim sposobem raty, nawet za kilka lat z góry zapłacone, mogłyby być do niego zaliczane. Obok tego, zaliczanie takie, zwiększając fikcyjnie fundusz rezerwowy narazie, zmniejszałoby go w rzeczywistości wbrew art. 65 prawa z r. 1869 i tym sposobem osłabiałaby gwarancyą jaką ustawa listów zastawnych nadała i jakiéj właściciele tychże listów wymagać mają prawo. Ani więc wnioskowi temu zasadności, ani Władzom T-wa możności popierania tego wniosku w obec wyraźnego przepisu prawa i znanych ogólnie pojęć o kapitale rezerwowym, przyznać nie możemy.

IV.

a) Wnioski stowarzyszonych co do rozszerzenia prawa wybieralności na urzędy Radców we Władzach T-wa nie są bynajmniéj bliżéj objaśnione i dla tego trudno wiedzieć, jakich zmian w tym względzie stowarzyszeni żądają.

Obecnie Radcą każdéj z Władz T-wa może być tylko ten właściciel ziemski, którego dobra nie są wyżéj jak do połowy ich hypotecznéj wartości wierzytelnościami hypotecznemi obciążone. Jeśli jednak zwrócimy uwagę:

że z powodu niewłaściwego wpisywania do wykazów hypotecznych przez wydziały hypoteczne szacunków dóbr samowolnie przez właścicieli oznaczonych, przepis ten nie ma rzeczywistego znaczenia; jeśli prócz tego dodamy,

że w praktyce nawet zupełne nieposiadanie faktycznie żadnéj zgoła własności ziemskiéj wyborowi na Radcę nie przeszkadza,

to, ubolewając nad takiemi uchybieniami zasadniczemu prawu o TKZ., zapytamy: kogo jeszcze wnioskodawcy, do wyboru na Radców, obok dotychczasowych kandydatów, dopuścić chcieli?

b) Wnioski o podwyższenie płac urzędników etatowych służących we Władzach TKZ-go były może zbyteczne, gdyż, z przyjemnością wyznać nam to przychodzi, że Instytucya ta, pracownikami swymi, po ojcowsku choć może niezupełnie systematycznie i bezstronnie się opiekuje.

Co zaś do podwyższenia wynagrodzeń urzędników wybieralnych, to projekt co do tego, o ile nam wiadomo, już dość dawno przez Dyrekcyą Główną Komitetowi T-wa przedstawiony został. Jak nas zapewniano, komitet, jakoby uznając za niewłaściwe zwiększenie płac Radców z grona obywateli ziemskich wybranych, którzy sami Instytucyą zarządzają, projekt ten odrzucił. Nie możemy jednak uwierzyć, aby to w istocie miało miejsce, gdyż nie przypuszczamy, aby tak podejrzanéj wartości argument mógł mieć znaczenie i dawać bogatéj Instytucyi prawo eksploatowania, za niedostateczne na odpowiednie utrzymanie ich wynagrodzenie, ludzi, którzy jéj swój czas i pracę z uszczerbkiem własnego mienia poświęcają.

V.

Rozebrawszy aczkolwiek niewyczerpująco, i może dla mniéj z przedmiotem obeznanych niezbyt dostępnie, wszystkie główniejsze wnioski przez stowarzyszonych członków TKZ-go na zebraniach wyborczych w r. b. odbytych przedstawione, nie możemy nie zwrócić uwagi, że wnioski te są nader jednostronne i, że stowarzyszeni stawiając takowe pamiętali wyłącznie o sobie, zapominając o ogólnych interesach, potrzebach i obowiązkach Towarzystwa, którego są członkami. I tak stowarzyszeni żądają.

1) Rozszerzenia zakresu działań Towarzystwa—i zarazem zmniejszenia funduszu rezerwowego i dochodów tegoż Towarzystwa (porównać wnioski kategoryi I z wnioskami kat. III i kat. II C. a.)
2) Zwiększenia wysokości udzielanych pożyczek w listach zastawnych—i jednoczesnego zmniejszenia rygorów egzekucyjnych (porów, wnioski kat. II ad A i B. z wnioskami tejże kat. ad C.)
3) Opóźnienie poboru rat od nich należnych i rozkładu poboru tychże rat po klęsce na czas dłuższy

(porów. wnios. kat. II ad D i ad E.)

Czyż wszystkie te sprzeczne żądania pogodzić się dadzą?

Czyż projektowanie rozszerzenia zakresu działań T-wa w obec dążenia do zmniejszenia w rzeczywistości jego zapasowych kapitałów jest możliwe?

Czyż nie jest rzeczą pewną: że, jeśli samo już zwiększenie wysokości pożyczek, przy tych samych rygorach egzekucyjnych, osłabiałoby gwarancyą listów zastawnych, to zwiększenie takie, obok jednoczesnego złagodzenia egzekucyi, gwarancyą tę jeszcze więcéj osłabi?

Czyż nie to samo można powiedzieć o opłacie raty z dołu i rozkładzie rat po klęsce na czas dłuższy?

Czyż żądania stowarzyszonych, wymagające zmiany obecnie obowiązującego prawa o Towarzystwie Kred. Ziem. są na czasie, skoro na zasadzie tego prawa wypuszczono już na dziesiątki miljonów rubli listów zastawnych będących w obiegu i ostatecznie dopiéro między rokiem 1906 a 1916 umarzalnych.

Czyż nakoniec niektóre żądania stowarzyszonych i przy nowéj emisyi II-éj serii listów zastawnych 5%-wych będą do uwzględnienia możliwe? Są to wszystko pytania, które bardzo starannego i wszechstronnego rozpoznania wymagają.

Zdaniem naszém, Władze T-wa Kredytowego Ziemskiego, obowiązane przedewszystkiém mieć na względzie kurs listów zastawnych i dobro ogółu Towarzystwa (Zob. art. 161 prawa zasadniczego z r. 1825) nie wszystkim powyższym żądaniom stowarzyszonych mogą i powinny uczynić zadosyć.

Niech nas jednak nikt nie posądza, że mamy zamiar, wbrew art. 72 ustawy z r. 1869, twierdzić, że prawa o TKZ-iém są skończone i niezmienne; nie myślimy téż wcale utrzymywać, że Naczelne Władze T-wa Kr. Ziems. spełniły i spełniają wszystko co było i jest w ich możności i dla tego spodziewamy się, że niektóre usprawiedliwione wnioski stowarzyszonych znajdą u Władz tych przychylne poparcie, a następnie pomyślny otrzymają skutek. Nie mamy również nic przeciw temu, aby stowarzyszeni i na przyszłość stawiali jak najwięcéj wniosków, dążących do możliwego upożytecznienia naszéj jedynéj Instytucyi kredytu rolnego, i aby w ten sposób naczelne jéj władze do większéj czynności i postępu pobudzali; ale choćby z narażeniem się, musimy zwrócić uwagę stowarzyszonych.

1. Że stawianie pożytecznych wniosków wymaga przedewszystkiém gruntownéj znajomości odpowiednich przepisów i starannego a wszechstronnego zbadania przedmiotu.

2. Że żadne wnioski nie doprowadzą do rezultatu, jeśli przepisy wskutek nich wydane będą jak dotąd przez większość stowarzyszonych ignorowane, lekceważone, lub o ile można obchodzone—i nakoniec.

3. Że członkom Władz Towarzystwa, za ścisłe, skrupulatne i bezstronne wykonywanie i przestrzeganie praw i przepisów Tow. Kred. Ziemskie obowiązujących, oraz za racyonalne i energiczne kierowanie interesami tegoż Towarzystwa, nie niechęć i uraza, jak to obecnie niestety zbyt często ma miejsce, a wdzięczność i uznanie od stowarzyszonych należy.

R. A.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

Odezwa Konkursowa.

Za wspólnym udziałem Redakcyi „Poradnika przemysłowo-rolniczego“, Izby handl. przemysłowej, Towarzystwa gosp. rolniczego, Towarzystwa technicznego, Banku gal. dla handlu i przemysłu w Krakowie, rozpisuje się niniejszém **publiczny konkurs na rozprawę przemysłowo-rolniczą** pod następującemi warunkami:

1) Rozprawa konkursowa napisana po polsku ma wskazać materyał surowy, mogący być obficie w kraju dostarczanym, zdolny do przemysłowego przerabiania bez nadzwyczajnych nakładów, a dotąd wcale, lub niedostatecznie wyzyskiwany.

2) Wyłuszczenie **techniczne**: sposoby dostarczania i przerabiania.

3) Wyłuszczenie **finansowe**: szczegółowe wykazanie kapitału nakładowego i obrotowego.

4) Wyłuszczenie **ekonomiczne**: uzasadnienie zyskowności produkcyi, pewność odbytu handlowego.

5) Rozprawy należy nadséłać pod adresem: Redakcya „Poradnika przemysłowo-rolniczego“ w Krakowie, dołączając w zapieczętowanéj kopercie dokładny adres autora, a na kopercie kładąc to samo **godło** co i na rozprawie. Termin nadsyłania do 1 września 1878 r.

6) Nagroda za rozprawę, którą komitet konkursowy uzna za najlepszą, wynosi złr. w. a. 100. — Rękopism pozostaje własnością autora z obowiązkiem wydrukowania go w przeciągu roku, co gdyby nie nastąpiło, będzie miał komitet prawo sam go wydrukować.

7) Komitet postara się o należyte zalecenie i uwzględnienie także i innych z nadesłanych rozpraw, któreby za odpowiednie uznane zostały.

8) Orzeczenie konkursowe nastąpi najdaléj do 1 listopada 1878 r.

9) Komitet konkursowy składają podpisani:

Dr. Jul. Grabowski
Wal. Kołodziejski } z ramienia Tow. techn.
Leon Paszkowski, z ram. Banku gal. dla h. i p.
M. Pawlikowski, z ram. Tow. gosp. roln.
Alfred Szczepański, za Red. Por. p. r.
Dr. Weigel, z ram. Izby h. p.

Odezwa Konkursowa.

Za wspólnym udziałem Redakcyi „Poradnika przemysłowo-rolniczego", Izby handl. przemysłowéj, Towarzystwa gosp. rolniczeg. Towarzystwa technicznego, Banku gal. dla handlu i przemysłu w Krakowie, rozpisuje się niniejszém **publiczny konkurs na rozprawę przem słowo-rolniczą** pod następującemi warunkami:

1) Rozprawa konkursowa napisana po polsku, ma wskazać materyał surowy, mogący być obficie w kraju dostarczanym, zdolny do przemysłowego przerabiania bez nadzwyczajnych nakładów, a dotąd wcale, lub niedostatecznie wyzyskiwany.
2) Wyłuszczenie **techniczne**; sposoby dostarczania i przerabiani
3) Wyłuszczenie **finansowe**: szczegółowe wykazanie kapitału, zakładowego i obrotowego.
4) Wyłuszczenie **ekonomiczne**: uzasadnienie zyskowności produkcyi, pewność odbytu handlowego.
5) Rozprawy należy nadsyłać pod adresem: Redakcya „Poradnik przemysłowo-rolniczego" w Krakowie, dołączając w zapieczętowanej kopercie dokładny adres autora, a na kopercie kłada to samo godło co i na rozprawie. Termin nadsyłania do 1 wrześ nia 1878 r.
6) Nagroda za rozprawę, którą komitet konkursowy uzna za najlepszą, wynosi złr. w. a. 100. — Rękopism pozostaje własności autora z obowiązkiem wydrukowania go w przeciągu roku, c gdyby nie nastąpiło, będzie miał komitet prawo sam go wydrukować.
7) Komitet postara się o należyte zalecenie i uwzględnienie takż i innych z nadesłanych rozpraw, któreby za odpowiednie uzna nie zostały.
8) Orzeczenie konkursowe nastąpi najdaléj do 1 listopada 1878 r
9) Komitet konkursowy składają podpisani:

Dr. Jul. Grabowski } z ramienia Tow. techn.
Wal. Kołodziejski }
Leon Paszkowski, z ram. Banku gal. dla h. i p.
M. Pawlikowski, z ram. Tow. gosp. roln.
Alfred Szczepański, z r. Red. Por. p. r.
Dr. Weigel, z ram. Izby h. p.